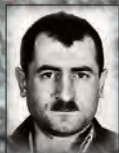


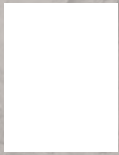
ANTROPOLOG



KAROLINA WICHOWSKA

„ŁĄCZKA”







„ŁĄCZKA”



INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

Karolina Wichowska

„ŁĄCZKA”

**POSZUKIWANIA I IDENTYFIKACJA OFIAR TERRORU
KOMUNISTYCZNEGO POCHOWANYCH
NA WARSZAWSKICH POWĄZKACH**



WARSZAWA 2016

Recenzent
Arkadiusz Gołębiowski

Projekt graficzny
Sylwia Szafrńska

Okładka
Sylwia Szafrńska

Redakcja
Irena Siwińska

Korekta
Maria Aleksandrow

Redakcja techniczna
Marcin Koc

Indeks
Magdalena Zarzycka

Skład i łamanie
Wojciech Czaplicki

Zdjęcie na okładce
Piotr Życieński

Druk i oprawa
Legra Sp. z o.o.
30-716 Kraków
ul. Albatrosów 10c

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2016

Wydanie II uzupełnione

ISBN 978-83-7629-984-6

Zapraszamy na stronę internetową
www.ipn.gov.pl
oraz do księgarni internetowej
www.ipn.poczytaj.pl

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu	7
Od autorki, czyli o czym i po co jest „Łączka”	12
Trzy instytucje, jeden cel, czyli droga na „Łączkę”	14
Poszukiwania od kuchni, czyli od archiwum do wykopalisk	22
Od próbki do profilu, czyli w laboratorium Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów	36
Publikacje dla przyrodników, czyli historia Polski na eksport	47
Kalendarz na grzebieniu, czyli walka z emocjami	52
Niewiarygodny świstek, czyli nadzieja umiera ostatnia	57
Potwierdzenie tożsamości, czyli przywrócone nazwiska	72
Walka z codziennością, czyli życie rodzin straconych bohaterów	85
Powrót na „Łączkę”, czyli poszukiwania pod asfaltem	94
Przywracania nazwisk ciąg dalszy	109
Panteon, czyli miejsce godnego spoczynku	159
Aneks: Odnalezieni na „Łączce” i odpowiedzialni za ich śmierć	167
Indeks osób	171

ZAMIAST WSTĘPU

*Przemówienie prezesa Instytutu Pamięci Narodowej,
Łukasza Kamińskiego, wygłoszone w Pałacu Prezydenckim 1 marca 2015 r.*

Szanowny Panie Prezydencie, Drogie Rodziny Ofiar komunizmu, Panowie Ministrowie, Panie Rektorze, Szanowni Państwo!

W tym roku po raz piąty obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Projekt ustawy o jego ustanowieniu skierował do sejmku w lutym 2010 r. prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński. Została ona przyjęta przez parlament przygniatającą większością głosów po podtrzymaniu projektu przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego, który następnie złożył pod nią swój podpis. Do ustanowienia dzisiejszego święta państwowego wiodła długa droga.

Konieczne było przełamanie budowanego przez dziesięciolecia propagandowego kłamstwa oraz zorganizowanego zapominania. Pierwsze prace nad historią powojennego podziemia niepodległościowego podjęto na emigracji, publikacje jemu poświęcone pojawiały się także w drugim obiegu wydawniczym w latach osiemdziesiątych. Rozpoczęcie szerszej zakrojonych badań stało się możliwe dopiero po upadku systemu komunistycznego. Szczególną rolę odegrały dwa środowiska historyków: skupionych wokół prof. Tomasza Strzembosza oraz wokół redakcji „Zeszytów Historycznych WiN”, kierowanej od 1994 r. przez późniejszego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej i wielkiego orędownika ustanowienia dzisiejszego święta, prof. Janusza Kurtykę. W tym samym czasie podjęto działania na rzecz przywrócenia żołnierzom podziemia niepodległościowego powszechnej pamięci Polaków.

Największe zasługi położyła w tej mierze Liga Republikańska, która zorganizowała pierwszą wystawę im poświęconą. To właśnie w tytule tej wystawy po raz pierwszy pojawiło się określenie „Żołnierze Wyklęci”, spularyzowane później przez Jerzego Ślaskiego, który użył go w tytule swo-

jej książki. Przemiany 1989 r. przyniosły możliwość wolnego zrzeszania się środowisk kombatanckich. Także i one odegrały wielką rolę w przywracaniu pamięci o powojennej konspiracji. Wymienić należy przede wszystkim Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Stowarzyszenie Społeczno-Kombatanckie Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”, Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych oraz Związek Młodocianych Więźniów Politycznych „Jaworzniacy”.

Przełomem w procesie upamiętniania Żołnierzy Wyklętych było utworzenie Instytutu Pamięci Narodowej. Zatrudnienie w nim znalazła większość dotychczasowych badaczy tej problematyki, pojawiło się wielu nowych. W archiwum IPN znalazły się dokumenty dotyczące dziejów powojennego podziemia, które w większości były wcześniej niedostępne dla historyków. Ważnych ustaleń dokonano także podczas wielu śledztw w sprawie represji wobec bohaterów polskiego podziemia. Możliwe stały się wreszcie szeroko zakrojone działania edukacyjne, przynoszące owoce w postaci zmiany stanu świadomości społecznej. Spośród bardzo wielu działań Instytutu Pamięci Narodowej pozwolę sobie wspomnieć tylko o dwóch. Przez wiele lat prowadzony był projekt badawczy, który zakończył się na początku 2007 r. opublikowaniem monumentalnego *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*. Po raz pierwszy zaprezentowano w nim całościowy obraz powojennej konspiracji. Złożonym z kilkudziesięciu osób zespołem kierowali prof. Rafał Wnuk i dr Sławomir Poleszak. Drugi projekt, „Śladami zbrodni”, miał charakter dokumentacyjno-edukacyjny. W jego toku ustalono setki zapomnianych miejsc uwięzienia, torturowania i mordowania żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego. Tym projektem kierował dr Tomasz Łabuszewski. Wyniki projektu opublikowano w formie albumowej (*Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956*), służą one dziś podczas prac poszukiwawczych.

Mówiąc o miejscach zbrodni, wspomnieć należy o materialnych śladach pamięci, jakie stanowią pomniki i tablice. Największe zasługi położyła w tym zakresie Fundacja „Pamiętamy”, a także Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, zarówno w okresie, gdy jej pracami kierował minister Andrzej Przewoźnik, jak i pod kierownictwem ministra Andrzeja Krzysztofa Kunerta.

Szanowni Państwo, w uzasadnieniu do projektu ustawy o ustanowieniu dzisiejszego święta czytamy: „Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych ma być wyrazem hołdu dla żołnierzy drugiej konspiracji za świadec-

two męstwa, niezłomnej postawy patriotycznej i przywiązania do tradycji niepodległościowych, za krew przelaną w obronie Ojczyzny”.

Dziś te słowa stały się rzeczywistością, to święto jest wyrazem rzeczywistego hołdu Bohaterom dzisiejszego świata. Tylko w tym roku liczba poświęconych im przedsięwzięć, których inicjatorem lub współorganizatorem jest Instytut Pamięci Narodowej, przekroczyła trzysta. A przecież jest też bardzo wiele takich, w których nie uczestniczymy. Angażują się w ich przygotowanie lokalne środowiska, stowarzyszenia, szkoły, władze samorządowe i państwowe. Historię Żołnierzy Wyklętych przedstawiają właściwymi sobie środkami ekspresji plastycy, ludzie pióra i muzycy. Co najważniejsze, ta historia dociera do ludzi młodych, urodzonych już w wolnej Polsce. I nie tylko dociera – ta historia ich porusza i inspiruje. Tak szybka zmiana stanu świadomości społecznej możliwa była w wielkim stopniu dzięki rozpoczętym w 2011 r. poszukiwaniom i ekshumacji ofiar komunistycznego terroru. Obraz masowych mogił polskich bohaterów, z pietyzmem podnoszonych potrzaskanych szczątków dzięki zaangażowaniu mediów dotarł do milionów Polaków i poruszył serca wielu z nich.

Projekt poszukiwań miejsc pochówku ofiar komunizmu zainicjowały Instytut Pamięci Narodowej i Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, do których szybko, dzięki decyzji ministra Krzysztofa Kwiatkowskiego, dołączyło Ministerstwo Sprawiedliwości. Umowę o współpracy podpisaliśmy także z Uniwersytetem Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.

Większością prac kieruje pełnomocnik prezesa IPN i naczelnik Samodzielnego Wydziału Poszukiwań, prof. Krzysztof Szwagrzyk. Część prac prowadzona jest w ramach śledztw prokuratorów Instytutu Pamięci Narodowej.

Ponadto od 2012 r. równoległe odbywa się proces identyfikacji genetycznej odnalezionych szczątków. Jest on możliwy dzięki porozumieniu podpisanemu przez Instytut Pamięci Narodowej i Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie o utworzeniu Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów. Zaangażowanie PUM w ten tak nietypowy dla uczelni medycznej projekt możliwe było dzięki decyzji jej rektora, prof. Andrzeja Ciechanowicza. Bilans dotychczasowych prac tworzy kilkadziesiąt przebadanych miejsc i ponad siedemset odnalezionych szczątków ofiar, z których ponad czterdzieści zostało zidentyfikowanych. Nasza praca daleka jest od zakończenia, wiele problemów (w tym natury prawnej) czeka na rozwiązanie. Będziemy je rozwiązywać wytrwale i nie spoczniemy, póki nie wyczer-

piemy wszystkich możliwości odnalezienia miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego i ich identyfikacji.

Szanowni Państwo, jak wiemy, datę obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych wyznaczono nieprzypadkowo. 1 marca 1951 r. komunistyczni oprawcy stracili płk. Łukasza Ciepłińskiego i jego sześciu towarzyszy z IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. WiN był największą organizacją powojennej konspiracji, wprost wywodzącą się z Armii Krajowej, broniącą w powojennej rzeczywistości ideałów Polskiego Państwa Podziemnego. Jestem przekonany, że nie tylko znaczenie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” w najnowszych dziejach Polski zdecydowało o tym wyborze. Ogromną rolę w podjęciu tej decyzji miała niewątpliwie pamięć o wyjątkowym człowieku, jakim był płk Ciepłiński. W celi śmierci napisał on wiele grypsów do rodziny, które zostały zachowane dzięki jednemu z jego podkomendnych. Myślę, że właśnie w tym dniu i w tym szczególnym momencie powinny zabrzmieć słowa płk. Ciepłińskiego. W celi śmierci, oczekując na egzekucję, w środku stalinowskiej nocy, gdy wszystko wydawało się stracone, dawał on wyraz niezłomnej wiary w zwycięstwo swoich idei. Pisał:

Ból spędza sen z oczu, mózg szarpie i siły,

czy sny niespełnione powstaną z mogiły,

czy drogiej idei dni wstaną mocarne,

czy nasze ofiary nie pójdą na marne.

Wierzę – nie pójdą, sny wstaną, syn zastąpi ojca.

Wierzę bardziej niż kiedykolwiek, że Chrystus zwycięży, Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona.

Na kilka tygodni przed śmiercią w podobnych słowach Ciepłiński napisał do syna:

„Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą. Jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość. Wierzę dziś bardziej niż kiedykolwiek, że idea Chrystusowa zwycięży i Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona. To moja wiara i moje wielkie szczęście. Gdybyś odnalazł moją mogiłę, to na niej możesz te słowa napisać”.

Odnajdziemy Twój grób, Panie Pułkowniku. Wyryjemy na nim Twe słowa. Od dawna zapisane są w naszych sercach.

Szanowni Państwo, płk Łukasz Ciepliński, rtm. Witold Pilecki i inni bohaterowie polskiego podziemia niepodległościowego wysoko postawili przed nami ideał człowieczeństwa i patriotyzmu. Warto mieć ten wzór przed oczyma, abyśmy i my mogli kiedyś powtórzyć proste słowa Danuty Siedzikówny „Inki”, że zachowaliśmy się jak trzeba.

Łukasz Kamiński

OD AUTORKI, CZYLI O CZYM I PO CO JEST „ŁĄCZKA”

W lipcu 2012 r. w dziesiątkach rodzin polskich bohaterów z czasów II wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu odżyła na nowo nadzieja. Nadzieja na odnalezienie grobów ojców, wujów, stryjów, dziadków. Rozpoczęły się bowiem prace ekshumacyjne w kwaterze „Ł” na warszawskich Powązkach, zmierzające do odnalezienia i identyfikacji ofiar mordów sądowych z okresu komunizmu, straconych w więzieniu mokotowskim w latach 1948–1956. Kilka miesięcy później trzy rodziny uzyskały pewność, że ich bliskich pogrzebano właśnie na „Łączce”. Z czasem grupa ta zaczęła się powiększać.

Co czują osoby, które po latach niepewności odnajdują szczątki krewnych? Co przeżywały w ciągu minionych dekad? Ile wysiłku muszą włożyć specjaliści, by poszukiwania zakończyły się sukcesem? Jak wygląda ich codzienna, mrówcza praca?

W tej opowieści mroczna historia lat stalinizmu przeplata się z wiedzą o najbardziej zaawansowanych technologiach identyfikacji genetycznej. Profesjonalizm naukowców zderza się z emocjami rodzin poszukiwanych – nadzieją, napięciem, bolesnymi wspomnieniami. Podróżujemy między rozkopanym fragmentem warszawskiego cmentarza na Powązkach a najnowocześniejszymi laboratoriami genetycznymi w Szczecinie i w Krakowie. Sięgamy do pamięci o komunistycznych kazamatach, brutalnych śledztwach i dzieciństwie bez ojców, by zaraz wybiec w przyszłość, w której metody badawcze wypracowane przez polskich naukowców stają się wzorem do naśladowania na świecie.

Wszystko to służy jednemu: spłacie długu wobec ludzi, którym zależało na wolnej, suwerennej Polsce. Za swoje marzenia zapłacili najwyższą cenę. Dlatego po prostu nie wypada pytać, czy poszukiwania miejsc ich tajnego pochówku, a następnie kosztowna i czasochłonna identyfikacja genetyczna

mają sens. Gdyby ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości – a wiem, że niektórzy miewają – niech pomyśli, że to właśnie dzięki tym ludziom, których poszukujemy, możemy dzisiaj w swoim kraju mówić po polsku, a nie po rosyjsku, a paszporty trzymamy w domu zamiast na milicji.

TRZY INSTYTUCJE, JEDEN CEL, CZYLI DROGA NA „ŁĄCZKĘ”

Koniec lutego 2014 r. W mieszkaniu Reginy Litke na warszawskim Muranowie dzwoni domofon. W słuchawce pani Regina słyszy: „Andrzej Cisek, Instytut Pamięci Narodowej”.

Zanim pracownik IPN dojedzie windą do mieszkania, mijają dwie, trzy minuty. Prawdopodobnie najdłuższe trzy minuty w jej życiu. Serce łomocze. Osiemdziesięcioletnia dama spodziewa się, że za moment ostatecznie rozwieją się wszelkie wątpliwości co do losów jej ojca. Rzeczywiście: dowiaduje się, że wyrok śmierci na mjr. Janie Czeredysie wykonano 14 grudnia 1948 r.; jego szczątki znaleziono na Powązkach wiosną 2013 r., a następnie, w wyniku badań genetycznych, udało się potwierdzić tożsamość zmarłego. Cisek wręcza pani Reginie zaproszenie na uroczystość w Belwederze, podczas której będzie mogła odebrać notę identyfikacyjną ojca.

A więc to, czego pani Regina domyślała się od przeszło sześćdziesięciu lat, zostało już bezspornie potwierdzone.

– Na przełomie listopada i grudnia 1948 r., już po wydaniu wyroku śmierci, wybrałam się z mamą do więzienia przy Rakowieckiej, żeby zobaczyć się z ojcem. Jak się później okazało, było to nasze jedyne widzenie. Kiedy starałyśmy się o kolejne spotkanie, usłyszałyśmy od wartownika w dyżurce, że ktoś taki jak Jan Czeredys nie figuruje w ewidencji. Żadnej informacji, co się z nim stało. Wtedy uczepiłyśmy się myśli o tym, że być może został wywieziony na Syberię. Nadzieja tliła się do 1956 r., kiedy ze wschodu powróciło bardzo wielu Polaków. Jednak nawet potem jeszcze długo nie udałyśmy się do urzędu stanu cywilnego po akt zgonu. Kiedy wreszcie to zrobiłam, pod koniec lat osiemdziesiątych, figurowała na nim data śmierci: 15 grudnia 1948 r. Musiała zostać wzięta z sufitu – opowiada Regina Litke.

Sytuacje podobne do tej, która w lutym 2014 r. wydarzyła się w domu córki mjr. Jana Czeredysa, miały miejsce dotychczas w 41 rodzinach. Tyłu bowiem

bohaterów – żołnierzy antykomunistycznego podziemia zbrojnego oraz przedwojennych oficerów – udało się dotychczas zidentyfikować na powązkowskiej „Łączce” (40 osób) i na cmentarzu garnizonowym w Gdańsku (1 osoba). Do października 2014 r. na Powązkach znaleziono szczątki 198 straconych. Pod znacznie późniejszymi – postawionymi w latach osiemdziesiątych – nagrobkami spoczywają jeszcze szczątki prawdopodobnie około 90 osób.

Aby odnalezienie i zidentyfikowanie szczątków było możliwe, przez wiele miesięcy pracował cały sztab specjalistów: archiwiści, archeolodzy, antropolodzy, specjaliści medycyny sądowej, genetycy. Przedstawiciele dyscyplin naukowych bardzo od siebie odległych.

Jest 23 sierpnia 2011 r., 72. rocznica podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow. Instytut Pamięci Narodowej i Ministerstwo Sprawiedliwości organizują w Polsce obchody pierwszego w historii Europejskiego Dnia Pamięci Ofiar Reżimów Totalitarnych. W Muzeum Powstania Warszawskiego spotykają się ministrowie sprawiedliwości z całej Unii Europejskiej oraz szefowie odpowiedników polskiego IPN.

– Kiedy rozmawiałem ze swoimi odpowiednikami z państw Europy Zachodniej, było dla mnie ogromnym zaskoczeniem, jak bardzo małe jest ich zrozumienie dla zbrodni komunistycznych – wspomina uczestniczący w obchodach ówczesny minister sprawiedliwości Krzysztof Kwiatkowski, później prezes NIK. – Wrażliwość np. mojego odpowiednika hiszpańskiego z rządu José Zapatero była całkiem inna. Dla nich pamięć o II wojnie światowej i okresu ją bezpośrednio poprzedzającego – wojny domowej – to przede wszystkim zbrodnie faszystowskie. Wrażliwość jednowymiarowa. Jako Polak pokazywałem, że tak naprawdę wydarzenia sprzed sześćdziesięciu lat to zbrodnie zarówno niemieckie, hitlerowskie, jak i komunistyczne, czyli sowieckie.

Oprócz Krzysztofa Kwiatkowskiego i dr. Łukasza Kamińskiego, prezesa IPN, w uroczystościach bierze udział również sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, dr hab. Andrzej Krzysztof Kunert. W przerwie między panelami panowie rozmawiają o tym, że pamięć o ofiarach totalitaryzmu jest znaczonej dziesiątkami miejsc tragedii. Jednym z tych wyjątkowych miejsc jest powązkowska „Łączka”.

– Uznaliśmy, że te trzy instytucje – IPN, ROPWiM i Ministerstwo Sprawiedliwości – mogłyby wspólnie podjąć się prac poszukiwawczych, przede wszystkim na warszawskiej „Łączce” – mówi Kamiński. – Trzeba było opracować prawną formułę porozumienia, bo przecież każdy z tych podmiotów działa na podstawie innego typu aktu prawnego. 4 września

wspólnie z ministrem Kunertem zapytaliśmy prof. Krzysztofa Szwagrzyka, czy zechce się podjąć koordynowania prac ekshumacyjnych w wymiarze ogólnopolskim. Oczywiście się zgodził.

Doktor hab. Krzysztof Szwagrzyk z wrocławskiego oddziału IPN, profesor Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, w 2011 r. miał już duże doświadczenie w poszukiwaniu miejsc pochówku ofiar komunizmu i identyfikacji ich tożsamości. W latach 2003–2008 zespół pod jego kierownictwem ekshumował na wrocławskich Osobowicach oraz na Opolszczyźnie szczątki sześciu bohaterów, których tożsamość ustalili następnie genetycy. W 2009 r. Szwagrzyk uczestniczył w poszukiwaniach miejsc pochówku żołnierzy Bojowego Oddziału Armii na cmentarzu Centralnym w Szczecinie, a w październiku 2011 r. – ponownie kierował ekshumacją we Wrocławiu.

– Podczas prac na Osobowicach prof. Szwagrzyk udowodnił, że możliwa jest identyfikacja większych grup, a nie tylko pojedynczych osób – podkreśla prezes IPN.

– Pola 81A i 120 na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu to jedyne w Polsce niezlikwidowane pola pochówków ofiar komunizmu. Wszystkie inne zostały przekopane i przeznaczone na nowe pochówki – dodaje Krzysztof Szwagrzyk. – Udało się tam odnaleźć szczątki 299 wrocławskich więźniów straconych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Tam uformował się zespół, który dziś wykonuje tego typu prace poszukiwawcze w całym kraju. Nasze doświadczenia chcieliśmy przenieść do Warszawy, aby zbadać to szczególne miejsce w Polsce – kwaterę „Ł” na cmentarzu Powązkowskim.

Osoby odnalezione we Wrocławiu i na Opolszczyźnie w latach 2003–2008

Imię i nazwisko	Miejsce i rok ekshumacji
Hieronim Bednarski (1921–1953), żołnierz AK i WiN	cmentarz Ewangelicko-Augsburski w Opolu, 2006 r.
Mieczysław Bujak (1926–1951), żołnierz AK	cmentarz Osobowicki we Wrocławiu, 2006 r.
Edward Cieśla (1923–1952), żołnierz AK	cmentarz komunalny w Opolu-Półwsi, 2006 r.
Włodzimierz Pawłowski (1911–1953), podoficer Wojska Polskiego, oficer Batalionów Chłopskich	cmentarz Osobowicki we Wrocławiu, 2003 r.
Stefan Pólrul (1926–1953), członek Polskiej Organizacji Podziemnej „Wolność” w Marynarce Wojennej	cmentarz Osobowicki we Wrocławiu, 2008 r.
Antoni Tomiałojć (1923–1949), żołnierz AK i WiN	cmentarz Osobowicki we Wrocławiu, 2008 r.

26 października 2011 r. Instytut Pamięci Narodowej i Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa wydają wspólny komunikat, w którym czytamy:

„Z szacunku dla tysięcy ofiar systemu komunistycznego, pozbawionych przez ponad pół wieku swoich grobów – Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Instytut Pamięci Narodowej podjęły wspólne działania zmierzające do odnalezienia w całym kraju wszystkich miejsc pochówku żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, organizacji Wolność i Niezawisłość, Konspiracyjnego Wojska Polskiego i innych ugrupowań niepodległościowych, więźniów politycznych z lat 1944–1956. Pierwszymi pracami realizowanymi w ramach zawartego porozumienia są prace ekshumacyjne realizowane na polach 81A i 120 cmentarza Osobowickiego we Wrocławiu, w wyniku których identyfikujemy miejsca pochówku i tożsamość ponad 350 więźniów straconych i zmarłych w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu.

Doświadczenia i dotychczasowe efekty prowadzonych we Wrocławiu działań pozwalają nam na wyrażenie nadziei, że podobnym skutkiem w możliwie nieodległej przyszłości zakończą się poszukiwania miejsc pochówku osób zamordowanych w więzieniach Warszawy (tu poszukiwania rozpoczniemy w najbliższym czasie), Białegostoku, Gdańska, Katowic, Krakowa, Lublina, Łodzi, Poznania, Rzeszowa, Szczecina i innych miast”.

10 listopada 2011 r. Instytut Pamięci Narodowej, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości zawierają porozumienie.



Andrzej Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Krzysztof Kwiatkowski, minister sprawiedliwości, i Łukasz Kamiński, prezes IPN, podpisują list intencyjny w sprawie programu poszukiwań nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego; porozumienie podpisano w budynku Aresztu Śledczego w Warszawie - Mokotowie – tym samym, w którym stracono większość poszukiwanych; Warszawa, 10 listopada 2011 r. (fot. Piotr Życieński)

„Mając na uwadze doniosłą potrzebę krzewienia wśród polskiego społeczeństwa wiedzy o walce z narzuconym przemocą ustrojem komunistycznym i ogromie ofiar poniesionych przez Naród Polski w latach 1944–1956, [...] Partnerzy wyrażają wolę nawiązania współpracy i prowadzenia wspólnych działań na rzecz odnalezienia nieznanych dotąd miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956” – czytamy w preambule i pierwszym paragrafie listu intencyjnego.

Krzysztof Szwaagrzyk zostaje powołany na pełnomocnika prezesa IPN ds. poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956.

IPN odpowiada za poszukiwania, ROPWiM – za upamiętnienie odnalezionych (w pierwszych miesiącach finansowała też prace poszukiwawcze), Ministerstwo Sprawiedliwości zaś włącza się w proces identyfikacji (w badaniach bierze udział krakowski Instytut Ekspertyz Sądowych), a także uczestniczy w unieważnianiu wyroków wydanych przez komunistyczne sądy na bohaterów. W wielu przypadkach pomocy udziela Służba Więzienna.

Krzysztof Kwiatkowski, minister sprawiedliwości w latach 2009–2011:

– Te wyroki można było wcześniej unieważnić, ale prawo do występowania w takich sprawach mieli wyłącznie bliscy ofiar. Tymczasem po upadku komunizmu żyjących członków rodzin ofiar, którzy upomnieliby się o pamięć pomordowanych, było niewielu. Przepisy dopuszczają jednak, aby z taką inicjatywą występował również minister sprawiedliwości. Złożyłem więc, jako pierwszy z ministrów sprawiedliwości, około tysiąca takich wniosków. Sprawa była bardzo trudna. Wymagała za każdym razem bliskiej współpracy z IPN, szczególnie z pionem śledczym. Musieliśmy indywidualnie, w każdym przypadku, wykazać, że zarzuty – często stawiane jako kryminalne – zostały sfabrykowane. IPN wykonał dla ministerstwa benedyktyńską pracę, przeprowadzając kwerendę takich spraw, co później pomagało w procedurze unieważniania wyroków. Nie można było zbiorowo ich unieważnić, bo komuniści sprytnie je ukryli wśród tysięcy innych spraw. Sądy wojskowe skazywały również rzeczywistych zbrodniarzy, np. szmalcowników. Trzeba było więc odszukiwać wśród wielu wyroków te, które wydano wobec żołnierzy niezłomnych. Pierwszy mój wniosek dotyczył Danuty Siedzikówny, bohaterskiej „Inki”, której miejsce pochówku zostało zidentyfikowane i potwierdzone w marcu 2015 r. Mam satysfakcję, że udało mi się rozpocząć ten proces przywracania dobrej pamięci.

Wojskowe sądy rejonowe powstały na mocy rozkazu organizacyjnego z 20 stycznia 1946 r., wydanego przez Naczelnego Dowódcę Wojska Polskiego i Ministra Obrony Narodowej, marsz. Michała Żymierskiego. Rozpatrywały sprawy funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego, MO, KBW i innych formacji zmilitaryzowanych, a także osób cywilnych podlegających właściwości sądów wojskowych na mocy szczególnych przepisów. Orzeczenia tych sądów wydawano na podstawie dekretów z mocą ustawy, które charakteryzowały się niespotykaną dotąd surowością kar. Szczególnie ważnym dla działalności WSR aktem prawnym był kodeks karny Wojska Polskiego, wprowadzony w dekrecie komunistycznego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 23 września 1944 r. Rozdział XVII tego dekretu dotyczył tzw. zbrodni stanu, które w większości zagrożone były karą śmierci. Wojskowe sądy rejonowe działały do 1955 r.

Skąd specjaliści wiedzieli, że szczątków bohaterów trzeba szukać właśnie w kwaterze „L” na Powązkach Wojskowych? Oficjalnych dokumentów, które potwierdzałyby grzebanie straconych akurat tam, oczywiście nie ma. Komuniści nie mieli zamiaru pozostawiać jakichkolwiek śladów swoich zbrodni, a przede wszystkim chcieli zatrzeć pamięć o bohaterach walczących o niepodległość Polski. Jednak na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pocztą pantoflową zaczęły się rozchodzić informacje, że więźniów politycznych straconych w więzieniu mokotowskim w latach stalinizmu wrzucano do dołów wykopanych na obrzeżach cmentarza komunalnego na Powązkach.

– Do pani Janeczki Staniewiczowej, wdowie po kmdr. Jerzym Staniewicz, zaczęły sływać informacje, że naszych ojców być może pochowano na Powązkach komunalnych, na fragmencie śmietniska – mówi Witold Mieszkowski, syn kmdr. Stanisława Mieszkowskiego, straconego na Mokotowie w grudniu 1952 r.

Mieszkowscy, podobnie jak rodzina Jana Czeredysa, nie bardzo wierzyli w wykonanie wyroku śmierci i, podobnie jak tamci, przez jakiś czas żyli nadzieją, że komandor, jako świetny we flocie fachowiec (artylerzysta morski), został raczej wywieziony w głąb Rosji.

– Kiedy już powoli zaczynaliśmy wątpić w to, że ojciec żyje, intensywniej zaczęliśmy poszukiwać ewentualnych miejsc pochówku – opowiada Witold Mieszkowski. – Matka moja, podobnie jak inne wdowy mieszkające w Warszawie, też w tym czasie chodziła na „Łączkę”. Ja bardziej wiązałem myśli z brzoźowymi zagajnikami w Rembertowie. W międzyczasie nam i innym rodzinom spośród dziewiętnastu straconych wyższych oficerów władze zaproponowały ufundowanie grobu symbolicznego. Część wdów na to przystała. Myśmy natomiast stali na stanowisku, że albo będzie wspólny pomnik wszystkich dziewiętnastu straconych w tzw. odpryskach spisku w wojsku, albo wcale. Indywidualnych nie chcieliśmy przyjmować. To był koniec lat pięćdziesiątych. Już wtedy wdowy zaczęły nosić kwiaty i palić znicze na „Łączce”. W kolejne dni Wszystkich Świętych to miejsce było podobno coraz bardziej rozświetlone od zniczy. Wcześniej zresztą niektórzy mieli przecieki od miejscowych grabarzy o nocnym grzebianiu zwłok. Panie Maria Romer-Kędziarska i Apolonia Leśnikowska z córką Marysią chodziły już tam wówczas regularnie. Dla mnie jednak te informacje rozchodzące się pocztą pantoflową sprawiały wrażenie nieprawdziwych. Jakież śmietnisko? Nikomu nie przyszło na myśl, że filozofia komunistów może być aż tak azjatycka! – Witold Mieszkowski do dziś nie może wyjść ze zdziwienia.

W latach osiemdziesiątych, podczas stanu wojennego, dawne śmietnisko, a zarazem miejsce tajnych pochówków więziennych, zaczęto zagospodarowywać. Pojawiały się kolejne grobowce oficerów ludowego Wojska Polskiego – najczęściej inżynierów, lekarzy, farmaceutów – ale też wojskowych prokuratorów (np. mjr. Jerzego Wenelczyka, oprawcy kmdr. Mieszkowskiego) i sędziów, wśród nich ppłk. Romana Kryżego, znanego z wydawania licznych wyroków śmierci („Sądzi Kryże – będą krzyże” – mawiano). Część szczątków pochowanych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych znalazła się pod asfaltową alejką, część – pod nowymi nagrobkami, upamiętniającymi jednak kogoś zupełnie innego. Rodziny osób chowanych tu w latach osiemdziesiątych, a przynajmniej część z nich, najprawdopodobniej nie miały pojęcia o historii tego fragmentu Powązek.

– Ale zarząd cmentarza musiał wiedzieć. Tylko że do dziś jakoś dziwnie prokurator nie może dojść, kto odpowiada za rozbudowę cmentarza wojskowego o tę część komunalną. Nad „Łączką”, dla nas miejscem świętym, wciąż panuje... martwa cisza! A ktoś to przecież zaprojektował i wytyczył, ktoś poprowadził tę asfaltową aleję po zagrzebanych tu szczątkach mojego

ojca! Pod osłoną stanu wojennego stawiano tam kolejne nagrobki aktywistom posłusznie przez lata służącym do czerwonej mszy. Za maskowanie i skrywanie zbrodni odpowiedzialność stanowczo powinna być taka jak za współudział w zbrodni – uważa Witold Mieszkowski.

W 1988 r. reportażystka Małgorzata Szejnert podjęła śledztwo dziennikarskie dotyczące tajnych pochówków więźniów politycznych z okresu stalinizmu. Tropcy zaprowadziły ją w dwa miejsca: na nowy cmentarz parafii św. Katarzyny przy ul. Wałbrzyskiej i właśnie na kwaterę „Ł”. Rezultaty swojego dochodzenia opisała w książce *Śród żywych duchów*, wydanej najpierw w wydawnictwie emigracyjnym w 1990 r. (cenzura – przypomnijmy – istniała do kwietnia 1990!), a ostatnio wznowionej przez wydawnictwo Znak w roku 2012. Szejnert w przeddzień Wszystkich Świętych 1988 r. udała się na „Łączkę” i na kilku symbolicznych grobach, które – jak się potem okazało – powstawały tam od końca lat pięćdziesiątych, zostawiła kartki z prośbą o kontakt, skierowaną do rodzin straconych. Odpowiedź dostała m.in. od Marii Leśnikowskiej, córki Tadeusza Leśnikowskiego, żołnierza AK straconego w 1950 r. Matka pani Marii w 1959 r. usypała na „Łączce” kopczyk po tym, jak miejscowy grabarz wskazał jej, w którym mniej więcej miejscu może być pochowany Leśnikowski.

W listopadzie 1990 r. na „Łączce” wmurowano kamień węgielny pod pomnik upamiętniający pogrzebanych tu bohaterów. Wciąż jednak informacje, na których podstawie zdecydowano o lokalizacji pomnika, pochodziły jedynie z przekazów ustnych. Stuprocentowej pewności co do tego, że właśnie w tym miejscu pochowano bohaterów straconych w okresie stalinizmu, nadal nie było.

POSZUKIWANIA OD KUCHNI, CZYLI OD ARCHIWUM DO WYKOPALISK

Przełomowy moment dla rozpoczęcia prac na „Łączce” to rok 2012, gdy już w trakcie prac w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego udaje się odnaleźć zdjęcie lotnicze z lat pięćdziesiątych. Widać na nim, że teren wówczas na obrzeżach Powązek komunalnych jest rozkopany. To ważne potwierdzenie przekazów ustnych.

Pora na kolejny krok: trzeba uruchomić georadar. 15 marca 2012 r. na „Łączkę” przybywają dr hab. Krzysztof Szwagrzyk i dr Andrzej Ossowski, genetyk z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, a także specjalista w zakresie nieinwazyjnego badania gruntu. Georadar, który ma ze sobą, z wyglądu przypomina froterkę do podłogi albo kosiarkę.

– Urządzenie działa w ten sposób, że wysyła w grunt fale radiowe. One się odbijają od poszczególnych warstw i wracają. Różnice w czasie powrotu odbitych fal pozwalają na stworzenie obrazu gruntu. Dzięki temu wiemy, czy badany grunt był kiedykolwiek rozkopany, czy nie – tłumaczy Andrzej Ossowski. – Jednak georadar nie potrafi pokazać, czy na danym terenie jest szkielet. Dopóki nie wykonamy wykopów sondażowych, dopóty nie stwierdzimy, czy pochówki w danym miejscu były, czy nie – zaznacza naukowiec.

Podkreśla, że nie ma sensu rozpoczynać pracy w terenie, zanim nie zostanie przeprowadzona kwerenda archiwalna.

– Łatwiej jest spędzić miesiące w archiwach niż lata w terenie – podsumowuje.

Kwerendą zajmuje się wspomniany już Andrzej Cisek, historyk z Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN. To on opracowuje *dossier* każdego poszukiwanego. Z istic detektywistycznym zapałem przekopuje tony dokumentów – nie tylko tych przechowywanych w IPN, lecz także np. w Centralnym Archiwum Wojskowym.

Prace w terenie startują 23 lipca 2012 r. Na warszawskie Powązki przybywa zespół złożony z przedstawicieli najrozmaitszych dziedzin: archeologów, antropologów, specjalistów medycyny sądowej i genetyków. Pochodzą z różnych stron Polski, większość jest z Wrocławia i ze Szczecina. Znaczna ich część ma już doświadczenie współpracy z dr. hab. Krzysztofem Szwagrzykiem.

– Metoda, którą wypracowaliśmy we Wrocławiu, okazała się skuteczna. Wszyscy pracujemy na wspólny sukces. Liczą się wiedza, doświadczenie, rzetelność, a przede wszystkim jakość wykonanej pracy. Niedoskonałość któregokolwiek z tych elementów niestety zmniejsza szanse na powodzenie ostateczne: błąd archeologa, medyka czy historyka przekłada się na finalny wynik. Aby tak się nie stało, staraliśmy się dobierać ludzi, którzy gwarantują nam tę jakość – podkreśla prof. Szwagrzyk.

Pierwsze ogniwo łańcucha specjalistów pracujących w terenie to archeolodzy. Ich zadania zaczynają się od nadzorowania pracy koparki, która robi wykop szerokopłaszczyznowy. Maszyna przewala hałdy ziemi, a specjaliści wypatrują szarych plam. Jeśli się one pojawią, będzie to znak, że ktoś kiedyś wykopał tutaj dół, a następnie go zasypał. Wtedy trzeba będzie przerwać kopanie, aby nie naruszyć poszukiwanych kości.

Dokopywanie się do szarych plam na powązkowskiej „Łączce” trwa dłużej, niż ekipa się spodziewała. To dlatego, że pod koniec lat pięćdziesiątych na miejsce dzisiejszej kwatery „L” nawieziono półtora metra gruzu, by zniwelować teren. Pierwszy dzień poszukiwań nie przynosi niestety rezultatu. Sytuacja się zmienia drugiego dnia. Wtedy w ruch idą szpadle, ciężki sprzęt mógłby bowiem naruszyć strukturę kości. Kiedy archeolodzy zauważą szkielet, odsłaniają go ostrożnie, używając pędzla i szpikulca. Myli się ten, kto sądzi, że ta czynność przypomina znane z niektórych filmów leciutkie strzeptywanie suchego piasku. W rzeczywistości ziemia jest mokra i zbita.

Wyczyszczony wstępnie szkielet trzeba udokumentować – zrobić zdjęcie i wypełnić protokół archeologiczny. Piszemy np. tak: „widzimy ludzki szkielet, wyglądający na kompletny. Kości nie są ułożone anatomicznie – ręce są powyginane w łokciach. Ciało zostało rzucone na plecy”. Szkielet musi też zostać zmierzony i opisany, jak leży względem kierunków świata. Wtedy dopiero można go podjąć, wydobyć na powierzchnię. Każdą kość należy dobrze wyczyścić. W ruch idą pędzle i szczotki. Na rękach trzeba koniecznie mieć rękawiczki – po pierwsze dla własnej higieny, a po drugie – żeby DNA osoby czyszczącej nie przedostało się na kości, które mają zostać zbadane. Ale to jeszcze nie koniec pracy archeologów. Muszą oni



Archeolog odstaniania znaleziony szkielet (fot. Piotr Życieński)



Dokumentacja odstanionego szkieletu w dole nr 1; po badaniach genetycznych wiemy już, że te szczątki należały do Edmunda Bukowskiego (fot. Piotr Życieński)

kopać tak długo, aż zobaczą tzw. calec. Tak w ich zawodowym żargonie nazywa się warstwę ziemi, której nikt nigdy nie rozkopywał.

Na „Łączce” rzadko który szkielet znaleziony w danej jamie okaże się jedynym. Kolejne dni pokazują, że większość odkrytych dołów to groby masowe. A przecież ekipa nie poszukuje miejsc masowych pochówków w ogóle, tylko szczątków konkretnych osób. Dlatego archeologom przy podejmowaniu szczątków pomagają antropolodzy.

– Naszym zadaniem jest oddzielić od siebie szkielety poszczególnych osób tak, żeby każdy pozostał sobą. Określamy również wiek i płeć odnajdywanych osób oraz cechy charakterystyczne, które mogą pomóc w identyfikacji – mówi Katarzyna Kuźniarska, antropolog z Wrocławia.



Benedyktyńska praca archeologów i antropologów: podejmowanie szczątków do najdrobniejszej kostki (fot. Piotr Życieński)

Rozdzielenie szkieletów nie jest łatwym zadaniem. Na „Łączce” wrzucano do dołów po dwie, najczęściej trzy osoby, a nierzadko było ich nawet po osiem czy dziewięć, w dodatku bez trumien. Ciała leżały tak, jak spadły: na plecach, twarzą do ziemi lub naprzeciwlegle w taki sposób, że nogi jednej osoby znajdowały się tam, gdzie głowa drugiej – i odwrotnie. Dzięki doświadczeniu antropolog jest w stanie opisać układ szczątków oraz odróżnić od siebie kości poszczególnych ludzi nawet w zbiorowych mogiłach. Jedną z metod ułatwiających właściwe przyporządkowanie kości do poszczególnych osób jest stosowanie taśmy w kilku kolorach.

– Ci ludzie byli wrzucani na przemian, żeby jak najwięcej mieściło się w jednej jamie – komentuje Natalia Szymczak, warszawska archeolog.

Jest zszokowana jamą grobową, w której ręka wystaje wysoko ponad powierzchnię ułożenia szkieletu.

– Jeżeli ktoś ma pojęcie o ułożeniu anatomicznym, to widzi, że ta osoba została po prostu wciśnięta do dołu. To wygląda tak, jakby ten ktoś próbował się z niego wydostać. Kopiający doły nie wiedzieli, na ile osób mają je przygotować, stąd też spotkaliśmy się z sytuacjami, w których do jamy teoretycznie jednoosobowej wrzucano więcej ciał. Jeśli ktoś się nie mieścił, zwłoki były wbijane i upychane na siłę.

Bywało i tak, że najpierw wrzucano trzy ciała, potem zasypywano je ziemią, a za jakiś czas na wierzch dorzucano kolejne trzy.

W takich warunkach kości poszczególnych osób są bardzo wymieszane. Szczególnie trudno odróżnić drobne kosteczki – nadgarstki czy paliczki dłoni. Jeśli więc Kasia i Natalia mają wątpliwości, konsultują się z resztą zespołu.

– Niektóre sytuacje bywają bardzo trudne, a sprawa wymaga najwyższego profesjonalizmu – podkreśla Katarzyna Kuźniarska.

Kiedy uda się ustalić, poczynając od czaszki, do którego szkieletu przynależą poszczególne kości, antropolodzy wypełniają protokół, w którym opisywane są układ szczątków, ich płeć i wiek. Następnie podejmują z jamy grobowej dokładnie oczyszczone fragmenty szkieletu oraz przedmioty osobiste należące do danej osoby i układają je w drewnianych skrzyniach. Każdą opisują numerem jamy i numerem szczątków.

Teraz kości mogą powędrować do specjalistów medycyny sądowej. Przy białym stoliku, pod namiotem, uwija się niezmordowany duet: dr Łukasz Szleszkowski, lekarz, i Agata Thannhäuser, antropolog sądowa. Na co dzień pracują razem w Zakładzie Medycyny Sądowej we Wrocławiu. Porozumiewają się niemal bez słów.



Bez rekonstrukcji czaszki próba oceny obrażeń przypomina wróżenie z fusów – mówi Łukasz Szleszkowski (fot. Piotr Życieński)

– Kiedy już wejdziemy w rytm pracy, przypomina on pracę w fabryce – śmieje się Łukasz. – Każdy wie, co ma robić, nie ma zbędnych ruchów.

Zadaniem specjalistów medycyny i antropologii sądowej jest ustalenie przyczyny zgonu osoby, do której należał badany szkielet. Ustalają oni też wiek, płeć, wzrost i indywidualne cechy identyfikacyjne, np. uzębienie. Najpierw kości trzeba ułożyć na stole w porządku anatomicznym. Agata każdą kość bierze do ręki, ogląda i układa na właściwym miejscu. Czaszkę trzeba skleić.

– Bez tego próba oceny obrażeń przypomina wróżenie z fusów – mówi dr Szleszkowski.

Pylek, który został na kościach, Łukasz rozdmuchuje gumową gruszką. Wspólnie z Agatą ogląda szkielet jeszcze raz.

– Na podstawie oględzin szczątków kostnych ustalamy wiek, płeć i wzrost. Bardzo ważne są też cechy indywidualne, które pomagają w identyfikacji przedgenetycznej – tłumaczy antropolog sądowa.

Specjaliści medycyny i antropologii sądowej niejednokrotnie pomagają archeologom i antropologom w dopasowaniu kości znalezionych we wspólnych grobach do poszczególnych szkieletów. Jeśli kości są bardzo pomieszane, rozdzielenie szczątków graniczy z niemożliwością.

– Można dopasować część z nich na podstawie wyglądu – jedne kości są dłuższe, inne krótsze. Był też przypadek taki, że trzy osoby leżały w jednym grobie i większość kości udało się oddzielić od razu, ale kości stóp były przemieszane. Dostaliśmy woreczek ze stopami trzech osób. Akurat tak się złożyło, że jedna z tych osób była wysoka i smukła, druga krępa, przysadzista, a trzecia – średniej budowy. Dopasowanie było więc dosyć łatwe. Jeśli jednak budowa kilku osób, których szczątki podejmujemy jednocześnie, jest podobna, wtedy możemy tylko opisać tę nieprzyporządkowaną część kości numerem jamy grobowej – tłumaczy lekarz. – Materiał do badań genetycznych pobiera się tylko z tych kości, o których na 100 proc. wiadomo, że należą do konkretnego szkieletu. Dopiero badania genetyczne pozwolą stwierdzić, kto to był z imienia i nazwiska, ale ten etap poprzedzony jest typowaniami identyfikacyjnymi na podstawie oględzin szczątków. Nie możemy sobie pozwolić na zgadywanke. Tak samo zresztą postępujemy w naszej codziennej pracy – pracujemy przecież na zlecenie policji, prokuratury lub sądu. Obowiązują nas określone procedury i dyscyplina w sposobie wnioskowania. Nie możemy snuć luźnych hipotez dotyczących np. przyczyny zgonu, musimy opierać się na faktach i twardo stąpać po ziemi. Przecież na podstawie tych domniemań ktoś mógłby zostać skazany. Jeśli więc mamy wątpliwości, czy dane kości (najczęściej drobne) należą do tej czy innej osoby, wtedy ich nie przyporządkowujemy – podkreśla Szleszkowski.

Wyniki oględzin trafiają do protokołu sądowo-lekarskiego.

– Taki protokół wygląda dokładnie tak samo, jak protokoły dotyczące szczątków współczesnych. Podlega bardzo silnym rygorom opiniodawczym, bo taki dokument może później stanowić dowód w sprawie karnej – zaznacza Thannhäuser.

Podczas sporządzania takiego dokumentu podstawowe znaczenie ma koncentracja.

– Wiadomo: jedna pomyłka może poskutkować tym, że kogoś nie uda się zidentyfikować – tłumaczy Agata.

Dlatego z Łukaszem sprawdzają się wzajemnie. Wolą nawet zostać dłużej, poczekać, aż reszta ekipy skończy pracę, i popracować jeszcze w spokoju. Czasami zostają na Powązkach nawet do 21.00 czy 22.00. Każdy protokół sprawdzają z fotografią rozłożonych na stole kości, żeby mieć pewność, że każdy element został opisany. Na tym etapie zdarza im się przeżyć chwile grozy, w których zaczynają wątpić we własne umiejętności.

No bo jak to: opisali uzębienie, zrobili zdjęcie, genetycy pobrali materiał do badań, szczątki już są w trumienkach – a tu nagle okazuje się, że opis uzębienia ma się nijak do tego, co widać na zdjęciu!

– Pomyłka może się zdarzyć, ale nie aż taka, żeby pomylić się o pięć zębów – zastanawia się zdumiona i zestresowana Agata. Uruchamiają prywatne, wewnętrzne śledztwo. Po konsultacji z genetykami okazuje się, że to właśnie badacze DNA są „winowajcami” – zabrali zęby, żeby pobrać materiał genetyczny. Uff..

Po powrocie do hotelu wyczerpani Agata i Łukasz mogą już zmienić robocze kombinezony na zwykłe stroje, ale to jeszcze nie czas na odpoczynek.

– Przyjęliśmy założenie, że nie kończymy pracy, dopóki nie sfinalizujemy opracowywania danych. Nie ma możliwości, że coś jest nieskończone, a my sobie wracamy do Wrocławia i zakładamy, że kiedyś tam dokończymy te opracowania. Wiadomo przecież, że w tej podstawowej pracy też jest masa bieżących obowiązków. Dlatego wszystko zamykamy na miejscu, żeby potem móc te dane wykorzystywać do dalszej pracy naukowej – zaznacza Agata.

W hotelu porządkują więc dokumentację: zgrywają zdjęcia w dwa miejsca, układają protokoły. Nie daj Boże, żeby coś zginęło! Trzeba jeszcze sprawdzić, czy jest klej do sklejania czaszek na drugi dzień. Nie ma? W te pędy do sklepu! Dopiero kiedy wszystko jest gotowe na następny dzień, można się spokojnie położyć spać.

Aby można było z całą pewnością stwierdzić, do kogo należą dane szczątki, niezbędny jest genetyczny materiał porównawczy od rodzin. Te, które mieszkają w Warszawie, korzystają z obecności całej ekipy w stolicy i przyjeżdżają na „Łączkę”. Pierwsze kroki kierują do doktorów Łukasza Szleszkowskiego i Andrzeja Ossowskiego, genetyka sądowego, od 28 września 2012 r. pełnomocnika rektora Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego ds. Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów.

– Rodziny ofiar przychodzą do nas jak do lekarzy, choć tylko Łukasz faktycznie nim jest – śmieje się Andrzej Ossowski.

Obaj doktorzy wypełniają ankiety rzeczywiście przypominające wywiad lekarski – padają pytania o cechy ofiary, które mogą być widoczne na szkielecie: wzrost, wiek, ubytki w uzębieniu, przebyte operacje. Jeśli chodzi o samych dawców, to badaczy interesują przeprowadzone w ostatnim czasie przeszczepy narządów i przetaczanie krwi.



Łukasz Szleszkowski i Andrzej Ossowski pobierają na Powązkach materiał genetyczny porównawczy od rodzin poszukiwanych (fot. Piotr Życieński)

– Takie zabiegi powodują, że przebadany materiał mógłby wykazać podwójny profil genetyczny – wyjaśnia Ossowski. – Jednocześnie staramy się zbierać jak najmniej danych wrażliwych, pytamy tylko o to, co niezbędne do identyfikacji – zastrzega.

Samo pobranie materiału jest banalnie proste i trwa zaledwie kilkanaście sekund: trzeba wziąć szpatułkę, potrzeć nią o wewnętrzną stronę policzka i włożyć do pojemnika. Zestaw do takiego pobrania dawca dostaje od zespołu; komplet musi być zapakowany, żeby próbki nie zanieczyściło cudze DNA. Z tego samego powodu najlepiej jest, jeśli dawca sam od siebie pobiera próbkę, bez czyjejś ingerencji. Pakiet często jest wysyłany do domu dawców wraz z instrukcją pobrania próbek.

– Ta metoda się sprawdza, nie zdarzyło się do tej pory, żeby ktoś odeśłał zanieczyszczony materiał – mówi Ossowski.

Większość ofiar poszukiwanych na „Łączce” to mężczyźni. Stąd też zaczęła krążyć opinia, jakoby do badań porównawczych lepszy – dający

większą pewność – był materiał genetyczny pobrany od synów i wnuków niż ten od córek i wnuczek.

– To jest mit – dementuje Andrzej Ossowski. – Jeżeli ofiara płci męskiej pozostawiła dwoje potomków: syna i córkę, to materiał pobieramy od obojga. Różnica jest taka, że u syna możemy zbadać również chromosom Y, stąd niektórym może się wydawać, że DNA potomka męskiego jest lepsze. Ale to nieprawda – jeśli są syn i córka, musimy zbadać DNA obojga – wyjaśnia. – Sprawa się komplikuje przy dalszym pokrewieństwie. Na przykład ofiara miała brata, a brat miał wnuka. Tutaj rzeczywiście: DNA wnuczki tego brata nie byłoby już przydatne, a wnuka – owszem, bo ma ten sam chromosom Y, i na tej podstawie można tę osobę wytypować – tłumaczy dalej.

Zaznacza jednak, że w opisaney sytuacji z potwierdzeniem pokrewieństwa i tak jest duży problem. Komputerowy program biostatystyczny wykazuje po takim porównaniu zbyt niski stopień prawdopodobieństwa.

– Mamy zresztą kilka takich osób w bazie: przypuszczamy, kim są, ale poszukujemy materiału porównawczego. Możliwe, że skończy się na ekshumacji rodziców, tak jak to było w przypadku Hieronima Dekutowskiego „Zapory” – dodaje Ossowski.

Ekshumacja rodziców Hieronima Dekutowskiego była konieczna właśnie dlatego, że próbki materiału genetycznego pobrano wyłącznie od jego siostrzenic i ich dzieci. Takie pokrewieństwo okazało się niewystarczające do potwierdzenia tożsamości poszukiwanego. Pracownicy bazy genetycznej nie przypuszczali jednak, że uda się dotrzeć do mogił rodziców „Zapory”.

– Zadzwoiła do mnie pani Milena Bykowska z PBGOT i zapytała o zgodę na ekshumację mojej babci, czyli siostry „Zapory”. Zgodziłam się i poinformowałam, że jeszcze jest grób jego rodziców. Wspólnie z resztą rodziny podjęliśmy decyzję, że zgodzimy się na wydobycie ich szczątków – relacjonuje Grażyna Chojecka, córka siostrzenicy Dekutowskiego.

Dramatyczny wręcz przebieg miały starania o pozyskanie materiału porównawczego Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. To był prawdziwy wyścig z czasem. Córka „Łupaszki”, Barbara Szendzielarz, zmarła 30 marca 2012 r. Jej zwłoki planowano spopielić, co oznaczałoby zamknięcie drogi do pobrania materiału genetycznego. Tymczasem w Warszawie nie było nikogo, kto mógłby pobrać próbkę.

– W ciągu dwóch godzin zapadła decyzja, że następnego dnia wsiadamy w samochód i jedziemy po ten materiał – opowiada Agata Thannhäuser. Za kierownicą usiadł jej kolega, archeolog. Towarzyszył Agacie nie tylko

w czasie podróży, lecz także wszedł razem z nią do pomieszczenia, w którym przechowywane są ciała.

– Dla mnie pobranie materiału genetycznego ze zwłok to czynność, do której przywykłam, nic zresztą specjalnie skomplikowanego. Ale kolega, który do takich czynności nie jest przyzwyczajony, stał cały czas błądy pod ścianą – wspomina antropolog sądowny.

– Kiedy kilkanaście miesięcy później „Łupaszkę” zidentyfikowano, to – choć oczywiście sukces odniósł cały zespół – pomyślałam sobie, że to taki „mój” bohater. Najbardziej czekałam właśnie na jego identyfikację – przyznaje.

Rodziny poszukiwanych, tak jak Grażyna Chojacka, często same się zgłaszają do oddania materiału. Jeśli tak się nie dzieje, z pomocą przychodzi pracownicy archiwum IPN. Przez wiele miesięcy w poszukiwaniach rodzin uczestniczył Andrzej Cisek, historyk z IPN. Zebrane przez niego informacje to również punkt wyjścia do poszukiwania rodzin. Raz np. znalazł informację, że matka straconego przy Rakowieckiej ponownie wyszła za mąż. Podążając tropem nazwiska tego drugiego męża, udało się dotrzeć do przyrodniego rodzeństwa poszukiwanego. Zawsze warto przeszukać internet – bywa, że ktoś ma np. swoją firmę, wtedy w sieci można znaleźć jego dane kontaktowe. Można też skorzystać ze starych książek telefonicznych.

Każde znalezione nazwisko trafia do naczelniczki Wydziału Obsługi Bieżącej Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, Joanny Piskorz, która wyszukuje je następnie w bazie PESEL.

– To najciekawsze zadanie spośród wszystkich moich dotychczasowych. Wielokrotnie zostają po godzinach, żeby wyczerpać możliwości poszukiwania konkretnej osoby. Mam świadomość, że od tego, co robię, może zależeć powodzenie identyfikacji – mówi Joanna Piskorz.

Do bazy wpisuje imię i nazwisko poszukiwanego, imiona rodziców, panięskie nazwisko matki – jeśli umożliwiają to informacje odszukane przez archiwistów w dokumentach. Im mniej popularne imiona i nazwiska poszukiwanych, tym większa szansa na sukces. Jeśli imię i nazwisko występuje w Polsce często, wtedy trzeba sprawdzać każdy z kilkudziesięciu wyświetlonych wyników.

– Jeśli rodzice albo rodzeństwo osoby poszukiwanej zmarli przed uruchomieniem systemu PESEL, czyli przed 1979 r., raczej nie odnajdziemy ich danych – zastrzega Piskorz. W takich sytuacjach posługuje się ogólnodostępnymi stronami genealogicznymi. – W trakcie poszukiwań w bazie

PESEL zdarza się odnalezienie rodzeństwa, o którym nie było informacji w materiałach archiwalnych. Zdarzyło się również, że wynikiem wyszukiwania okazał się adres, pod którym było zameldowanych ponad sto osób. – Sprawdziłam i wyjaśniło się, że to dom starców. Każda taka informacja ułatwia kontakt z osobą poszukiwaną – mówi Piskorz.

Milena Bykowska, historyk, w PBGOT odpowiedzialna za kontakt z rodzinami:

– Jeśli mamy numer telefonu, dzwonimy do rodzin ofiar przed wysłaniem pakietu do pobrania próbki. Robimy tak, bo część rodzin obawia się o dalsze losy materiału genetycznego. Przeciwnicy prowadzonych badań twierdzą, że materiał od rodzin mógłby zostać wykorzystany w przyszłości „w nieodpowiedni sposób”. Rozmowy telefoniczne poprzedzające wysłanie zestawu do pobrania materiału DNA służą wyjaśnieniu zainteresowanemu, na czym polega cały proces, i pozwalają im zrozumieć, że badania nie zostaną w żaden sposób wykorzystane przeciwko nim. Służą jedynie identyfikacji ofiar komunizmu. Publiczne ogłoszenie identyfikacji ofiar ośmieliło pozostałe rodziny.

Bykowska uspokaja, że wszelkie dane są bardzo dobrze chronione.

– Nie ma szans uzyskania danych osobowych członków rodzin ofiar. Gdyby nawet jakaś osoba postronna włamała się do naszej siedziby (jest to skądinąd niemożliwe), nie zdoła się zorientować, który profil genetyczny do kogo należy. Nie są one podpisywane imionami i nazwiskami, tylko numerami. Połączeniem numeru profilu z imieniem i nazwiskiem dysponuje jedynie osoba upoważniona przez kierownika laboratorium. Genetycy nie wiedzą, kogo badają – profile oznaczone są indywidualnymi numerami. Jeśli chcemy wszystko połączyć w całość, musimy ze sobą ściśle współpracować.

– Przede wszystkim profile genetyczne, które otrzymujemy, nic nie mówią o osobie, do której należą: ani o wyglądzie, ani o chorobach. To jest taki genetyczny odcisk palca. Nic więcej – dopowiada Andrzej Ossowski.

Milena Bykowska:

– Rodziny, z którymi uda się nawiązać kontakt, mają bardzo duże oczekiwania. Często po miesiącu czy dwóch od pobrania materiału dostają od kogoś telefon z zapytaniem, czy identyfikacja jest już gotowa. Za każdym razem powtarzamy, że badania trwają wiele miesięcy i prosimy o cierpliwość. Zawsze apelujemy do rodzin, żeby się nastawiły psychicznie na to, że identyfikacja się nie uda. Bo lepiej być zaskoczonym pozytywnie niż zawiedzionym.

Andrzej Ossowski:

– Typowanie genetyczne jest bardzo skuteczne, daje niemalże pewność, że konkretne szczątki należą do danej osoby. Dopóki jednak program biostatystyczny nie potwierdzi tożsamości, dopóty nie możemy uznać badań za skończone. Nie możemy sobie pozwolić na ogłoszenie błędnych wyników – mówi z naciskiem.

Zanim jednak dojdzie do etapu badań genetycznych, wstępne wytypowanie, czyje są odnalezione kości, należy do antropologów i specjalistów medycyny sądowej. Robią to oni, jak już zostało powiedziane, na podstawie kształtu czaszki, wzrostu i innych cech charakterystycznych. Te informacje czerpią z dokumentacji odnajdowanej przez Andrzeja Ciska.

Historyk podkreśla, że ważne są informacje o stanie uzębienia i o wzroście, bo one mogą się okazać bardzo pomocne przy wstępnym typowaniu osób. Istotne są takie informacje, jak np. to, że ktoś miał amputowaną rękę lub nogę albo ranę postrzałową. Opis więźnia jest w każdej teczce, chyba że jest ona wybrakowana.

Agata Thannhäuser:

– Przez to, że byłam bezpośrednio zaangażowana w pobieranie materiału porównawczego do identyfikacji „Łupaszki”, w pewnym momencie złapałam się na tym, że podczas oględzin prawie co drugie szczątki typowałam na prywatny użytek jako należące do Zygmunta Szendzielarza.

Andrzej Ossowski:

– Bardzo często się zdarza, że osoby wytypowane metodami klasycznymi, antropologicznymi, po badaniach genetycznych okazują się kimś innym. To jest norma. I to dowodzi również tego, że bez udziału genetyki identyfikacja nie byłaby możliwa.

Łukasz Szleszkowski:

– Staraliśmy się ustalić sekwencję pochówków. Jednak pochówki odbywające się według kolejności zgonów udało się znaleźć tylko na krótkich odcinkach. Najczęściej więźniów grzebano zupełnie przypadkowo. Zbiоровe jamy grobowe są zawsze najtrudniejsze przy identyfikacji osobniczej. Ale wobec braku jakiegokolwiek chronologii w kopaniu grobów okazało się to ułatwieniem. Dzięki analizie dat egzekucji wiedzieliśmy, że np. jednego dnia stracono osiem osób. Można było ze sporym prawdopodobieństwem przyjąć, że wrzucono ich do wspólnej jamy grobowej. Tak było właśnie z grobem „Zapory” i jego podkomendnych – siedem osób stracono i pochowano jednego dnia, a kolejną dorzucono nazajutrz.

Trzeba jednak pamiętać, że w dokumentach – owszem – jest potwierdzenie, że dana osoba została na pewno rozstrzelana; jest też napisane, kiedy to miało miejsce, z dokładnością co do godziny; poza tym podaje się: „Zwłoki pogrzebano”, ale nie ma informacji w jakim miejscu. Pochówki straconych z więzienia przy Rakowieckiej nigdzie bowiem nie były ewidencjonowane.

OD PRÓBKII DO PROFILU, CZYLI W LABORATORIUM POLSKIEJ BAZY GENETYCZNEJ OFIAR TOTALITARYZMÓW

Pobrano na „Łączce” materiał genetyczny zostaje zbazowany. To żargonowe określenie oznacza zamrożenie i opisanie każdej próbki. Jednym z rodzajów sprzętu najczęściej występujących w szczecińskim laboratorium jest właśnie zamrażarka.

Mówi Andrzej Ossowski:

– Materiał pobrany od ofiar – kości i zęby – oraz materiał porównawczy przechowujemy w temperaturze minus 40 stopni. Wszystko w szczelnie zamkniętych woreczkach strunowych i pudełkach, żeby nie wyschło. Gdyby tak się stało, mogłoby dojść do sublimacji materiału, czyli przejścia ze stanu stałego w gazowy.

W lodówkach przechowywane są też chemikalia używane do badań genetycznych.

– To najdroższa zupa na świecie – śmieje się dr Ossowski, pokazując maleńką, kilkumililitrową fiolkę.

Kiedy podaje cenę tej „zupy”, na myśl o tym, co by było, gdyby zawartość fiolki się rozlała, przestaje być śmiesznie: kilkadziesiąt tysięcy złotych za jeden zestaw, składający się z kilku fiolek.

– Taki zestaw wystarcza do zrobienia około stu oznaczeń. Zdarza się, że wykorzystujemy go do analizy materiału jednego, dwóch osobników. A przecież do analizy DNA potrzebne są różne zestawy – tłumaczy Andrzej Ossowski.

Markery używane na potrzeby medycyny sądowej są walidowane, czyli mają wszystkie niezbędne atesty. Naukowcy z PBGOT nie mogą ich wyprodukować samodzielnie. Inaczej wyniki prowadzonych tutaj badań nie mogłyby zostać uznane przez prokuraturę ani sąd.



Andrzej Ossowski prezentuje fiolkę z substancją niezbędną do identyfikacji genetycznych; cena tej małej fiolki to ok. 20 tys. zł. (fot. Karolina Wichowska)

– Poza tym, chociaż pracujemy na bardzo nowoczesnych maszynach, nie mamy takiego sprzętu, który mógłby wyprodukować markery wydajne na tak trudnym do badania – bo zniszczonym – materiale jak ten, którym dysponujemy – dopowiada Ossowski.

Sam materiał jest zamrażany i w całości (np. cały ząb lub kość), i w postaci proszku kostnego. Sporządzaniem takiego proszku zajmuje się Marta Kuś, genetyk. Przygotowuje specjalną wyrzynarkę, używaną przez naukowców do krojenia kości. Sprzęt sterylizuje promieniami UV. Marta pracuje oczywiście w masce i rękawiczkach, żeby nie zanieczyścić materiału i ochronić samą siebie przed grzybami i bakteriami, które mogą być na kościach.

– Jeśli chcesz mnie fotografować przy pracy, zrób to tak, żeby na zdjęciu nie było widać kości. Bardzo przestrzegamy zasady szacunku dla szczątków ludzkich – zastrzega.

Wykrojony kawałek kości genetyk musi oczyścić mechanicznie. Służy do tego minifrezarka. Polerując kość, Marta trzyma ręce w oszklonej komorze laminarnej (czyli takiej, w której zachodzi warstwowy przepływ jałowego powietrza), naświetlonej wcześniej promieniami UV.

Oczyszczony mechanicznie fragment trzeba teraz oczyścić chemicznie. Marta umieszcza go w probówce z podchlorynem sodu, a ta, w specjalnej wytrząsarce, obraca się przez dłuższy czas, najczęściej kilkadziesiąt minut. Następnie kość należy wypłukać w wodzie destylowanej i dodatkowo wysterylizować pod promieniami UV. Po wszystkich tych zabiegach materiał może trafić do młynka kriogenicznego. Pojemnik tego urządzenia, zbudowanego ze stali szlachetnej, przypomina ogromną solniczkę.

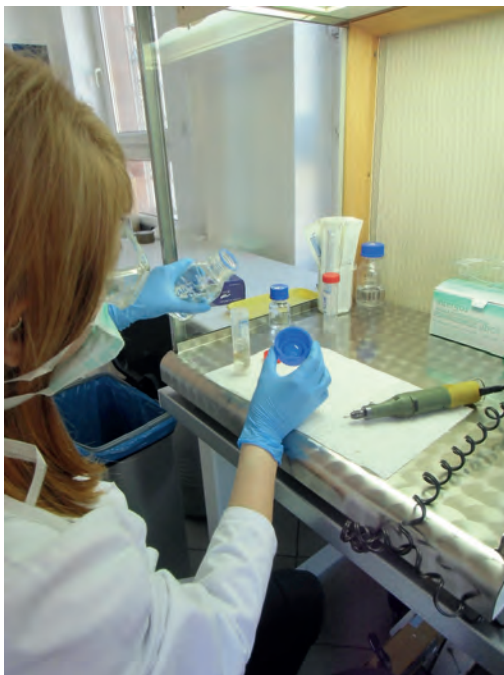
– Niestety jest sporo droższy, kosztuje ok. 500 dolarów, a wystarcza na skruszenie około dziesięciu próbek, bo szybko się zużywa – mówi Andrzej Ossowski.

Na szybkie zużycie młynka wpływa ekstremalnie niska temperatura ciekłego azotu: minus 196 stopni. To właśnie w tej substancji odbywa się kruszenie kości. Po co aż tak niska temperatura?

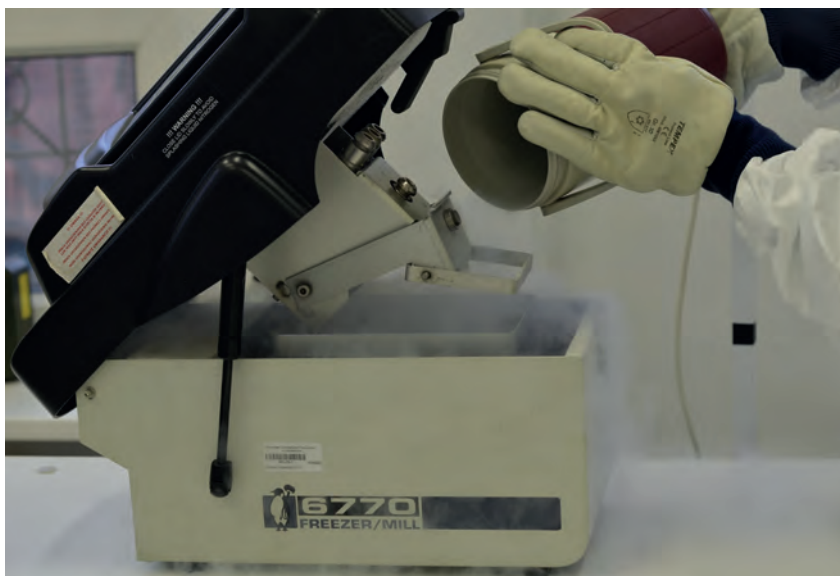
– Żeby kości się nie spaliły – wyjaśnia dr Ossowski.

Bez chłodzenia mogłoby się tak stać, bo tłuczek, który zamienia kości w proszek, uderza 15 tys. razy na minutę. Huk – jakby ktoś walił młotkiem w stalową szybę.

– Identyfikacje w programie poszukiwań ofiar terroru komunistycznego znalezionych na „Łączce” to dla naszego sprzętu prawdziwy poligon doświadczalny. Nikt nigdy nie wykonywał na nim badań w takiej skali, jak my teraz. Ten młynek w pewnym momencie zaczął się nam po prostu palić. Przy takim tempie prac możemy zaobserwować, ile badań wytrzyma taki sprzęt – mówi Andrzej Ossowski.



Oczyszczony mechanicznie fragment kości trzeba też oczyścić chemicznie (fot. Karolina Wichowska)



Kruszenie kości w ciekłym azocie chroni materiał przed spalaniem (fot. Marta Kuś)

Gotowy proszek kostny trafia do urządzenia izolującego materiał genetyczny. Są dwa urządzenia, na których można przeprowadzić ten proces: na jednym laborant izoluje materiał ręcznie, druga maszyna pracuje automatycznie.

– Automatyczna izolacja pozwala wyeliminować błąd ludzki – zaznacza genetyk.

Następna maszyna sprawdza jakość DNA, przede wszystkim – czy nie ma czynników, które mogłyby hamować namnażanie łańcuchów DNA. Jeśli są, proces izolacji trzeba przeprowadzić ponownie, żeby je wyeliminować. Czasem proces ten trzeba powtarzać kilkadziesiąt razy, w skrajnych przypadkach – nawet kilkaset. Na przykład nad materiałem pobranym od „Zapory” szczecińska ekipa pracowała prawie rok.

– To jest serce naszej pracowni – Andrzej Ossowski pokazuje urządzenie, które z boku wygląda trochę jak wielka drukarka do komputera osobistego, ale z przodu ma szybę, przez którą widać miejsce na próbówkę. Obok szkła – przyciski panelu sterującego. To jest aparat do przeprowadzania reakcji PCR. Polega ona na namnażaniu łańcuchów DNA.

– To urządzenie to coś w rodzaju skomplikowanego piekarnika połączonego z lodówką – tłumaczy Ossowski. – Materiał jest najpierw schła-

dzany, a potem podgrzewany do ok. 95 stopni. Po jednym cyklu mamy dwie nici DNA, po dwóch – cztery, po 36 cyklach – miliony. – Ta metoda to rewolucja w genetyce, olbrzymie ułatwienie dla nas.

Reakcja PCR trwa ok. 5 godzin. To, jak na genetykę, niewiele.



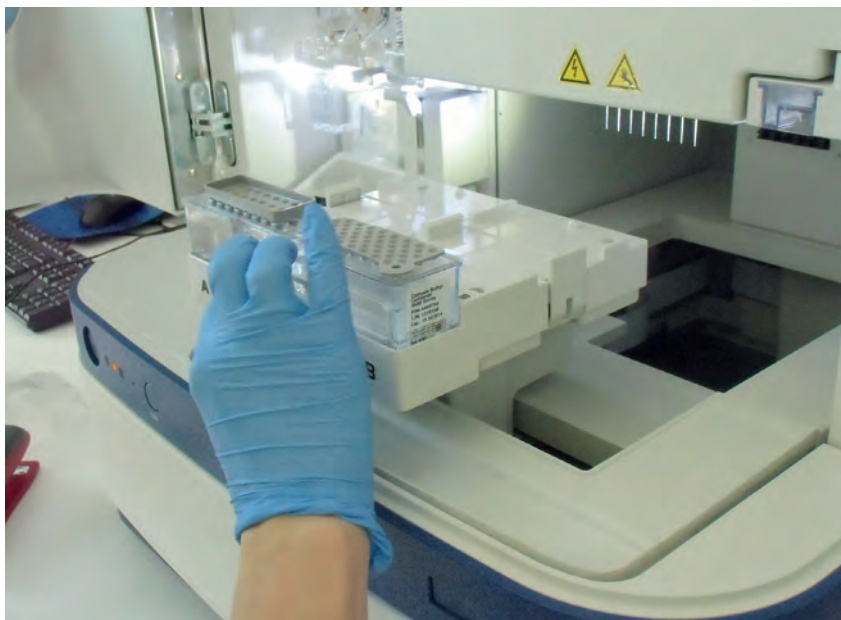
Maszyna PCR: tu namnażają się łańcuchy DNA (fot. Karolina Wichowska)

Później DNA trafia do kolejnej maszyny – analizatora genetycznego. Wtedy możemy ocenić, czy udało się uzyskać profil genetyczny. Analizator jest podłączony do komputera z programem biostatystycznym, który wylicza prawdopodobieństwo pokrewieństwa z uzyskanymi w ten sam sposób profilami genetycznymi porównawczymi. Aparat przypomina szafkę z oszklonymi drzwiczkami. W środku widać podstawkę z kilkoma rzędami otworów na kapilary. W części z nich są próbki DNA, w pozostałych – preparaty chemiczne. Każda kapilara (bardzo cienka rurka) z substancją zasysa jedną próbkę.

– Fragmenty DNA wędrują po polu elektromagnetycznym, trafiają do kapilar, są naświetlane przez laser i odczytywane przez kamerę. Potem trafiają do bufora, czyli kolejnego rodzaju substancji chemicznej – objaśnia

Andrzej Ossowski. – Kiedy mamy już profile, trzeba je opisać. Profil składa się z markerów DNA. Nic nam o osobniku nie mówi, tworzy coś w rodzaju genetycznego odcisku palca – przypomina.

Na ekranie komputera podłączonego do analizatora genetycznego widać wykresy – poziome linie, które co pewien odstęp układają się w szpikulec. Laikowi mogą z wyglądu przypominać wykres fal mózgowych. Ich interpretacją zajmuje się dr Grażyna Zielińska, genetyk.



Materiał genetyczny po reakcji namnażania trafia wraz z odczynnikami do analizatora genetycznego (fot. Karolina Wichowska)

– Porównujemy poszczególne allele, czyli elementy genotypu. Szukamy wspólnych cech u osoby identyfikowanej i osoby czy osób, od których pochodzi materiał porównawczy. Im bliższe pokrewieństwo, tym więcej będzie wspólnych cech – tłumaczy dr Zielińska. – Jeżeli materiał porównawczy został pobrany od syna, córki lub rodziców, to sprawa jest dosyć prosta; może się skomplikować, jeśli dawcą materiału porównawczego jest np. siostra lub brat. Im dalsze pokrewieństwo, tym identyfikacja robi się trudniejsza i wymaga rozszerzenia badań o dodatkowe markery genetycz-

ne. Wtedy cały proces identyfikacyjny może rozciągnąć się w czasie nawet do kilku miesięcy.

Andrzej Ossowski podkreśla, że na co dzień, kiedy laboranci ustalają np. ojcostwo na zlecenie sądu, a nawet tożsamość ofiary katastrofy lotniczej, w której zbiór ofiar (lista pasażerów) jest znany, używa się z reguły jednego zestawu markerów dla jednego osobnika. W przypadku identyfikacji szczątków potrzeba bardzo wielu bardzo różnych zestawów markerów, bo pokrewieństwo z dawcami materiału porównawczego bywa często bardzo odległe. W dodatku lista poszukiwanych stanowi zbiór otwarty – nie wiemy dokładnie, ilu jest wszystkich straconych, nie mamy też pewności, kto wśród nich się znajduje.

– Wszystkich procesów laboratoryjnych, żeby zidentyfikować jednego osobnika, przeprowadzamy czasami dwieście albo trzysta. Jeden etap zajmuje około tygodnia pracy. A więc przez dwieście lub trzysta trzeba pomnożyć tydzień pracy sześciu, siedmiu osób, żeby sobie wyobrazić, jakich to zadanie wymaga nakładów. Nasi koledzy z branży są bardzo zdziwieni, że w ciągu trzech lat udało nam się zidentyfikować aż 41 ludzi – zaznacza genetyk.

Tym bardziej przykre są pojawiające się niekiedy pretensje, że badania trwają za długo. A przecież tempo prac jest zawrotne.

Szczególnie jednej zasady przestrzega się w zespole Ossowskiego z żelazną konsekwencją: nie ma mowy, żeby ujawnić, jakoby ktoś został znaleziony, dopóki nie ma wyników badań genetycznych.

– Oczywiście, typujemy również na podstawie wiedzy z innych dziedzin składających się na nasz projekt. Wiemy na przykład, że jednego dnia miała miejsce egzekucja ośmiu osób. Jeśli mamy ośmioosobowy grób, możemy przypuszczać, że to są właśnie osoby stracone w danym dniu. Do tego dochodzą elementy antropologiczne – ktoś był np. bardzo wysoki, bardzo niski albo miał charakterystyczne uzębienie. Jeśli mamy już za sobą pierwszą identyfikację genetyczną, to ona jest punktem wyjścia do dalszych poszukiwań. Jeśli np. znaleźliśmy i potwierdziliśmy tożsamość dwóch komandorów, to jest prawdopodobne, że trzecia osoba z tej samej jamy grobowej jest trzecim komandorem. Nie wolno jednak tego ogłaszać, dopóki nie będzie potwierdzenia. Możemy operować wyłącznie dowodami – mówi Ossowski.

Początki szczecińskiej bazy genetycznej sięgają 2009 r. Wtedy to rozpoczęły się ekshumacje żołnierzy Bojowego Oddziału Armii na szczecińskim cmentarzu Centralnym.

Bojowy Oddział Armii – grupa dywersyjna złożona z żołnierzy wywodzących się z Obwodu Wołkowyskiego AK na Grodzieńszczyźnie, utworzona w grudniu 1944 r. pod dowództwem Stefana Pabisia „Stefana”. Ich działalność była wymierzona przeciwko NKWD, ale także zorientowana na pomoc rodzinom żołnierzy AK, które znalazły się w trudnej sytuacji materialnej. Po zakończeniu II wojny światowej żołnierze BOA nie złożyli broni. Przedostali się z terenów zagarniętych przez Sowieców na polską stronę pojałtańskiej granicy i rozpoczęli działalność w Koszalinie, a następnie w Bobolicach i okolicznych miejscowościach. Stworzyli sieć informacyjną, także wśród funkcjonariuszy UB i milicjantów. Na przełomie lat 1945 i 1946 oddział liczył 21 członków i 15 współpracowników. Walczyli z NKWD oraz polskim komunistycznym aparatem represji. Oddział operował w ścisłej współpracy z oddziałami Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkii”, a dowódca nawiązał kontakt z kierownictwem Zrzeszenia „Wolność i Niezawistość”. W maju 1946 r. funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego oraz KBW przeprowadzili akcję wymierzoną w BOA. W jej wyniku zatrzymano Stanisława Mincewicza „Sówkę” (ostatecznie został skazany na karę śmierci i stracony) i czterech współpracowników oddziału, jednak pozostali żołnierze, dzięki ostrzeżeniu, uniknęli aresztowania. Po tej akcji część żołnierzy, ze „Stefanem” na czele, przeniosła się do Malborka i – pozostając w strukturach WiN – otworzyła spółdzielnię rzemieślniczą. Pozostała grupa, pod dowództwem Wacława Kasprzyńskiego vel Borodziuka „Orła” i Edwarda Kokotki „Wrzosa”, kontynuowała działalność na Pomorzu Zachodnim. W 1948 r. większość żołnierzy BOA została aresztowana. 21 sierpnia 1948 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Szczecinie skazał na karę śmierci Wacława Kasprzyńskiego vel Borodziuka, Edwarda Kokotkę, Zenona Łozickiego, Waldemara Klimczewskiego i Edwarda Kozieradzkiego. Spośród pozostałych członków i współpracowników BOA w sumie 2 osoby skazano na dożywocie, a 32 – na kary więzienia od roku do 15 lat.

Na podstawie artykułu dr. Pawła Skubisza (OBEP IPN Szczecin),
www.pomorze1945.pl

– Wiedzieliśmy, że na naszym cmentarzu pochowanych jest sześcioro żołnierzy BOA. Zostali skazani i zabici w wyniku procesu z 1948 r. – mówi dr Marcin Stefaniak, pełnomocnik prezesa IPN ds. współpracy z PBGOT, inicjator ekshumacji na cmentarzu Centralnym.

Wielu żołnierzy udało się zidentyfikować z wykorzystaniem klasycznych metod antropologicznych, bo zachowała się dokumentacja cmentarna dotycząca lokalizacji mogił. Zdecydowano się jednak na pobranie materiału DNA.

Zadanie przypadło w udziale zespołowi z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, kierowanemu przez dr. Andrzeja Ossowskiego. Ekipa miała już doświadczenie w identyfikowaniu ofiar dużych katastrof – po raz pierwszy w 2008 r. po katastrofie samolotu CASA (20 osób), następnie – po pożarze w Kamieniu Pomorskim (23 osoby). W obu tych przypadkach trzeba było utworzyć małe bazy genetyczne. Ponadto zespołowi udało się w 2006 r. zidentyfikować czaszkę jednej z ofiar Zbrodni Katyńskiej: kpt. Ludwika Szymańskiego, a oprócz tego – odnaleźć ok. 10 tys. poległych w II wojnie światowej, a około tysiąca z nich – zidentyfikować.

– Z żołnierzami BOA mieliśmy problem, bo okazało się, że w zasadzie nie dysponujemy materiałem porównawczym. Doszliśmy wtedy do wniosku, że dobrze by było stworzyć bazę ogólnopolską, która okaże się przydatna przy kolejnych tego typu badaniach – także za 5, 10 czy 50 lat – mówi Andrzej Ossowski.

Przełomowy dzień w historii szczecińskiej ekipy to 28 września 2012 r. Wtedy prezes IPN, dr Łukasz Kamiński, i rektor Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. Andrzej Ciechanowicz, podpisali porozumienie o utworzeniu Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów. Uczynili to, jak czytamy w preambule, „mając na względzie pamięć ofiar zbrodni systemów totalitarnych i dążąc do ograniczenia ich porażającej bezmimności, będącej jednym z przejawów zaprzeczenia człowieczeństwa pomordowanych”.

– Masowość, bezmimność, porażający widok szczątków, które nie wiadomo, do kogo należą, wrzuconych do dołów śmierci, robią wrażenie nie tylko na lekarzach. Jednym z przejawów cywilizacji europejskiej jest szacunek dla ciał zmarłych. W przyrzeczeniu studenckim jest mowa nie tylko o zachowaniu najwyższej czci dla życia ludzkiego, lecz także o poszanowaniu dla szczątków ludzkich. To jest wpajane studentom, nie tylko kierunku lekarskiego, od samego początku – podkreśla prof. Ciechanowicz.

Zauważa też, że jeszcze w XVIII w. nad wejściem do *theatrum anatomicum* był taki napis: *Hic est locus, ubi mortui vivos docent* – „Oto jest miejsce, gdzie martwi uczą żywych”.

– Traktujemy nasz udział w tym przedsięwzięciu jako realizację misji naukowej uniwersytetu. John Ruskin powiedział, że nauka polega na tym, aby zastąpić wizję faktami, a wrażenia dowodami. My dostarczamy materialnych dowodów – dodaje.

Z okazji zawarcia porozumienia prezydent RP Bronisław Komorowski przesłał list, w którym podziękował IPN, PUM i wszystkim badaczom za zaangażowanie w poszukiwania ofiar zbrodni komunistycznych:

„Bezimienne groby są niezagojoną blizną walecznego narodu. [...] Cmentarze i miejsca pamięci są nieodłączną częścią polskiego krajobrazu, wymownymi świadectwami naszej trudnej historii, ale zarazem – pomni-



„Nigdy nie zapomnę tego widoku: otwartej ziemi, która kryje tyle tragedii, a dzięki Państwu staje się dokumentem historii” – napisał prezydent Bronisław Komorowski w liście do osób zaangażowanych w poszukiwania szczątków ofiar komunizmu; na zdjęciu: Bronisław Komorowski odwiedzający specjalistów podczas prac na Powązkach; obok: Krzysztof Szwagrzyk, Andrzej Kunert i Łukasz Kamiński; Warszawa, 17 sierpnia 2012 r. (fot. Piotr Życieński)

kami odzyskanej wolności. Troska o pamięć ofiar totalitarnych zbrodni jest wielkim zobowiązaniem naszego pokolenia. Stworzenie polskiej bazy profili genetycznych ofiar totalitaryzmu uważam za ogromnie ważne. Uważam to za powinność wobec poległych i za zobowiązanie wobec przyszłych pokoleń. Było mi dane na warszawskich Powązkach zobaczyć Państwa staranną pracę. [...] Nigdy nie zapomnę tego widoku: otwartej ziemi, która kryje tyle tragedii, a dzięki Państwu staje się dokumentem historii. Wzruszony i wdzięczny, zapewniam, że darzę Państwa projekt najwyższym uznaniem i będę go usilnie wspierał”.

– Podczas prac identyfikacyjnych szczątków znalezionych na „Łączce” zdarzyło się dwukrotnie, że genetyczny materiał porównawczy pobieraliśmy już po zgonie rodzin osób poszukiwanych. Uświadomiło nam to, że mamy niewiele czasu, aby jeszcze zdążyć pozyskać takowy materiał od osób żyjących – mówi prof. Andrzej Ciechanowicz.

Identyfikacje przeprowadzane na podstawie materiału zgromadzonego w PBGOT to pierwsza tego typu operacja na świecie, w której badanie tożsamości jest tak odległe czasowo od momentu śmierci poszukiwanych.

– W tej chwili np. trwają identyfikacje ofiar masakry w Srebrenicy. Od tamtej zbrodni upłynęło dwadzieścia lat. To sporo, ale w przypadku naszych badań odstęp czasowy jest trzy razy dłuższy! – podkreśla prof. Ciechanowicz. – Na Bałkanach zazwyczaj żyją krewni ofiar masakry w Srebrenicy. Tu – zdarza się, że żyje jeszcze rodzeństwo ofiar, znacznie częściej dzieci, ale to i tak jest ostatni moment, żeby pobrać materiał genetyczny.

PUBLIKACJE DLA PRZYRODNIKÓW, CZYLI HISTORIA POLSKI NA EKSPORT

Unikatowość projektu przyciąga uwagę naukowców także spoza Polski. Do zespołu dołączył m.in. prof. Marek Jasiński, polski archeolog pracujący na stałe na Norweskim Uniwersytecie Nauk Ścisłych w Trondheim.

– Pan profesor jest ambasadorem naszego projektu w badaniach prowadzonych w Unii Europejskiej. Trwają w tej chwili rozmowy, które – mamy nadzieję – zostaną zwieńczone powołaniem konsorcjum europejskiego, skoncentrowanego właśnie na interdyscyplinarności projektu. Jest już ogłoszony konkurs na takie konsorcjum w ramach budżetu unijnego 2014–2020 – zdradza rektor PUM. – Projekt ma polegać na wieloaspektowym podejściu do ofiar represji, konfliktów i wojen domowych w Europie. Badania terenowe, poza Polską, są rozważane w Grecji i Hiszpanii. W konsorcjum prawdopodobnie będą jeszcze reprezentowane uniwersytet w Cambridge, holenderski Instytut Nauk Ścisłych, uniwersytet w Trondheim – dodaje Ciechanowicz.

– Zainteresowanie naszym projektem za granicą jest gigantyczne, chyba nawet większe niż w Polsce – potwierdza Andrzej Ossowski. – W lutym 2014 r. byłem w Cambridge na spotkaniu naukowców zajmujących się dziedzictwem kulturowym Europy, w tym pamięcią o ofiarach totalitaryzmów. Interesowała ich przede wszystkim technologia, jaką się posługujemy podczas identyfikacji ofiar. Dostajemy teraz mnóstwo zaproszeń na różne konferencje poświęcone identyfikacjom genetycznym, oczywiście ofiar nie tylko zbrodni totalitarnych, lecz także katastrof masowych. Nie ma dnia, żebym nie odebrał pięciu, sześciu maili z zagranicy z pytaniem o nasz projekt – opowiada Ossowski i zwraca uwagę na jeszcze jedną sprawę z tym związaną: – Śmieję się, że transferując najnowsze technologie, popularyzujemy jednocześnie naszą historię i opowiadamy o niej na zewnątrz. To najlepsze, co możemy zrobić. Choćbyśmy napisali w Polsce tysiąc publikacji o podziemiu antykomunistycznym czy o totalitaryzmach w ogóle,

to i tak przeczytamy to tylko my. Oczywiście, polskie społeczeństwo też potrzebuje takich informacji, ale świadomość naszych kolegów z Europy czy z USA nie zmieni się od książek publikowanych u nas po polsku. Jeśli jednak opowiadamy o technologiach identyfikacji ofiar, to siłą rzeczy musimy poruszyć też wątek historyczny. Wtedy np. czytelnicy „Forensic Science International”, najbardziej popularnego pisma poświęconego medycynie sądowej, czerpią z niego informacje o polskiej historii. Koledzy w Cambridge czytają teraz kolejną publikację, którą szykujemy do programu „Terror Scape”, w którym pokazywane są zbrodnie totalitarne, i dowiadują się w ten sposób o zbrodniach komunistycznych. Oni coś tam wcześniej o nich słyszeli, w końcu to naukowcy, ale nie zdawali sobie sprawy z tego, jak one faktycznie wyglądały. Nie spodziewaliśmy się, że to się rozwinie w tę stronę, ale bardzo dobrze, że tak się dzieje – ocenia genetyk.

Ossowski wspomina swój udział – wraz z dr. hab. Krzysztofem Szwarzrykiem i prof. Markiem Jasińskim – w międzynarodowej konferencji archeologów. Polacy prezentowali tam zbrodnie obu totalitaryzmów: na przykładzie mordowania jeńców radzieckich przez Niemców i żołnierzy polskiego podziemia antykomunistycznego oraz przedwojennych polskich oficerów – przez polskich komunistów.

– Nie mogliśmy się opędzić od pytań ze strony naszych kolegów profesorów – opowiada.

Praca przy projekcie to lekcja historii także dla zaangażowanych w niego naukowców – w większości przedstawicieli nauk przyrodniczych. Choć akurat Andrzej Ossowski należy do tej części zespołu, która już wcześniej interesowała się powojennymi dziejami Polski. Nie bez kozery zresztą.

– Kiedy jako dzieciak siedziałem pod stołem u dziadka, nasłuchiwałem się o „Łupaszce” i o „Ince” – zagaja nieśmiało.

– No, pochwal się! – zachęca Milena Bykowska.

Okazuje się, że Ossowski to wnuk żołnierza 3. Wileńskiej Brygady AK, Jerzego Ossowskiego.

– U dziadka był „punkt zborny” – kontynuuje Ossowski. – Zjeżdżali się do niego żołnierze podziemia z całej Polski i dyskutowali. Urodziłem się w 1978 r., więc część mojej edukacji przypadła jeszcze na czasy komuny. Od nauczycieli usłyszałem parę „mądrych zdań”, żebym lepiej siedział cicho i nie dzielił się, zwłaszcza na języku rosyjskim, tym, co usłyszałem od dziadka – wspomina.

Projekt współgra również z zainteresowaniami prof. Andrzeja Ciechanowicza:

– Od dawna interesowałem się archeologią. Należę do pokolenia, które filmy o Indianie Jonesie oglądało w kinie, a nie w telewizji czy na DVD. Interesuję się historią Polski, historią nauki w ogóle – nie tylko z racji zawodu. Myślałem nawet kiedyś o studiach archeologicznych, ale ostatecznie inne pasje przeważały. Nie żałuję wyboru, bo wykonuję zawód bardzo ciekawy i bardzo potrzebny i cieszę się, że teraz mam możliwość połączenia go z zainteresowaniem historią. Okazuje się bowiem, że nawet badanie DNA może mieć wymiar historyczny – zauważa.

Potwierdza to dr Tomasz Kupiec, kierownik Pracowni Genetyki Sądowej w Instytucie Ekspertyz Sądowych w Krakowie, która wspomaga szczebińskie laboratorium w badaniach identyfikacyjnych.

– Praca w naszym laboratorium prawie zawsze dotyczy zdarzeń bardzo przykrych: zabójstw, gwałtów albo pobić. Od czasu do czasu pojawia się jednak materiał do badania związany z wielką historią: badaliśmy m.in. szczątki gen. Sikorskiego i domniemane szczątki Mikołaja Kopernika. Ucieszyłem się, kiedy się dowiedziałem, że weźmiemy udział w identyfikacji szczątków ofiar komunizmu. Mam przeświadczenie, że biorę udział w czymś dobrym i ważnym, a to dodatkowo motywuje do pracy – mówi genetyk.

Wspomnienia ze szkoły Tomasz Kupiec ma podobne jak Ossowski: pracownia historyczna udekorowana radzieckimi sztandarami, zakaz rozmowy o sprawcach Zbrodni Katyńskiej, nie mówiąc już o powojennym podziemiu antykomunistycznym.

– Do czasu zaangażowania w ten projekt nie zdawałem sobie sprawy ze skali oporu wobec komunizmu tuż po wojnie. Teraz do mnie dociera, jak perfidne były ówczesne procesy pokazowe. Dociera do mnie, o ilu sprawach jeszcze nie wiemy, ile historii jest do odkrycia.

Łukasz Szleszkowski:

– Na początku współpracy z Krzysztofem Szwagrzykiem miałem bardzo skromną wiedzę o tym, co się działo w czasach stalinowskich, od profesora dowiedziałem się bardzo dużo. Nie oszukujmy się – należę do pokolenia wychowanego na *Czterech pancernych*, w których wojnę, a zwłaszcza okres tuż po niej, przedstawiono zdecydowanie inaczej, niż to wyglądało w rzeczywistości. W szkole też jeszcze nas uczyli, że rok 1944, 1945 to moment, od którego wszyscy stali się szczęśliwi i spokojni. A tymczasem tak naprawdę wojna wcale się jeszcze wtedy nie skończyła – mówi medyk sądowy.

Jego najbliższa współpracowniczka, Agata Thannhäuser, do szkoły chodziła już w czasach wolnej Polski, ale – tak jak w przypadku wielu jej rów-

wieśników – nauczyciele nie zdążyli z realizacją programu i na omówienie okresu powojennego zabrakło czasu. Historii uczy się więc podczas pracy antropologa sądowego. To znaczy – na dowodach.

– Kości nie kłamią – mówi z naciskiem. – Przepisy mówiły o wykonywaniu kary śmierci przez rozstrzelanie, czyli z udziałem plutonu egzekucyjnego i przez strzał w plecy. A tu widać, że zastosowano metodę „katyńską”, czyli strzał z małej odległości w tył głowy. To, co było napisane w ówczesnych dokumentach, jest po prostu nieprawdą – w głosie Agaty słychać przejęcie, mimo deklaracji (charakterystycznej zresztą dla większości zespołu), że emocji nie angażuje w pracę zawodową.

Łukasz Szleszkowski dodaje:

– To tak naprawdę nie była metoda egzekucji sądowej, tylko eliminacja jednostki: miało być szybko, skutecznie i ekonomicznie. Nie trzeba było angażować ludzi do plutonu, strzelał tylko jeden etatowy kat. Sposób wykonywania egzekucji idealnie się zresztą wpisuje w to, jak podsądni byli traktowani w czasie śledztwa, w jaki sposób przebiegały procesy – to była fikcja. Skoro strzelano w czaszkę z bliska, co zawsze skutkuje rozległymi obrażeniami, oznacza to, że oprawcy nawet nie brali pod uwagę możliwości wydania zwłok rodzinie.

Agata Thannhäuser cieszy się z tego, że wyniki pracy zostaną omówione w zagranicznych czasopismach fachowych.

– Nie oszukujmy się: świadomość tego, co się w Polsce działo po wojnie, jest za granicą niewielka. Dla mojego *native speaker*a, Australijczyka, to temat zupełnie obcy. Przeczytał mój artykuł i stwierdził, że nigdy nie słyszał o takich rzeczach. Mało tego – nawet moi znajomi z Wrocławia dziwili się: „Jak to? To ty kopiesz na Osobowicach?”. Odpowiadałam im, że jeśli chodzili po alejkach, to chodzili również po szczątkach. „Niemożliwe!”. Mam nadzieję, że przynajmniej ci z nich, którzy rozpoznali mnie w telewizji, czegoś się dowiedzą. Bo też pytali: „Kopiesz teraz w Warszawie? To poopowiadasz, jak przyjedziesz”. Zdarzyło się, że mówiłam o tych pracach także swoim studentom (przyszłym lekarzom) podczas zajęć dotyczących identyfikacji. Jeden z nich podszedł do mnie po zajęciach i zapytał, czy jego babcia mogłaby oddać materiał genetyczny. Udało się przypadkiem!

W szkole, do której chodziła antropolog Natalia Szymczak, historię również traktowano po macoszemu, ale ona sama interesowała się powojennymi dziejami Polski od dawna. To, co zobaczyła na „Łączce”, jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu o naturze komunizmu. Nie ma

wątpliwości, że przyjrzenie się wynikom pracy na „Łączce” wpłynęłoby podobnie na każdego:

– Często od zwykłych ludzi słyszymy zdanie: „Za komuny było lepiej”. Wątpię, czy te osoby mają świadomość, jak było naprawdę. Czy aby na pewno można wtedy było żyć tak spokojnie, jak im się wydaje? Ktoś, kto był na „Łączce”, na pewno już nigdy tak nie powie.

KALENDARZ NA GRZEBIENIU, CZYLI WALKA Z EMOCJAMI

Przez miesiąc powązkowska „Łączka” – jak to zwykle bywa z terenami wykopalisk archeologicznych – była miejscem uwijania się niczym w ukropie: ciężka praca od świtu do zmierzchu, dziesiątki odwiedzających każdego dnia, ciągłe napięcie.

24 sierpnia 2012 r. po czterotygodniowych pracach na Powązkach prawie nie ma już śladu. Ale są ich rezultaty: kilka rzędów niewielkich drewnianych trumien, obok – warta honorowa. Trumny skrywają szczątki 112 osób ekshumowanych w ciągu minionego miesiąca. Wokół nich – wszyscy, którzy mieli udział w ich odnalezieniu: Krzysztof Szwagrzyk, Andrzej Ossowski, medycy sądowi, archeolodzy, antropolodzy.



Trumny ze szczątkami obok pomnika upamiętniającego ofiary komunizmu (fot. IPN TV)

Prezes IPN, Łukasz Kamiński, wyraźnie poruszony, mówi:

– Nie potrafię znaleźć właściwych słów, aby podziękować panu prof. Szwagrzykowi i wszystkim państwu. Myślę, że tę wdzięczność odczuwali państwo wielokrotnie, przede wszystkim ze strony tych, którzy są najważniejsi: od rodzin ofiar. Możemy spojrzeć na te szczątki, które przed nami leżą, jako na szczątki Polskiego Państwa Podziemnego, jako na szczątki tego, czym Polska mogła być po zakończeniu II wojny światowej, a się nie stała. Ale możemy popatrzeć też inaczej. Możemy popatrzeć na tych ludzi jako na wciąż żywe źródło inspiracji dla nas także dzisiaj. Możemy na te trumny popatrzeć jako na element fundamentu nowej Rzeczypospolitej, którą budujemy. Myślę, że ta dzisiejsza uroczystość, dalsze, które nastąpią, sam pogrzeb – to nie powinno być tylko ostatnie pożegnanie z tymi ludźmi. Dla nas wszystkich, dla wszystkich Polaków, powinno to być też z nimi spotkanie. Spotkanie z ludźmi, o których przez kilkadziesiąt lat starano się, aby wszyscy zapomnieli. Myślę, że te milczące trumny wciąż jeszcze mają nam bardzo dużo do powiedzenia.



Prezes IPN Łukasz Kamiński podczas uroczystości odprowadzenia szczątków z Powązek (fot. IPN TV)

Andrzej Krzysztof Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, podkreśla, że choć poszukiwania powinny były się zacząć przeszło dwadzieścia lat wcześniej, u progu wolnej Polski, to nie warto teraz się zastanawiać, dlaczego prace podjęto tak późno:

– Patrzymy też pozytywnie: że uda nam się za chwilę zapewnić kolejnym z tych ofiar godne miejsce spoczynku i tabliczki z imionami i z nazwiskami, bo teraz z pełną determinacją zaczniemy proces identyfikacji indywidualnej. W miarę upływu czasu dysponujemy coraz doskonalszymi narzędziami, których możemy użyć przy tych działaniach. A tym ofiarom należy się to szczególnie. Bo są to przecież ludzie skazywani pod fikcyjnymi zarzutami. Skazywani po mękach zadawanych w przesłuchaniach, w których usiłowano nie tylko wymusić na nich zeznania, ale usiłowano także ich pohańbić, stawiając przeciwko nim zarzuty najstraszliwsze – zarzuty zdrady, pójścia na współpracę z okupantem itd. Skazywano ich na śmierć. Tracono ich z wyroków sądów. Ale my wiemy, że to nie było w majestacie Rzeczypospolitej, chociaż tak to usiłowano przedstawić. Rzeczpospolita w tej chwili zaczyna oddawać im sprawiedliwość w takim – przepraszam za to słowo – materialnym wyrazie. Będziemy zapewniali miejsca spoczynku, będziemy budowali nagrobki, będziemy stawiali tabliczki imienne i pomniki. Okoliczności ich śmierci, haniebny sposób grzebania zwłok i miejsca pochówku, które od początku były wybierane w ten sposób, żeby można było najłatwiej ukryć informacje o nich – te czynniki sprawiają, że im się to wszystko wyjątkowo należy.



– Nie wiem, czy nie stoję w tej chwili na miejscu, gdzie jest pochowany mój ojciec – powiedział Witold Mieszkowski podczas uroczystości odprowadzenia szczątków z Powązek; półtora roku później okazało się, że się pomylił zaledwie o kilka metrów (fot. IPN TV)

Szczególnie poruszające jest wystąpienie Witolda Mieszkowskiego, syna kmdr. Stanisława Mieszkowskiego:

– Przypominam sobie taką samą modlitwę 22 lata temu – bo tyle nas dzieli od dnia, kiedy najpierw zakładaliśmy pod ten pomnik kamień węgielny, a potemśmy ten pomnik budowali. 22 lata. A w ogóle to czekaliśmy 55 lat. Dzisiaj już ludzie starzy – dzieci, synowie. Nasi ojcowie tu leżący mieliby dzisiaj po 110 lat. I to jest smutna prawda – dzisiaj w modlitwie proszę, żebyście państwo o niej pamiętali. Obecność nasza tutaj jest początkiem, a nie końcem odkrywania tego miejsca zbrodni przeciwko ludzkości. Ja nie wiem, czy ja nie stoję w tej chwili na miejscu, gdzie jest pochowany mój ojciec. Nawet mogę powiedzieć, że jest – z bardzo dużym prawdopodobieństwem. I myślę, że już wkrótce doczekamy się również dalszego ciągu tych ekshumacji. Wierzę w to, że nie będę na to musiał czekać znowu 22 lata.

1 listopada 1990 r. w kwaterze „Ł” – domniemanym wówczas miejscu pochówku ofiar komunizmu – wmurowano kamień węgielny pod symboliczne upamiętnienie tychże ofiar. Autorem projektu pomnika, w formie muru z wyrwą w kształcie litery V, był architekt Dominik Mączyński. Upamiętnienie powstało z inicjatywy społecznego komitetu na czele z mec. Marią Romer-Kędzierską, żoną Tadeusza Romera – jednego ze straconych. Konstrukcję rozebrano podczas prac ekshumacyjnych.

Po modlitwie ekumenicznej rodziny poszukiwanych, członkowie ekipy badawczej, szefowie instytucji uczestniczących w projekcie biorą kolejne trumny i dostojnie zmierzają w stronę karawanu, który zawiezie je na warszawski cmentarz Północny, gdzie w chłodni będą przechowywane do czasu pogrzebu. Na twarzach odprowadzających malują się skupienie i wzruszenie.

– To jest właśnie ten moment, kiedy można dać upust emocjom nagromadzonym w trakcie pracy. Podczas badań nie ma o tym mowy – mówi antropolog sądowa Agata Thannhäuser.

Co może im się w tym momencie przypominać?

Antropolog Katarzyna Kuźniarska zapamiętała tragedie, które można było wyczytać z ekshumowanych kości: to, że ktoś przez dłuższy czas próbował chodzić mimo złamanej kości udowej. Albo to, że ktoś żył z kulą,



Łukasz Kamiński, Krzysztof Szwarzgryk i Andrzej Kunert odprowadzają trumny z Powązek (fot. IPN TV)

która utkwiała w kości, z potworną przetoką ropną. Albo ze złamaną zuchwą czy otwartym ropniem w przewodzie słuchowym.

– Mimo że byli w tak ciężkim stanie, ci ludzie nie umarli z wycieńczenia, tylko zginęli od kuli, bo mieli otwór z tyłu czaszki – zaznacza Katarzyna. – Ogromne wrażenie robi też samo to, że wszystkie te szczątki zastajemy *in situ*, czyli dokładnie w takim kształcie i w tym miejscu, w jakich zostały zakopane kilkadziesiąt lat temu. Wreszcie znaczenie ma też samo oglądanie, dzień w dzień przez miesiąc, tak ogromnej skali zagłady swojego gatunku.

Natalia Szymczak, antropolog:

– Można próbować podchodzić do pracy na chłodno, ale w sytuacji, gdy interesujesz się losem naszych bohaterów i znasz genezę „Łączki”, nie jesteś w stanie tak pracować. Kiedy odnajduje się pociski albo ukryty medalik w ustach, wyobraźnia sama dopowiada ich historię. Najtrudniejsze były momenty, kiedy znajdowałam rzeczy osobiste. Na przykład zwykły grzebień, który okazał się kalendarzem, z którego można było odczytać, kiedy właściciel został zamordowany. Codziennie dodawał na nim kreskę, która oznaczała kolejny dzień pobytu w więzieniu. W momencie, kiedy kreski się urywają, nastąpiło wykonanie wyroku.

NIEWIARYGODNY ŚWISTEK, CZYLI NADZIEJA UMIERA OSTATNIA

Rodziny, które oddały materiał porównawczy do badań genetycznych, od dnia odprowadzenia ekshumowanych szczątków swoich bliskich do chłodni w napięciu oczekują wyników. Przez wszystkie te lata wielu straciło już nadzieję na odnalezienie najbliższych. Choć byli i tacy, którzy nie ustawali w wysiłkach – jak Witold Mieszkowski. Jego ojciec, kmdr Stanisław Mieszkowski, padł ofiarą sfigowanego procesu o szpiegostwo w Marynarce Wojennej i próbę obalenia ustroju. Mieszkowski był bowiem w tej grupie przedwojennych oficerów Wojska Polskiego, którzy większość okupacji – do



Komandor Stanisław Mieszkowski z załogą ORP „Mazur”, 1935 r.
(fot. ze zbiorów rodziny Mieszkowskich)



Stanisław Mieszkowski jako szef sztabu Marynarki Wojennej, 1947 r.
(fot. ze zbiorów rodziny Mieszkowskich)

1945 r. – spędzili w niewoli, a po wojnie zostali powołani do ludowego Wojska Polskiego. Po wyjściu z oflagu w Woldenbergu Mieszkowski zdecydował się wrócić do Polski ze względu na żonę i siedmioletniego syna, którzy szczęśliwie przeżyli Powstanie Warszawskie.

We wrześniu 1950 r. aresztowano kmdr. por. Zbigniewa Przybyszewskiego, dowódcę Artylerii Marynarki Wojennej. Miesiąc później, 20 października, ten sam los spotkał Stanisława Mieszkowskiego, wówczas dowódcę floty.

– Wyszedł rano na spacer z psem i już więcej nie wrócił – wspomina pan Witold.

Oprócz Mieszkowskiego i Przybyszewskiego ujęto jeszcze sześciu komandorów. Aresztowanie ojca Witold Mieszkowski określa jako terrorystyczne:

– To klasyczny wręcz przejaw terroryzmu państwowego, powszechny w krajach komunistycznych w XX w. Zarzuty przedstawiono dopiero później. Cały proces był wyreżyserowanym spektaklem. Śledztwo było straszne. Wiem o tym oczywiście tylko z materiałów archiwalnych – najpierw z akt zgromadzonych w prokuraturze wojskowej, do których dotarłem, później także z dokumentów przechowywanych przez IPN. Trochę się też dowiedziałem od tych oficerów, którzy zostali skazani na dożywocie, a wyszli z więzień w 1956 r. Tortury były podobne do tych, które opisuje Kazimierz Moczarski. W ciągu dwóch lat ojciec miał przeszło czterysta przesłuchań, które najczęściej trwały po kilkanaście godzin. Przyznawał się do zmyślonych przez Antona Skulbaszewskiego zarzutów, to znów odwoływał zeznania. Bywał kilkakrotnie przetrzymywany w karcerze: dwa dni w zimnie, w wodzie, w betonowej skrzyni. Opowiadał mi o tym i pisał kmdr Marian Wojcieszek.



Stanisław Mieszkowski jako dowódca Floty Marynarki Wojennej, 1950 r. (fot. ze zbiorów rodziny Mieszkowskich)



Witold Mieszkowski z rodzicami na skwerze Kościuszki w Gdyni, 1948 r. (fot. ze zbiorów rodziny Mieszkowskich)

Ojca pan Witold znał zaledwie niecałych sześć lat – od jego powrotu w 1945 r. do zrujnowanego portu w Kołobrzegu do dnia aresztowania w Gdyni. Z wcześniejszego okresu, sprzed wojny, nie ma związanych z nim wspomnień. Ale i o tych kilku latach po jego powrocie z niewoli mówi bardzo lapidarnie:

– Byłem akurat w takim wieku, w którym ojciec jest chłopcu najbardziej potrzebny. Obserwowałem go bacznie. Myślę, że poznanie jego sposobu myślenia, postawy zdecydowało o tym, jaka była moja życiowa droga – zaznacza.

Czy chodzi o patriotyzm?

– Nie chciałbym używać takich wielkich słów. Chodzi raczej o to, żeby być przyzwoitym człowiekiem i bez zahamowań dążyć do prawdy, która wyzwala.

O wiele więcej o swoim ojcu, mjr. Janie Czere dysie, opowiada Regina Litke:

– Był fajnym ojcem. Takim kumplem, bo był młody, miał tylko 21 lat, kiedy się urodziłam. Ale był przy tym bardzo dojrzały i odpowiedzialny. Miał świetny kontakt z ludźmi, lubił ich i był lubiany. To była chodząca energia, wszędzie go było pełno.



Klasa maturalna Jana Czeredysa, Państwowa Szkoła Budownictwa, Warszawa, 1932 r. (fot. ze zbiorów Reginy Litke)



Jan Czeredys w mundurze Oficerskiej Szkoły Piechoty w towarzystwie rodziny, 1936 r. (fot. ze zbiorów Reginy Litke)



Stanisława i Jan Czeredysowie z córką Reginą, 1932 r.
(fot. ze zbiorów Reginy Litke)



Jan Czeredys z młodszą córką Elżbietą;
Warszawa, Aleje Jerozolimskie, 1946 r.
(fot. ze zbiorów Reginy Litke)

To ojciec nauczył ją jazdy rowerem. Zamierzał też nauczyć prowadzenia motocykla, ale nie zdążył. Kupował jej mnóstwo książek. Po wojnie, kiedy tylko jakakolwiek nowa atrakcja pojawiła się w zrujnowanej stolicy, zabierał ją wraz z młodszą siostrą do kina lub teatru. Wcześniej, w czasie okupacji, wciągał ją nawet w konspirację. To oczywiście stwierdzenie nieco na wyrost, bo chodziło o jednorazowe wykonanie zadania przez nieświadomą niczego dwunastolatkę:

– Tuż przed Powstaniem posłużył się mną jako kurierem. Miałam dostarczyć przesyłkę pod wskazany adres – do kamienicy przy Marszałkowskiej róg Widok. Ojciec mnie nauczył jakiegoś hasła i wręczył kopertę. Poinstruował, że w razie, gdyby podjechała żandarmaska buda, mam uciekać do bramy. Pamiętam to jak scenę z jakiegoś filmu: stara kamienica, klatka... Zapukałam do drzwi, otworzyła jakaś pani, wymieniliśmy się hasłami, podałam jej kopertę i szybko uciekłam. Kiedy mama się dowiedziała o tej historii, nie mogła ojcu darować, że mnie w ten sposób naraził. Najwyraźniej jednak nie było innego sposobu, żeby dostarczyć tę przesyłkę bez wzbudzenia podejrzeń.

Pod koniec wojny, jeszcze w 1944 r., Jan Czeredys wstąpił do ludowego Wojska Pol-



Dwunastoletnia Regina Czeredys wykonała zadanie konspiracyjnego kuriera; Warszawa, 1944 r. (fot. ze zbiorów Reginy Litke)

skiego. Tak jak wielu przedwojennych oficerów, wkrótce padł ofiarą czystek. Aresztowanie nastąpiło 13 lutego 1948 r. Do domu przyszli jacyś cywile, nie wiadomo było, kto to jest. Przez kilkanaście godzin przeczesywali mieszkanie. Pani Czeredysowej z córkami nie wolno było opuszczać pokoju wskazanego przez funkcjonariuszy. Bardzo późnym wieczorem zabrano majora. Dokąd? Tego nikt nie powiedział.

– Później co jakiś czas przychodził do nas jakiś człowiek i kazał nam opuszczać mieszkanie. Jego część była niedostępna. Gospodarz domu, bardzo życzliwy, namawiał nas, żebyśmy pozostały i się nie bały. W końcu, kiedy już nie dało się dłużej stawiać oporu, pomógł nam przenieść się do mniejszego mieszkania – wspomina pani Regina.

Po kilku tygodniach od aresztowania pani Stanisława została wezwana do siedziby Informacji Wojskowej przy ul. Oczuki na widzenie konfrontacyjne. Najpierw ją przesłuchano, a potem do pokoju wprowadzono męża.

– Nie poznała go, tak był skatowany. Miał zaledwie 36 lat, a wyglądał kompletnie jak starzec! Mama mówiła, że dopiero kiedy odezwał się do niej po imieniu: „Stasiu!”, rozpoznała go po głosie – wspomina Regina Litke.

Śledztwo w Informacji Wojskowej trwało siedem miesięcy. 3 listopada zapadł wyrok. Bolesław Bierut, ówczesny prezydent, nie skorzystał z prawa łaski. O ułaskawienie występowali żona majora i jego ojciec, ale nawet nie dostali odpowiedzi.

Jana Czeredysa przeniesiono do celi śmierci na Rakowiecką. Właśnie tam Reginie i jej mamie było dane po raz ostatni go zobaczyć.

Koniec listopada, może początek grudnia 1948 r. Na długo przed świętem, około czwartej nad ranem, szesnastolatka z mamą ustawiają się w kolejce przed więzienną bramą. Mają szczęście: dostają przepustkę. Widzenie może się odbyć.

– Spotkanie było okropne. Wyobrażałam sobie, że usiądziemy normalnie przy stole, będziemy mogli się dotknąć. A tu – z każdej strony krata, w odległości dwóch, trzech metrów od siebie. Pomiedzy tymi kratami chodził wartownik z bronią. Widzenie było dla kilku czy kilkunastu rodzin jednocześnie. Trudno więc mówić o jakiejś rozmowie, to był raczej jeden wielki gwar. To spotkanie przysporzyło nam tylko dodatkowego cierpienia, przypuszczam, że ojcu też...

O terminie wykonania wyroku nikt nie poinformował pani Czeredysowej. Tak samo było w przypadku państwa Mieszkowskich. Młody Witold, jeszcze przed maturą, postanowił poruszyć niebo i ziemię, żeby ustalić,

co się dzieje z ojcem. W styczniu 1953 r. udał się do Naczelnej Prokuratury Wojskowej w Warszawie. Rozmawiał z najważniejszą osobą w tej instytucji, płk. Stanisławem Zarakowskim. Chłopak usłyszał, że wyrok na ojcu został wykonany. „Czy teraz wierzysz w sprawiedliwość socjalistyczną?”, zapytał cynicznie Zarakowski. „Nie wierzę. Nigdy nie wierzyłem i nigdy nie uwierzę”, odpowiedział Witold.

– I tak jest do dziś – podkreśla po latach.

Wtedy nie uwierzył również w prawdziwość słów prokuratora.

– Na świadectwie zgonu mojego ojca nie było ani daty jego urodzenia, ani stopnia wojskowego, ani nawet podpisów lekarza i prokuratora. Czy łatwo uwierzyć w taki świstek? – pyta retorycznie.

Był jeszcze jeden trop: audycje Józefa Świątły w Radiu Wolna Europa. W jednej z nich ten zbiegły na Zachód wysoki funkcjonariusz aparatu komunistycznej bezpieki stwierdził, że trzech komandorów wywieziono do Związku Radzieckiego. Nazwisk nie podał, ale liczba się zgadzała, pasował też stopień wojskowy: na karę śmierci skazano przecież jeszcze komandorów Zbigniewa Przybyszewskiego i Jerzego Staniewicza.

– Moja wielce zatroskana matka bardzo mocno uchwyciła się tej informacji – mówi Witold Mieszkowski. – Po odwilży 1956 r., po tzw. rehabilitacji mojego ojca, zwróciliśmy się o ukaranie winnych morderstwa sądowego i o ekshumację ojcowych zwłok. Odmówiono nam jednego i drugiego, a więc – rozumowaliśmy – skoro nie dają nam dowodów, to znaczy, że ojciec żyje!

Dziś Witold Mieszkowski zdaje sobie sprawę z tego, że była to naturalna samoobrona psychiki przed dopuszczeniem najgorszej myśli:

– Miałem wtedy już kilkanaście lat. Ale przecież inni straceni mieli czasami młodsze dzieci, a nawet takie, które się urodziły dopiero, gdy ojcowie byli dręczeni przez komunistów w nieludzkich śledztwach. Uświadomiłem sobie, że o tych najstraszniejszych momentach ci młodszy wiedzą więcej niż ja. Ponieważ ja patrzyłem na tamto wszystko dojrzałej, broniłem się przed dopuszczaniem najgorszych myśli – szermierz zawsze się broni, przyjmując skuteczną gardę. Ci, którzy byli za mali, żeby samemu coś zapamiętać, widzą tamte wydarzenia oczami swoich matek, które wszystko dużo silniej przeżywają. Ci młodszy ode mnie to byli najczęściej chłopcy: Andrzej i Jurek Kraszewscy, Wojtek i Maciek Rychlowie, a starsze były dziewczyny: Danusia Przybyszewska i Michowska, Basia Ściborówna czy Grażyna Barbasiewicz.

Pewność w sprawie wykonania wyroku na najbliższej dla niej osobie miała Lidia Lwow-Eberle „Lala”. Oczywiście nie dostała oficjalnego pis-

ma z informacją o straceniu swego narzeczonego, a zarazem dowódcy, mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. O wykonaniu wyroku wiedziała dlatego, że siedziała z narzeczoną w jednym więzieniu. Ona odbywała karę dożywocia, on – czekał na śmierć. Dwa tygodnie przed terminem jego stracenia pozwolili im się zobaczyć. Mieli szczęście – adiutant „Łupaszki”, Lucjan Minkiewicz, którego żona, Wanda, urodziła w więzieniu ich wspólne dziecko, nie miał szans zobaczyć swojej najbliższej osoby przed śmiercią.

– Zygmunta i mnie posadzili w jednej sali, po południu, przed kolacją. Troje wojskowych nas pilnowało. Powiedzieli, że możemy rozmawiać tak długo jak chcemy i o czym chcemy. Można powiedzieć, że byli bardzo grzeczni – pani Lidia po latach już swobodnie mówi o dramatycznych przeżyciach z 1951 r. – Wtedy byłam tak zszokowana, że nic nie mówiłam, słuchałam tylko, co mówił Zygmunt. Mówił o swojej córce Basi [z nieistniejącego już wówczas małżeństwa – K.W.] – że jakoś nie może jej sobie wyobrazić, choć niedługo wcześniej ją widział. O swojej matce, którą bardzo kochał – mówił, że najbardziej ze wszystkich kobiet na świecie. Był najmłodszym synem. Matka „Łupaszki” żyła wtedy, mieszkała w Gdańsku, ale on się z nią nie spotkał. A do mnie powiedział: „Jak wyjdiesz na wolność, ucz się i wyjdź za mąż” – tyle zapamiętałam. Pożegnaliśmy się. 8 lutego wykonano na nim wyrok. Przez lata byłam przekonana, że to było 7 lutego. Taką datę zapamiętałam, nie miałam wtedy jak jej zanotować – mówi pani Lidia.

Jak zapamiętała „Łupaszkę”? Był mężczyzną jej młodości, ale przede wszystkim – dowódcą. Poznali się w partyzantce. Przy adiutancie powiedział do niej, żeby uważała się za jego narzeczoną. Był już wtedy rozwiedziony.

– Zakochała się Pani.

– Hmm... Zakochałam... – starsza dama szuka właściwego określenia. – Wie pani, ja wiedziałam, że on zawsze o mnie myśli. Nawet kiedy byliśmy osobno, to wiedziałam, że w tych trudnych warunkach, w jakich się wtedy znajdowaliśmy, ktoś o mnie pamięta. Właśnie on.



Lidia Lwów, zdjęcie z czasów studiów na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, 1938 r. (fot. AIPN)



Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” (w środku), z lewej: ppor. Henryk Wieliczko „Lufta”, por. Marian Pluciński „Mścislaw”, z prawej: wachm. Jerzy Lejkowski „Szpagat”, ppor. Zdzisław Badocha „Żelazny” (fot. AIPN)

– A więc bardziej przyjaźń niż romantyczna miłość wojenna?

– Przyjaźń z podkomendną, którą byłam. „Łupaszka” zawsze dla mnie był komendantem, choć oczywiście od pewnego momentu zwracaliśmy do siebie po imieniu. On do mnie mówił „Ewelinko”. Bo zmieniałam pseudonim z „Lala” na „Ewa”, on używał formy „Ewelina”. Byliśmy ze sobą do aresztowania w 1948 r. Potem widziałam go na naszej rozprawie, a po raz ostatni – na więziennym widzeniu.

Części osób, których szczątki odprowadzano z „Łączki” w sierpniu 2012 r., nie było dane nigdy zobaczyć swoich dzieci. Należy do nich Adam Gajdek – przedwojenny podoficer, w czasie okupacji żołnierz AK, po wojnie – Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Żona, Czesława, również działała w powojennej konspiracji, udało jej się jednak uniknąć więzienia. Jego aresztowano w 1947 r. w Krakowie. Mieli wtedy już siedmioletniego syna. Czesława była w ciąży. Jak się wkrótce okazało – bliźniaczej.



Adam Gajdek
(fot. ze zbiorów rodziny Gajdków)



Adam Gajdek w okresie służby
wojskowej (fot. ze zbiorów rodziny
Gajdków)



Adam Gajdek z żoną Czesławą
(fot. ze zbiorów rodziny Gajdków)



Czesława i Adam Gajdkowie z synem
Zdzisławem (fot. ze zbiorów rodziny
Gajdków)



Czesława Gajdek z bliźniakami Adamem i Ignacym oraz ze starszym synem Zdzisławem (fot. ze zbiorów rodziny Gajdków)

– Ojciec nigdy nas nie zobaczył – mówi Ignacy Gajdek, jeden z bliźniaków. – Ale mama przekazała mu wiadomość, że ma dwóch synów: wysłała w paczce dwie cebule przewiązane wstążką. To była zaszyfrowana informacja, że urodziły się bliźniaki, chłopaki. Bo cebula to coś ostrzejszego. Gdyby były dziewczynki, pewnie zapakowałyby jakiś słodki owoc. List nie przeszedłby przez więzienną cenzurę.

Adam Gajdek został stracony w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie 14 stycznia 1949 r. Ignacy i Adam mieli wtedy po kilka miesięcy. Od czasu przeniesienia z Krakowa Gajdek ani razu nie widział się z żoną. Starszy syn, Zdzisław, miał szansę zapamiętać ojca, ale nie dożył poszukiwań na „Łączce”. Inaczej niż większość rodzin, Gajdkowie wiedzieli na pewno, że ojca zabito. Oni oczywiście też nie dostali żadnego formalnego zawiadomienia, ale Adam Gajdek siedział w tej samej celi co mec. Władysław Siła-Nowicki. On jako jedyny z tej grupy, dzięki wstawiennictwu ciotki, spokrewnionej z Feliksem Dzierżyńskim, miał karę śmierci zamienioną

na dożywocie i wyszedł z więzienia w 1956 r. Dlatego mógł powiadomić Gajdków o losach Adama.

– Mecenaz potem nam trochę pomagał, kiedy mógł, odwiedzał nas w Krakowie. Dzięki jego staraniom rehabilitowano ojca – podkreśla Ignacy Gajdek.

Jak o śmierci ojca dowiedzieli się synowie Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego”?

– Domyślaliśmy się, że ojciec nie żyje, od momentu, kiedy przestały od niego przychodzić listy z więzienia – mówi Józef Olechnowicz, młodszy z braci.

Miał rok, kiedy aresztowano ojca razem z matką. Starszy, Krzysztof, liczył sobie wtedy już siedem lat. Ale i on niewiele pamięta:

– Miałem z ojcem bardzo rzadki kontakt, można powiedzieć: z dosko-ku. Przez całe moje życie był w konspiracji – ukrywał się a to przed Ruski-mi, a to przed Niemcami, potem przed UB.

Najwięcej o ojcu bracia Olechnowiczowie mogą się dowiedzieć z zachowanych listów, które wysyłał z więzienia:

„Wszystkich Was przepraszam, że naraziłem na olbrzymie przykrości i ściągnąłem na Was nieszczęście – wybaczcie mi. Dopiero teraz odczułem, jak Was szalenie kocham, i że utraciłem tych, których kocham nad życie. Czekam jak najszybszej odpowiedzi. Całuję Was wszystkich. Was, moje najmilsze maleństwa, Krzysiu i Józio, przyciskam do serca najczulej. To samo z Waszą najukochańszą mamusią, a moją żoną Lilą. Przepraszam, że byłem złym ojcem i mężem. Błogosławię was, niech się Wami Bóg opiekuje. Żegnajcie, najukochańsi, całuję Was mocno. Bądźcie zdrowi, a mnie wspomnijcie czasem”.

Zachował się również list, który Krzysztof wysłał do ojca po ogłoszeniu wyroku śmierci (pisownia oryginalna):

„Z gazet i radia dowiedziałem się o tobie tatusiu i słyszałem twój głos. My żyjemy z Józiem przy cioci Muni i Babci. Jesteśmy zdrowi. Ja jestem w V kl., a Józie chodzą do pszczkole. Józio już jest dużym chłopakiem, umie liczyć do 5-ciu. Ja podczas wakacji byłem na kolonii szkolnej. Było mi dobrze. Od mamusi otrzymujemy listy i ja też piszę do mamusi. Jeżeli ci wolno, napisz, czy chcesz skarpetki i czy wolno paczkę żywnościową wysłać, ile kg. Wysłemy ci 15 złotych na twoje wydatki. Może ci potszebna bielizna, to napisz. Całujemy cię mocno tatusiu razem z Józiem. Twój syn Krych. Czekam twego listu”.

Śwt. 26. XI. 1950r.

Moi Najukochanszi: Hilo, Krysiu, Joriko, Babciu,
Micio i Nabo, cze i Muniu - adresuję do wszystkich, gdyż nie wiem
kto i gdzie jest. Jestem zdrow, stale niepokoję się o wasze
zdrowie moi najdrożsi. Proszę o szybki odpowiedź, wywrócić
język o wszystkich. Niech krychle też choć pane, dowo
dofirze, wnak pisac pewno już dabne moje kochanie
umiesz. Całuję wasze czoła ~~ojców~~ i ~~brat~~ i ~~brat~~
was moje najukochansze maleństwo krychle, Joriko
i mimiule od krychle już chyba niektora wasza
manusia, a moja sama Hilo, wszystkich wygnie-
niowyer myziz: nie wygnienionych też. Jedno-
rednie wszystkich was przeprosze, że siegnętem
niecierpliwie na was, Kochaniu. Wspominajcie mnie cze-
stnie. Całuję was mocno i iskram, tran ojciec może i przy
pauze ~~przeleć~~

Wrocław ~~26. XI. 50~~
Kochany Tatusiu!
Z gazet i rodzica dowiedzialem
sie o tobie tatusiu i styszałem
twój głos. My siejemy z Jaxiem
przy cici Muni i Babci. Jestemny
zdrowi. Ja jestem w V kl.
a Jaxie chodza do przeczkoła.
Jaxio już jest dwozy chłopakumie
liczyć do 5-ciu. Ja (przeleć)
podczas wakacji byłem na kolonii.

szkolny. Było mi dobrze. Adm mamini
odtrzymujemy listy i ja też pisze
do mamusi. Jeżeli ci wolno
napisz czy chceš skarpetki i czy
wolno parcke żywnosciowa ^{wyplac} ~~dek~~
Wyszlemy ci 15 złotych na
twoje wydatki. Może ci
potrzebna bielizna ~~na napis~~
Całujemy cie mocno tatusiu
razem z Jaxiem twój syn Krych
ozekam twego listu

Warszawa, Mokotów, Wiernie. 7. listopada 1950 r.

Moi Najukochajsi: Lilu, Krzysiu, Józio,
Babcin, Olu, ciccio, Mulo, Munio i Wrysey.
Nie wiem kto z Was jest, a kogo nie ma!
Napiszcie co się z Wami dzieje.

Wszystkich Was przepraszam, i nawa-
nitem na obłąkanie przykrości i sciągno-
tem na Was nieszczęście - wybawcie
mi. Dopiero teraz odczuwam jak Was
szalenie Kocham i w utracie tych

Których Kocham nad życie. Czekam
jak najszybciej odpowiedzi. Całyż Was
wszystkich. Was moje najmilsze ma-
leństwa, Krzysiu i Józio, przyjacieli do
serca najdrożej, to samo Wasze najuko-
chajszą mamusia a moje żonie lilu.

Przepraszam, że byłem zły i o wszystkim i wszystkim
Bóg ostawił, Was, których nie znam. Bóg ostawił.
Zegnajcie najukochajsi - całyż Was mocno
Piszeć zdrowi, a mnie wspomnijcie zawsze.
Mój adres: Warszawa
Mokotów, Wiernie, Olszowa 12

POTWIERDZENIE TOŻSAMOŚCI, CZYLI PRZYWRÓCONE NAZWISKA

Kiedy ruszyły prace na Powązkach, żadna z rodzin poszukiwanych nie miała już wątpliwości co do tego, że ich bliska osoba nie żyje – historycy do tego czasu dotarli do protokołów wykonania kar śmierci wymierzonych przez komunistyczne sądy. Jedyne, czego mogli w tej sytuacji oczekiwać, to ostateczne potwierdzenie tego, co się stało z ciałami. Pierwsze rodziny dowiedziały się tego 6 grudnia 2012 r.

W Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” w Warszawie zbierają się pełne nadziei rodziny ofiar oraz specjaliści zaangażowani w poszukiwania. Za plecami osób zabierających głos – Łukasza Kamińskiego, Andrzeja Kunerta, Krzysztofa Szwagrzyka, Andrzeja Ossowskiego, Łukasza Szleszkowskiego i Agaty Thannhäuser – czekają trzy puste stelaże. Kolejno pojawiają się na nich portrety osób, których nazwiska (wraz z najważniejszymi informacjami o ich działalności) wyczytuje prezes IPN Łukasz Kamiński: **Edmund Zbigniew Bukowski**, **Stanisław Łukasik**, **Eugeniusz Smoliński**. Właśnie w takiej kolejności – alfabetycznej, nie według rangi wojskowej czy zasług. Taki sposób zaproponował prof. Andrzej Ciechanowicz, rektor PUM, aby podkreślić, że identyfikacja każdej osoby jest równie ważna.

Wyczytując kolejne nazwiska, dr Łukasz Kamiński przybliży krótko życiorysy poszczególnych osób.



Edmund Zbigniew Bukowski (1918–1950), pseudonim „Edmund”, porucznik Armii Krajowej. Od urodzenia związany z Wileńszczyzną, gdzie ukończył szkołę powszechną i gimnazjum oo. jezuitów, a także rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Wileńskim. Żołnierz Polskiego Państwa Podziemnego w strukturach Służby Zwycięstwu Polski / Związku Walki Zbrojnej / Armii Kra-

jowej. Działał w grupie łączności Wileńskiego Okręgu AK. Kilkakrotnie odbywał kursy do Warszawy, transportując sprzęt radiowy i tabele szyfów. Dwukrotnie aresztowany – w 1942 r. przez policję litewską, w lipcu 1944 r. przez NKWD – za każdym razem odzyskiwał wolność. Po drugiej ucieczce przeniesiony do Warszawy, gdzie uczestniczył w Powstaniu, współtworząc bazę łączności dla miasta. Po upadku Powstania nie zaniechał działalności konspiracyjnej. Został kurierem dowódcy Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego Okręgu AK ppłk. Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego”. Przez całą Europę przewoził informacje, rozkazy i fundusze przeznaczone na dalszą działalność niepodległościową. W latach 1947–1948, jako członek sztabu Ośrodka Mobilizacyjnego Okręgu Wileńskiego AK, zorganizował jego siatkę wywiadowczą. Aresztowany 28 czerwca 1948 r., podczas akcji rozbicia przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego siatki Okręgu Wileńskiego AK w całej Polsce. W trakcie bardzo ciężkich przesłuchań zachował dzielną postawę. Skazany na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 14 listopada 1949 r. Stracony w więzieniu przy ul. Rakowieckiej 13 kwietnia 1950 r. Wielokrotnie odznaczony, m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem AK.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Stanisław Łukasik (1918–1949), pseudonim „Ryś”, kapitan Armii Krajowej, a następnie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Urodził się w Lublinie jako syn robotnika kolejowego. Ukończył Szkołę Podoficerską dla Młodoletnich w Koninie, a następnie służył w 23. pułku piechoty we Włodzimierzu Wołyńskim, otrzymał stopień plutonowego służby stałej. Z rodzimą jednostką walczył w 1939 r. w składzie armii „Pomorze”. Uniknął niewoli i powrócił do rodzinnego domu w Motyczu k. Lublina. W konspiracji działał od listopada 1939 r., początkowo w Związku Czynu Zbrojnego, po potłuczeniu organizacji – w Polskiej Organizacji Zbrojnej, a po scaleniu w 1942 r. – w AK. W latach 1940–1943 dowodził placówką i rejonem Konopnica, od stycznia 1944 r. – oddziałem lotnym Kedywu w Obwodzie AK Lublin-Powiat. W czasie akcji „Burza” oddział ten liczył ok. 120 partyzantów. 21 lipca 1944 r. został rozbrojony przez wojska sowieckie. Łukasik, aresztowany przez Sowieców w sierpniu 1944 r., zbiegł z aresztu NKWD przy ul. Chopina 18 w Lublinie, po czym się ukrywał. Od marca 1945 r. ponownie objął dowództwo nad oddziałem partyzanckim Delegatury Sił Zbrojnych

na Kraj i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” Inspektoratu Lublin. Od czerwca 1945 r. walczył w zgrupowaniu mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Ujawnił się, korzystając z amnestii z sierpnia 1945 r. Wyjechał na Ziemię Zachodnie, skąd następnie powrócił na Lubelszczyznę. Wiosną 1946 r. odtworzył oddział, który podporządkował mjr. „Zaporze”. Zatrzymany w wyniku prowokacji UB 16 września 1947 r. w Nysie, podczas próby przekroczenia granicy, wraz z mjr. „Zaporą”, por. Tadeuszem Pelakiem „Junakiem”, por. Romanem Grońskim „Żbikiem”, por. Arkadiuszem Wasilewskim „Białym”, ppor. Edmundem Tudrujem „Mundkiem” i ppor. Jerzym Miatkowskim „Zawadą”. Aresztowany pod fałszywym nazwiskiem Stanisław Nowakowski. Przeszedł okrutne śledztwo. 15 listopada 1948 r. skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę śmierci. Stracony w więzieniu mokotowskim 7 marca 1949 r. wraz z mjr. „Zaporą” i pięcioma pozostałymi towarzyszami. Odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy i Krzyżem Walecznych.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Eugeniusz Smoliński (1905–1949), pseudonim „Kazimierz Staniszewski”, chemik. Przed wybuchem II wojny światowej pracował w Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach koło Radomia. Jego zawodowe umiejętności wykorzystał Sztab Komendy Głównej Armii Krajowej, w której służył od 1940 r., najpierw jako referent materiałów wybuchowych w oddziale produkcji konspiracyjnej, następnie kierownik wytwórni materiałów wybuchowych. Na początku 1945 r. władze komunistyczne wezwały go do pracy przy uruchamianiu fabryki zbrojeniowej w Łęgnowie koło Bydgoszczy. Wkrótce został pełnomocnikiem rządu do realizacji tego planu. W lipcu 1947 r. rozpoczął produkcję trotylu, miesiąc później został zatrzymany pod fałszywym zarzutem sabotażu. Skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Bydgoszczy w procesie pokazowym na karę śmierci. Stracony 9 kwietnia 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

– Możemy się zastanawiać, co by się stało, gdyby tacy ludzie mogli po wojnie kontynuować swoją działalność, gdyby to oni odpowiadali za odbudowę Polski, a nie ci, którzy ich zamordowali – podkreśla prezes IPN.

Doktor hab. Andrzej Krzysztof Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, zaznacza, że misją instytucji, którą kieruje, a także misją IPN jest przywracanie pamięci w różnych jej wymiarach:

– Jednym z nich jest nadawanie imion ofiarom, które dotąd pozostawały bezimienne, bo tak chcieli kaci i zbrodniarze. Jeżeli znamy nazwiska ofiar, to w 99 proc. przypadków nie znamy miejsc pochówku. Jeżeli odnajdujemy miejsca pochówku, mamy ogromne trudności z nadaniem imion szczątkom. Takie chwile jak dzisiaj są niesłychanym darem Opatrzności, przynoszącym nieprawdopodobną satysfakcję wewnętrzną, że jednak się udaje.

Doktor hab. Krzysztof Szwagrzyk prezentuje za pomocą rzutnika plan fragmentu Powązek, który był badany w sierpniu. Pokazuje, w których miejscach odnaleziono szczątki zidentyfikowanych osób. Edmund Bukowski został pochowany na głębokości zaledwie 70 cm.



Krzysztof Szwagrzyk objaśnia kolejność poszukiwań na Powązkach
(fot. Piotr Życieński)

– Pamiętam wtedy nasze zdziwienie, dlaczego taka płytka mogła. W krótkim czasie okazało się, że jest pewna konkretna przyczyna. Porucznik Bukowski został bowiem pochowany jako drugi na miejscu pochówku innego więźnia – wyjaśnia prof. Szwagrzyk.

Na wirtualnej tablicy pojawia się fotografia odsłoniętego w ziemi szkieletu z prawym łokciem wygiętym w bok. To właśnie szczątki por. Bukowskiego.

– Proszę zwrócić uwagę na ułożenie szczątków – to człowiek, którego nie złożono do jamy grobowej, tylko wrzucono. W takiej pozycji, w jakiej go wrzucono, te szczątki zastygły. Dzisiaj, dzięki pracy naszych archeologów, możemy stwierdzić, że miał rozrzucone ramiona, pochowany był jednak w obuwiu, a także w jakimś ubraniu. Jeszcze nie wiemy w jakim – daje Krzysztof Szwagrzyk.

Pokazuje też fotografię czaszki porucznika. Jest popękana.

– To normalny przypadek w sytuacji, kiedy zastosowano metodę „kartyńską”. Wówczas czaszka jest zawsze tak bardzo zniszczona, jak ta widoczna na zdjęciu.

Obecny na sali Krzysztof Bukowski, syn zidentyfikowanego porucznika, ma przed oczami taki obraz nie po raz pierwszy. Na „Łączce”, po tym, jak przyjechał tam oddać próbkę materiału genetycznego, był jeszcze wiele razy.

– Nie miałem złudzeń, zobaczyłem mniej więcej to, czego się spodziewałem. Ale widok wołał o pomstę do nieba. Człowiek spojrział w ten dół i pomyślał, co się musiało wyrabiać... Usprawiedliwienia nie ma. Przestrze-



Krzysztof Szwagrzyk i Krzysztof Bukowski podczas poszukiwań na powązkowskiej „Łączce”... (fot. Piotr Życieński)



...i podczas ogłoszenia wyników identyfikacji (fot. Piotr Życieński)

lone czaszki zadawały kłam propagandowym opowieściom o plutonie egzekucyjnym, rzekomym rozstrzelaniu – mówi syn Edmunda Bukowskiego.

Profesor Szwagrzyk próbuje też wyjaśnić porządek, według którego grzebano zwłoki zamordowanych więźniów. Chociaż „porządek” w tym przypadku to słowo mocno na wyrost.

– Rząd, który państwo widzą jako pierwszy, najprawdopodobniej pochodzi z roku 1948. Następny, przy samym murze – 1949. Dalej – 1950, 1951, 1952. Ale to wcale nie oznacza, że tej chronologii przestrzegano za każdym razem. Człowiek, który dokonywał pochówków, funkcjonariusz UB Władysław Turczyński, twierdził, że wielokrotnie zakopywał zwłoki na tzw. mozaikę, czyli w miejscach, gdzie akurat wypadało mu to z powodów różnych – np. takich, że nie mógł dojechać tam samochód. A to oznacza, że ludzie pochowani np. w roku 1950 mogą leżeć w rzędzie tych, których pochowano w roku 1949 czy 1948.

To jest właśnie przypadek Eugeniusza Smolińskiego, który został stracony w 1949 r., a pochowano go w rzędzie z zabitymi w roku 1948. Podobnie

jak Edmund Bukowski – też jako druga osoba pogrzebana w jednej jamie. On również został zastrzelony metodą „katińską”, a jego obrażenia były szczególnie duże. Aby dotrzeć do jego szczątków, wykopy trzeba było dodatkowo zabezpieczyć. Zebrani na sali obserwują na slajdach szalunki: metalowe rury umocowane między płytami wzmacniającymi ścianki wykopów. Pod prętami – białe kombinezony i niebieskie kaski archeologów. W takich warunkach pracowała m.in. Katarzyna Kuźniarska. Oto, jak wspomina te chwile:

– Żeby dostać się do szczątków, trzeba się było po prostu przeczołgać pod rurami. To trochę niewygodne, ale przecież nie ma innego sposobu. Profil glebowy na Powązkach jest specyficzny: pod spodem, tam, gdzie są wykopane jamy, jest piasek. On został zasypyany ciężką, spoistą ziemią – trochę gruzu, trochę gliny. Taki materiał nasiąka deszczem i przygniata. Jest więc duże ryzyko, że taki wykop może się zarwać. Dlatego wykopy są szalowane.

Warto jeszcze odnotować, że przy okazji eksploracji Powązek ekipa kierowana przez prof. Szwagrzyka dokumentowała nie tylko pochówki z czasów stalinowskich, ale też... topografię samego cmentarza.

Katarzyna Kuźniarska:

– Nikt tak naprawdę nie zna historii tego miejsca. W czasie pracy zdarzyło nam się np. odnajdować rury, których nie uwzględniono na żadnym udostępnionym nam planie. Podejmując prace, nie wiedzieliśmy, gdzie się kończą, a gdzie się zaczynają groby osób, których szukamy. Odtwarzamy więc też historię „Łączki”, zarówno w głąb, jak i w planie.

Trzeci spośród zidentyfikowanych to kpt. Stanisław Łukasik „Ryś”, najbliższy współpracownik Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Został odnaleziony w ośmioosobowej jamie grobowej.



Praca w szalowanym wykopie
(fot. Piotr Życieński)

– Ten, kto chował te szczątki, zadał sobie dużo trudu, żeby w jednej niewielkiej jamie grobowej zmieścić ciała ośmiu mężczyzn – mówi Krzysztof Szwagrzyk i wyjaśnia, że udało się to dzięki układaniu zwłok naprzemiennie: głowę każdego kolejnego straconego kładziono w tym miejscu, w którym położono nogi poprzednika.

Profesor ujawnia jeszcze jedną wstrząsającą informację: wszystkich ośmiu mężczyzn z tego dołu komuniści pochowali w mundurach... Wehrmachtu.

– Niech to będzie podsumowaniem wszystkich naszych wcześniejszych ustaleń. To pokazuje, po pierwsze, perfidię systemu, po drugie – skalę trudności w naszych badaniach.

Na kolejne wyniki rodzinom przyszło czekać ponad dwa miesiące – do 20 lutego 2013 r. Wydawać by się mogło, że to długo. Ale jest odwrotnie – to rekord świata. Pojęcie o skali pracy, która była do wykonania w laboratorium po pierwszym etapie ekshumacji, daje kilka liczb, aktualnych w grudniu 2012 r.: 109 szczątków ekshumowanych i materiał pobrany od 190 osób dają nam w sumie ponad 20 tys. możliwości kombinacji. Profili genetycznych udało się ustalić 40, ale zidentyfikować z wystarczającą do oficjalnego ogłoszenia dozą pewności (99,9 proc.) – tylko trzy.

W lutym 2013 r. do listy nazwisk przywróconych bohaterom dochodzą kolejne cztery: **Stanisław Abramowski**, **Bolesław Budelewski**, **Stanisław Kasznica** i **Tadeusz Pelak**.



Stanisław Abramowski (1922–1948), pseudonimy: „Bury”, „Partyzancik”, żołnierz Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” oraz Narodowych Sił Zbrojnych (Narodowego Zjednoczenia Wojskowego), żołnierz oddziałów partyzanckich „Mściciela” (WiN) oraz „Orła” (NSZ-NZW). W okresie okupacji niemieckiej był żołnierzem Obwodu AK Mińsk Mazowiecki. Po zakończeniu II wojny światowej został wcielony do 15. pp. ludowego

Wojska Polskiego, skąd zdezerterował w 1945 r. W połowie 1946 r. wstąpił do Zrzeszenia WiN. Walczył w oddziale Janusza Kotowskiego „Mściciela”, działającym w powiatach: Siedlce, Węgrów i Mińsk Mazowiecki. Uczestniczył w wielu akcjach bojowych przeciwko komunistycznemu aparatowi represji. 31 marca 1947 r. ujawnił się przed komisją amnestijną. Od czerwca 1947 r. wznowił działalność konspiracyjną. 26 kwietnia 1948 r. został ujęty przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpie-

czeństwa. Na mocy wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie, orzekającego na sesji wyjazdowej w Kałuszynie 21 lipca 1948 r., został skazany na karę śmierci. Stracony 30 lipca 1948 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Bolesław Budelewski (1910–1948), pseudonim „Pług”, żołnierz Armii Krajowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. W okresie okupacji niemieckiej żołnierz Obwodu AK Ostrołęka. Od stycznia 1946 r. w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym, dowódca kompanii terenowej NZW w gminie Troszyn, podlegającej Komendzie Powiatu „Orawa” (Ostrołęka). 24 lipca 1947 r. został ujęty przez funkcjonariuszy UB pod zarzutem działalności w strukturach NZW. 5 maja 1948 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Został stracony 15 lipca 1948 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Stanisław Kasznica (1908–1948), pseudonimy „Maszkowski”, „Przepona”, „Wąsal”, „Wąsowski”, „Stanisław”, „Stanisław Piotrowski”; porucznik Wojska Polskiego, podpułkownik i komendant Narodowych Sił Zbrojnych. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim. Działał w studenckiej organizacji „Bratnia Pomoc”. Od 1934 r. działacz Obozu Narodowo-Radykalnego, członek Organizacji Polskiej – tajnej struktury kierowniczej ONR. Uczestniczył w wojnie obronnej 1939 r. Konspiracyjną działalność niepodległościową rozpoczął w szeregach Grupy „Szańca”, wywodzącej się z przedwojennego ONR „ABC”. Członek powołanego na przełomie lat 1939 i 1940 Komisariatu Cywilnego, kadrowej organizacji obozu narodowego, której celem było przygotowanie administracji na wyzwolonych spod okupacji terenach Polski. Po utworzeniu Narodowych Sił Zbrojnych pełnił funkcję szefa Administracji Ogólnej w strukturach Służby Cywilnej Narodu. Od jesieni 1943 r. członek Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej. Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim.

Od września 1944 r. do stycznia 1945 r. komendant Okręgu NSZ Częstochowa, następnie od stycznia do sierpnia 1945 r. komendant Inspektoratu „Zachód” NSZ-OP. Od czerwca 1945 r. szef wywiadu OP, a od sierpnia 1945 r. p.o. komendant główny NSZ-OP. Na przełomie 1945 i 1946 r. wraz z grupą kadry NSZ-OP wszedł do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. 15 lutego 1947 r. aresztowany w Zakopanem przez funkcjonariuszy Departamentu III MBP. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 2 marca 1948 r. skazał go na karę śmierci. Stracony 12 maja 1948 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Kawaler Orderu Virtuti Militari V klasy i Krzyża Walecznych (dwukrotnie).

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Tadeusz Pelak (1922–1949), pseudonim „Junak”, porucznik Armii Krajowej, a następnie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. W konspiracji od 1941 r. W okresie okupacji niemieckiej służył w oddziale dyspozycyjnym Kedywu pod dowództwem cichociemnych: ppor. Jana Poznańskiego „Ewy”, ppor. Stanisława Jagielskiego „Sipaka”, ppor. Czesława Piaseckiego „Agawy” i mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. W lipcu 1944 r., zgodnie

z rozkazem mjr. „Zapory”, zaniechał konspiracyjnej działalności po wkroczeniu wojsk sowieckich na teren Lubelszczyzny. Prowadził restaurację w Halinówce, w której znajdował się punkt kontaktowy wszystkich pododdziałów zgrupowania. Niespełna rok później, w maju 1945 r., wraz z grupą Tadeusza Orłowskiego „Szatana” wziął udział w akcji na posterunek milicji w Natęczowie. Wkrótce dołączył do odtworzonego zgrupowania mjr. „Zapory”. Jesienią 1945 r. i w lutym 1947 r. skorzystał z amnestii ogłoszonych przez władzę komunistyczną. Latem 1947 r. mjr „Zapora” kwaterował w domu jego rodziców. W tym czasie Pelak został wyznaczony do pierwszej grupy żołnierzy „Zapory”, którzy mieli opuścić Polskę. Wszyscy zostali zatrzymani 16 września 1947 r. przez funkcjonariuszy UB w Nysie. Przez ponad rok przechodził brutalne śledztwo połączone z torturami. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 15 listopada 1948 r. skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 7 marca 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Zginął razem z mjr. Hieronimem Dekutowskim „Zaporą”, kpt. Stanisławem Łukasikiem „Rysiem”, por. Romanem Grońskim „Zbikiem”, por. Arkadiuszem Wasilewskim „Białym”, ppor. Edmundem Tudrujem „Mundkiem” i ppor. Jerzym Miatkowskim „Zawadką”.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Krzysztof Szwagrzyk prezentuje zdjęcie więzienne Tadeusza Pelaka. On także przed pogrzebaniem został przebrany w mundur Wehrmachtu. Profesor wyjaśnia:

– Ze wspomnień mego Władysława Siła-Nowickiego wiemy, że tych ludzi na czas procesu przebrano w mundury Wehrmachtu. Potem – wiemy, że na Mokotowie, po wydaniu wyroku śmierci, dano im więzienne drelichy. Ale dzisiaj szczątki ofiar znajdujemy znowu w mundurach Wehrmachtu, więc pytanie, kiedy ponownie założono im te mundury. Myślimy, że stało się to krótko przed egzekucją. Z prostego powodu: drelich był materiałem, który można było powtórnie wykorzystać; mundur Wehrmachtu – nie.

Na uroczystość ogłoszenia wyników identyfikacji z powodu stanu zdrowia nie zdołała dotrzeć Eleonora Kasznica – przyrodnia siostra ostatniego dowódcy Narodowych Sił Zbrojnych. Kiedy rozmawiamy w jej mieszkaniu w Domu Kombatanta na warszawskich Jelonkach, nie kryje radości:



Szczęśliwe rodzeństwo Kaszniców w 1930 r.: Andrzej, Stanisław, Wojciech, Jan i Eleonora (fot. ze zbiorów rodzinnych)

– Gdy udało się zidentyfikować brata, odczułam ulgę, że wreszcie został wydobyty z błota. Czuję też ogromną wdzięczność wobec prof. Szwagrzyka i jego współpracowników – wspaniałych ludzi, którzy z całą determi-



Stanisław Kasznica na korcie tenisowym w Poznaniu, druga połowa lat trzydziestych XX w. (fot. ze zbiorów rodzinnych)

nacją poszukują naszych bliższych. Przez wszystkie te lata zresztą wierzyłam, że kiedyś to się uda. Były strzępki informacji o tym, że brat może być pochowany gdzieś koło Powązek.

Stach – bo tak pani Eleonora nazywa brata – był starszy od niej o dwadzieścia lat. Mieli wspólnego ojca – Stanisław Kasznica senior ożenił się po śmierci pierwszej żony z jej młodszą siostrą.

– Byliśmy z bratem bardzo zżyci ze sobą, świetnie go pamiętam. Miałam z nim kontakt bliższy niż z ojcem. Bo tata był bardzo surowym, wybuchowym, rygorystycznym panem. Pewne sprawy

– rodzinne czy polityczne – łatwiej było mi omawiać z bratem niż z ojcem. Do dziś mi Stacha brakuje – opowiada pani Eleonora.

Wciąż ma w pamięci pierwsze widzenie w więzieniu:

– Zobaczyliśmy na jego twarzy ślady strasznych tortur. Opowiedział nam jeszcze o tych, których śladów nie było widać... Strasznie go torturowali. Wyrywali kępki włosów, paznokcie... Ale Staś się nie ugiął. Wiedzieliśmy, kto go zdradził. Powiedziałam mu: „Dorwę tego drania!”. A on mi odpowiedział: „Słuchaj, siostró – bo kiedy mówił uroczyście, chciał przekazać ważne rzeczy, właśnie tak się do mnie zwracał, zamiast zwykłego: »Eluniu, Elutko« – temu, kto nie przeżył tortur, nie wolno oceniać drugiego. Jedni potrafią wytrzymać i nie dają się złamać, inni nie mają tej siły. A więc nie oceniaj”. Nie wiem, czy wybaczył temu, kto go zdradził, ale rozumiał. Mimo to ja swoje wiedziałam. Strasznie się zachował ten człowiek. Nie wiem, jak potoczyły się jego dalsze losy, nie interesowałam się, ale w każdym razie był wolny. Wkupił się w wolność.



Stanisław Kasznica z młodszą siostrą Eleonorą,
z lewej ich brat Wojciech
(fot. ze zbiorów rodzinnych)

WALKA Z CODZIENNOŚCIĄ, CZYLI ŻYCIE RODZIN STRACONYCH BOHATERÓW

Nie sposób porównywać dramatów poszczególnych rodzin. Tym bardziej nie przystoi się licytować, kto bardziej odczuł brak utraconej bliskiej osoby. Jednak szczególnie współczucie budzą pozostawione bez jednego z rodziców małe dzieci. Krzysztof Bukowski na jakiś czas został zresztą pozabawiony obojga. Jego mama, Irena, również bowiem była aktywna w konspiracji. Państwa Bukowskich aresztowano w tym samym czasie – w czerwcu 1948 r. Krzysztof miał wtedy dziesięć miesięcy. Zaopiekowali się nim rodzice Ireny, dziadkowie Chełmicy. Wychowywał się razem z siostrą cioteczną, ponieważ aresztowano również dwie siostry mamy – Hanę Różę Pieślak i Kalinę Chełmicką. Miały przesiedzieć po 15 lat. W sumie w rodzinie w związku ze sprawą Edmunda Bukowskiego aresztowano szesnaście osób, w tym dwóch braci Edmunda.

Irena i Kalina ponad rok spędziły w tzw. więzieniu izolacyjnym w Inowrocławiu. Zdążyły opowiedzieć o tym Małgorzacie Szejnert, która w książce *Śród żywych duchów* pisze:

„Regulamin więzienny w Inowrocławiu eliminował niemal całkowicie widzenia, paczki, wypiski, korespondencję, prawo do posiadania osobistych rzeczy. Irena i Kalina



Edmund Bukowski z synem
(fot. ze zbiorów rodziny Bukowskich)

przez trzynaście miesięcy przebywały w pojedynczych celach, ze ścianami pomalowanymi częściowo na czarno i z oknami zaślepiionymi farbą olejną. Wśród przedmiotów, jakie im dano, brakowało kubka; piły z misek.

Aby nie oszaleć, trzeba było wykonywać nieustanne ćwiczenia pamięci i woli. Były wśród nich następujące: przygotowywanie szczegółowego planu czynności fizycznych i duchowych na każdy dzień, wspomnianie wydarzeń i okoliczności (np. odtwarzanie planu wszystkich mieszkań, w jakich się bywało, i grządek we wszystkich znajomych ogrodach), układanie rozmaitych kombinacji cyfrowych, odtwarzanie treści przeczytanych książek, układanie wierszy i innych tekstów (np. kazań skierowanych ku sobie lub innym), modlitwa, zadawanie sobie rozmaitych postów duchowych (np. powstrzymywanie się od myśli przynoszących ulgę lub dobrych wspomnień, po to, aby mieć do czego powrócić za jakiś czas).



Irena Bukowska i jej siostra Kalina Chetmicka po wyjściu z więzienia, 1957 r. (fot. ze zbiorów rodziny Bukowskich)

Irena twierdzi, że byłaby dużo bardziej zagrożona szaleństwem, gdyby nie musiała wrócić do dziecka?

Przebywając w innych więzieniach, Irena Bukowska parę razy widziała się z kilkuletnim synem.

– W sumie widziałem ją przez ten czas może czterdzieści minut, na raty – opowiada Krzysztof Bukowski. – Jeździłem z dziadkami kilka razy – do Inowrocławia, Fordonu czy Grudziądza. Nie zawsze dochodziło do widzeń. Jeśli były, to ktoś mnie podsadzał, żeby moja głowa wystawała ponad murkę, nad który nie sięgałem. Do samego sufitu była gęsta krata.

Wiedział zatem, co się dzieje z mamą, rozumiał, że na ojca nie ma po co czekać. Dziadkowie zresztą dostali pismo z Urzędu Stanu Cywilnego, z którego wynikało, że tata umarł.

– Data była zgodna z prawdą, ale o przyczynie i miejscu – ani słowa. Ten świstek był zatytułowany „akt zejścia”. Podobno wtajemniczeni wiedzieli, że „akt zgonu” dotyczy śmierci naturalnej, a „akt zejścia” oznacza stracenie w więzieniu – wyjaśnia pan Krzysztof.

Nadszedł poranek 17 grudnia 1956 r. Śpiącego Krzysia – prawie już dziesięcioletniego – budzi mama. Krzysztof od razu się orientuje, że to ona. Wysłała po przeszło ośmiu latach, na mocy amnestii. Mniej więcej w tym samym czasie na wolność wyszły pozostałe siostry – Hanna Róża i Kalina (miały jeszcze najstarszą, Bożenę, która zginęła w Powstaniu Warszawskim). Hanna Róża po kilku latach zmarła.

Dzięki dziadkom chłopiec był gotowy na powrót mamy.

– Jestem im bardzo wdzięczny, że o całej sprawie mówili nam w taki sposób, że wiedzieliśmy, o co chodzi, ale potrafili nam to tak przekazać, że nie czuliśmy się gorsi, nie mieliśmy kompleksów. Ponieważ ta sytuacja trwała dla nas w zasadzie od początku, przyjmowaliśmy ją naturalnie – podkreśla Bukowski.

Powiedzieć, że państwu Chełmickim, dziadkom Krzysztofa Bukowskiego, było bardzo ciężko – to jakby nic nie powiedzieć. Jedyne źródło utrzymania stanowiła emerytura dziadka, z zawodu inżyniera agronoma. Wyrzucono go z pracy po aresztowaniu córek, zmarł w 1953 r.



Irena Bukowska z synem Krzysztofem
(fot. ze zbiorów rodziny Bukowskich)

Do mieszkania na warszawskiej Sadybie dokwaterowano dwie rodziny z awansu społecznego.

Znalezienie pracy zarobkowej było w tej sytuacji priorytetem Ireny Bukowskiej. Jeszcze przed aresztowaniem, pod zmienionym nazwiskiem, rozpoczęła studia w Akademii Medycznej. Na powrót do nauki nie było warunków. Po wyjściu na wolność matka Krzysztofa nie miała nawet dowodu osobistego, musiała się posługiwać zaświadczeniem wydanym w więzieniu. Łatwo sobie wyobrazić, jak odbierali to potencjalni pracodawcy. Ostatecznie jednak ukończyła technikum dentystyczne. Później została protetykiem. Znalazła pracę w kolejowej służbie zdrowia, dzięki czemu mogła wraz z synem podróżować pociągami z osiemdziesięcioprocentową zniżką.

Dopiero taka względna stabilizacja pozwoliła Irenie Bukowskiej na podjęcie prób ustalenia, co się stało z ciałem męża. Słyszała o cmentarzu na Służewie. Tym tropem – jak się dopiero później okazało: błędnym – podążała wspólnie z Małgorzatą Szejnert. Nie zdążyła zobaczyć dokumentu z wykonania wyroku, a tym bardziej doczekać odnalezienia i identyfikacji szczątków. Zmarła w 1997 r.

W bardzo podobnej sytuacji znajdowała się Elmira Olechnowicz. Została aresztowana wraz z mężem w 1948 r. Wyszła po pięciu latach. Przez ten czas synami, Krzysztofem i Józefem, opiekowała się jej siostra, która sama była mamą dwójki dzieci. Wszyscy – wujostwo, czworo dzieci i babcia – gnieździli się w dwóch izbach.

– Kiedy mama wróciła z więzienia, ciocia przyprowadziła mojego brata do mamy, a on jej się wyrwał. Nie pamiętał jej. Ja – owszem, bo byłem starszy. Bardzo ją kochałem – wspomina Krzysztof Olechnowicz.

Niewiele jest dzieci, które by nie uważały, że akurat ich matka była lub jest wyjątkowa i wspaniała. Krzysztof Olechnowicz argumentuje takie twierdzenie w odniesieniu do własnej rodzicielki w ten sposób:

– Nawet ubowców starała się zrozumieć. Kiedy mówiłem jej o mojej chęci zemsty na nich, ona odpowiadała: „A co ci to da?”. Tłumaczyła, że być może oni zostali wciągnięci w ten system, a potem trudno im się było wycofać ze zbrodniczej służby, bo nie mieliby jak utrzymać rodziny – relacjonuje Olechnowicz. Wspomina też, że matka odejmowała sobie od ust, żeby chłopcy byli jak najlepiej odżywieni. – W ciągu roku sama straciła przez to wszystkie zęby – mówi Krzysztof Olechnowicz.

Chociaż ojca pan Krzysztof pamięta bardzo słabo, a pan Józef – wcale, wiedzieli, że walczył on w słusznej sprawie.

– W szkole byłem bardzo ostrożny, nie mówiłem nic o ojcu. Raz coś wspomniałem o rok starszemu koledze. „Wiesz, że ty nie możesz o tym mówić?” – odpowiedział. Raz też zdarzyło się, że w szkole średniej ktoś wyraził się o mnie: „syn bandyty”. Dostał w zęby i już. Nigdy jednak nauczyciele nie robili mi żadnych przykrości z powodu ojca – zaznacza starszy z braci.

Józef Olechnowicz, młodszy:

– Pamiętam, że kiedy miałem czternaście, piętnaście lat, zadzwonił do mnie kolega, sąsiad, i powiedział, że w Wolnej Europie będzie audycja o moim ojcu. Chyba z okazji Zaduszek. Choć nie obnosiłem się z wiedzą o losach ojca, to jednak niektórzy znajomi coś wiedzieli.

Pan Józef także twierdzi, że przeszłość ojca w żaden sposób nie pokrzyżowała mu życiowych planów:

– Nie dostałem się na medycynę, ale nie sądzę, żeby za nazwisko. Myślę, że po prostu byłem... zdolny, ale leniwy. Skończyłem Akademię Wychowania Fizycznego – mówi.

W 1981 r. Józef Olechnowicz bez problemu dostał paszport i wyjechał do USA. Wrócił kilka lat temu.

„Nie przyznawaj się, że cokolwiek wiesz o ojcu” – takie ostrzeżenie słyszały od matek chyba wszystkie dzieci Żołnierzy Wyklętych.

– W szkole nikt nas o ojca nie pytał, nie spotkały nas nieprzyjemności. Jeśli dzieciaki zagadywały: „Gdzie twój tata? Co z twoim tatą?”, to mówiliśmy, że zginął na wojnie – i tyle, urywały się wszystkie dyskusje. To zresztą poniekąd prawda, przecież wojna trwała jeszcze długie lata – mówi Ignacy Gajdek, syn Adama Gajdka.

Jego mama, która razem z ojcem działała w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość” (nosiła pseudonim „Powicheł”), ukrywała się jeszcze przez jakiś czas po wojnie.

– Kiedy się ukrywała po piwnicach, nabawiła się zapalenia stawów. Tata ją z wanny wyciągał, bo nie była w stanie wyjść sama. Zapalenie rzuciło się też na serce. Straciła zdrowie. Pod koniec lat sześćdziesiątych musiała iść już na rentę, przyznano jej pierwszą grupę inwalidzką. U schyłku życia, kiedy już tylko leżała, pod jej łóżkiem składowaliśmy ulotki „Solidarności”. Zmarła w 1983 r. – wspomina pan Ignacy.

Po tym, jak pani Gajdkowa przestała się ukrywać, długo szukała pracy, bez skutku. Wraz z trzema synami mieszkała przez jakiś czas kątem u siostry w Krakowie. Ostatecznie znalazła zatrudnienie w hucie, w administracji.

– Nie wiem dokładnie, jak jej się to udało. Przypuszczam, że może jedna czy druga znajoma usłyszała, że trzeba pomóc koleżance, a do huty ściągano ludzi z całej Polski, trzeba było rąk do pracy – przypuszcza Gajdek.

Przyznaje, że kierownictwo zakładu starało się mamę wspierać.

– Wiedzieli, że ma trudną sytuację, że wychowuje nas sama. Dostała mieszkanie z przydziału. Zawsze z braćmi wyjeżdżaliśmy na kolonie na dwa miesiące – wylicza pan Ignacy.

Z uśmiechem opowiada też historię, która jednak dobitnie świadczy o tym, jak bardzo było im ciężko:

– Kiedy mama szła na obowiązkowy pochód pierwszomajowy, zawsze czekała do końca. Chodziła potem po bramach i zbierała materiał, żeby mieć z czego uszyć nam koszule. Krakowska flaga jest niebieska – i z niebieskiego materiału mama nam szyła koszule; z białego – majtki.

Nie wszystkie wdowy po zamordowanych bohaterach tak szybko potrafiły dojść do siebie. Pani Czeredysowa się załamała i długo była pogrążona w apatii. Szczęście w nieszczęściu – jej szesnastoletnia córka, Regina, okazała się nad wyraz silna psychicznie.

– Mam taki charakter – zapewne po ojcu – że w trudnych sytuacjach nie załamuję się, tylko sobie radzę, szukam rozwiązań. Musiałam przejść ster, zanim mama się pozbierała – wspomina Regina Litke.

Niewłócznie zapisała się na kurs maszynopisania i stenografii. Dość łatwo można było zdobyć taki fach, a wprawnie skaczących po klawiaturze rąk do pracy w powojennych warunkach potrzebowała właściwie każda instytucja. Pani Regina zaglądała do kilku miejsc.

– Ale kiedy natykałam się na dużą liczbę czerwonych krawatów, wiedziałam, że trzeba szybko uciekać, bo wyjdzie na jaw moja przeszłość – opowiada.

Dopiero w przedsiębiorstwie Film Polski poczuła się bezpiecznie.

– Tylko podczas rekrutacji musiałam sobie dodać dwa lata, bo niepełnoletniej by nie przyjęli – wspomina swoje drobne i przecież uzasadnione wyższą koniecznością oszustwo. – Powiedziałam, że mam osiemnaście lat. Zdałam egzamin i od razu zdecydowano się, żeby mnie przyjąć. No i w papierach nie mogłam już wpisać fałszywego wieku – podałam, że mam szesnaście lat. Kadrowy złapał się za głowę: „Co ja mam z panią zrobić? Zespół już nie wyobraża sobie pracy bez pani, ale nie mogę zatrudnić małaoty!” Udało się jednak znaleźć jakieś rozwiązanie, prawdopodobnie



Szesnastoletnia Regina Czeredys dodawała sobie powagi, by wyglądać na dorosłą i dzięki temu znaleźć pracę (fot. ze zbiorów Reginy Litke)

na rezygnację z zajęć zarobkowych. Wybrała więc kierunek, który umożliwił godzenie studiów z zarabianiem: geografię na uniwersytecie. Po studiach dostała nakaz pracy w Wojskowych Zakładach Kartograficznych.

– Tam parokrotnie kapitan wzywał mnie na rozmowę i namawiał do przywdziania munduru. Odmówiłam, bo cały czas kontynuowałam swoją konspirację – wspomina.

Owa „konspiracja” trwała od czasów szkolnych i polegała na konsekwentnym milczeniu na temat ojca. Kiedy ktoś z kolegów lub nauczycieli pytał, dokąd Regina jedzie na grób ojca 1 listopada, odpowiadała, że nie ma grobu ojca. Po wojnie nie było to nic niezwykłego. Każdy sobie dopowiedział, że ojciec zginął na wojnie. O sprawie wiedzieli tylko najbliższa przyjaciółka i narzeczony, późniejszy mąż. We wszystkich ankietach pisała krótko, zresztą zgodnie z prawdą: ojciec nie żyje. Jeśli pytania były bardziej szczegółowe, np. czy był aresztowany – kłamała.

– Bałam się, żeby ktoś opacznie nie zrozumiał tej historii, bo świat atakował. Wielu ludzi nie rozumiało sytuacji politycznej, myśleli, że skoro sąd wydał wyrok, to on musi być sprawiedliwy. Milczenie okazało się słuszną strategią, chociaż było naprawdę trudne. Bo ja uwielbiałam swojego ojca, byłam z niego dumna – wspomina z bólem.

zatrudniono mnie jako młodocianą, w mniejszym wymiarze czasowym – opowiada.

– Nie doszukano się Pani tragicznej historii rodzinnej?

– Nigdy mnie nie prześwietlano. Może miałam szczęście do ludzi? Może nawet jeśli ktoś się zorientował, okazywał się na tyle przyzwoity, że udawał, że nie zauważył? Pewnie pomogło mi też to, że nigdy nie zajmowałam wysokich stanowisk.

Marzyła o studiach geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej, ale tam nie można było łączyć nauki z pracą, a ona absolutnie nie mogła sobie pozwolić

O tym, jak głęboko utrwaliły się u pani Reginy nawyki „konspiracyjne”, najdobitniej świadczy sytuacja, do której przypadkiem dochodzi w czasie naszej rozmowy. Dzwoni telefon. Moja rozmówczyni odbiera:

– Przepraszam cię, zadzwoń za godzinę, bo akurat przyszła sąsiadka – mówi pani Regina do słuchawki i kończy połączenie.

Po chwili się reflektuje:

– Widzi pani? – zwraca się do mnie. – Nawet teraz nie chciałam powiedzieć, że rozmawiam z panią z IPN. Tak mi zostało, że powiem mniej, niż wiem...

Witold Mieszkowski, podobnie jak Regina Litke, z wdzięcznością pamięta o ludziach, którzy pomogli mu przetrwać trudne chwile po stracie ojca. W pierwszej kolejności wymienia wicedyrektorę swojego liceum w Gdyni, Marię Wujtewiczową:

– Gdyby nie pani profesor, nie zdałbym matury. Okazała się sprytniejsza od ubeków. Przystępowałem do matury w wieku szesnastu lat. Gdybym był o rok starszy, wystarczyłaby zgoda z kuratorium w Gdańsku. Ale szesnastolatek musiał mieć zgodę ministerstwa. Pani Maria pojechała do Warszawy za własne pieniądze. Nie powiedziała o tym nawet mojej matce. Dokument potwierdzający uzyskaną zgodę trzymała w torebce. W dniu pisemnej matury wszedł do sali ktoś z kuratorium i pokazał na mnie palcem. Domyśliłem się, że chodzi o mnie, ale o co dokładnie – mogłem jedynie domniemywać. Zauważyłem tylko, że wicedyrektorka wyjmuje papier z torebki i ten ktoś wychodzi. Gdyby nie miała papieru przywiezionego z Warszawy, nie zdałbym matury. Potem nie przyjęto mnie na Politechnikę Gdańską, na wymarzony Wydział Architektury. Pozbawiono nas środków do życia. Dwa razy wysiedlano nas z mieszkania. Ale przecież inne rodziny dotknięte w tym czasie komunistycznymi represjami nie miały wcale łżej. Jakoś sobie dawaliśmy radę dzięki przyjaciółom. Bo mieliśmy tylu przyjaciół, ilu zastraszonych, oziębłych, rzadziej wrogich znajomych – zaznacza. – Strach, kłamstwo i zbrodnia to trzy główne atrybuty komunistycznej władzy.

Marta Mieszkowska, żona pana Witolda, dodaje:

– Wielu z tych znajomych oczywiście bało się pomagać, żeby samemu nie być represjonowanym. Ale przecież na tym polega odwaga cywilna i właśnie przyjaźń, że się takich rzeczy nie bierze pod uwagę. Męża przesiedlono do mieszkania, w którym nie było łazienki. Chodził więc do kolegi ze szkoły, żeby się wykapać. Ojciec tego kolegi, kapitan żegluga wielkiej, pływający na dalekich liniach w marynarce handlowej, właśnie za

to, że przyjmował w swoim domu „pomiot szpiega i zbrodniarza”, został odsunięty od pływania. Dopiero w takich sytuacjach poznaje się prawdziwą wartość człowieka. To buduje wiarę w ludzi i w przyjaźń. Takich ludzi zresztą jak państwo Wanda i Bohdan Jędrzejewscy – ci, którzy m.in. pozwalali się wykapać – było wówczas na szczęście więcej. Niestety, bywali też i tacy, którzy przechodzili na drugą stronę ul. Świętojańskiej [główniej ulicy Gdyni – K.W.], aby się przypadkiem nie ukłonić matce męża, a po wydaniu wyroku śmierci na dowódcę floty odwracali głowę, udając, że nie widzą „tej komandorowej”, i nawet nie fatygowali się przechodzeniem na drugą stronę ulicy.

POWRÓT NA „ŁĄCZKĘ”, CZYLI POSZUKIWANIA POD ASFALTEM

Przypomnijmy: od czasu przeprowadzki z Gdyni do Warszawy, od kiedy do rodziny Mieszkowskich doszły słuchy, że ojciec i mąż może być pochowany na obrzeżach Powązek, pan Witold wraz z mamą chodził w miejsce domniemanego pochówku komandora, by zapalić znicz. Później przypro-wadzał w to miejsce żonę i córkę. Próbowali zgadnąć, w którym dokładnie miejscu leży Stanisław Mieszkowski. Początek ostatecznej odpowiedzi na to pytanie pojawił się 13 maja 2013 r. Wtedy bowiem rozpoczął się drugi etap prac ekshumacyjnych na „Łączce”.

Większość ekipy, która pracowała tu rok wcześniej, z zapalem powraca do badań. Dochodzą też nowe osoby. Wśród nich jest Adam Falis, archeolog z Warszawy. Zgłosił się, bo potrzebna była osoba z dużym doświadczeniem w pomiarach i dokumentowaniu pracy terenowej.

– Mam bardzo duże doświadczenie, ale czy podołam akurat tego typu zadaniom? Nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w ekshumacjach – waha się na początku.

Praca szybko go wciąga. Czuje się jak jeden z trybików, które muszą dobrze zadziałać, żeby pracować mogły też pozostałe.

– Priorytetem jest odnalezienie zarysów jam grobowych. W przypadku tego typu prac czasami istotna jest również stratygrafia poza dołami śmierci (układ warstw poza jamami grobowymi). Możemy z niej odczytać np. to, czy badany teren był niwelowany albo czy ingerowano w grunt np. przez wykonywanie innych wykopów. Gdyby to były klasyczne badania archeologiczne, równoważne byłoby badanie wszystkich struktur stratygraficznych i podobny teren badalibyśmy zapewne ze trzy razy dłużej – wyjaśnia archeolog.

W 2013 r. na „Łączce” po raz pierwszy pojawiają się wolontariusze niezwiązani zawodowo z archeologią. Rok wcześniej przychodzili obserwować prace zespołu. Jedną z tych osób, Monika Mużacz-Kowal, z wykształ-

cenia prawniczka, przy okazji pokazu filmu Arkadiusza Gołębiewskiego *Kwaterna Ł* podeszła do prof. Szwagrzyka i zapytała o możliwość włączenia się do pomocy podczas kolejnego etapu prac.

– Temat Żołnierzy Niezłomnych, historii najnowszej w ogóle, zawsze był mi bliski. „Łączka” to miejsce, które kumuluje tę historię. Tu pogrzebano elitę, najważniejsze osoby w Polskim Państwie Podziemnym – wyjaśnia powody swojego zaangażowania. – Mieszkam w Warszawie prawie dziesięć lat. W tym czasie wielokrotnie odwiedzałam „Łączkę” jako prawdopodobne miejsce spoczynku bohaterów.

Monika przyprowadza też sześciu swoich kolegów, m.in. Marka Nadolskiego. Nie wahał się ani chwili, kiedy usłyszał propozycję.

– Marzyłem o tym. Od dawna interesuję się historią II wojny światowej i Polskiego Państwa Podziemnego. Rodzice zawsze zabierali nas 1 sierpnia na Powązki; na 3 Maja i 11 Listopada – w święta wówczas zakazane – też zabierali nas w miejsca związane z historią i starali się nam coś wbić do głowy – wspomina.

Monika, Marek i reszta ich znajomych biorą po dwa dni wolnego w pracy. Zakładają, że tyle właśnie czasu będą pomagać ekipie poszukiwawczej. Kiedy przychodzą na „Łączkę” o 7.00 (zespół pracuje już tydzień, dla nich to pierwszy dzień), leje jak z cebra. O ile rok wcześniej, w lipcu, pogoda rozpieszczała ekipę (upał bywał oczywiście uciążliwy, ale nie padało), o tyle tym razem jest zimno i mokro. Wolontariusze zabierają się więc do odgarniania wody, żeby tzw. baza – namioty, stoliki i krzesła – nie zatonąła. Ratują pudła z odkopanymi już szczątkami, żeby nie zamokły – przecież z mokrych kości nie sposób wypreparować DNA.

Pierwszy dzień pracy wolontariuszy upływa głównie na działaniach ratunkowych. W kolejnych (bo ostatecznie okaże się, że na „Łączce” pozostaną do końca etapu, czyli dwa tygodnie) – pomagają już kopać doły i czyścić kości. Zaczynają od kości długich – czyli ramion, przedramion, podudzi. Z czasem, kiedy specjaliści uznają, że nabrali wprawy, dostaną do czyszczenia kości czaszki. Tak jak archeolodzy – używają przy tym maseczek i rękawic gumowych. Chronią w ten sposób siebie przed możliwym zakażeniem oraz przyszły materiał badawczy, żeby DNA z ekshumowanych kości nie wymieszalo się z DNA ich naskórka.

– Lepiej kupić sześćset par gumowych rękawiczek, niż później wydać wielokrotnie więcej na dodatkowe preparowanie DNA – podkreśla dr Andrzej Ossowski.

Wolontariusze, tak jak archeolodzy, koncentrują się przede wszystkim na starannym wykonaniu przydzielonego im zadania. Nie ukrywają jednak towarzyszących im emocji.

Monika Mużacz-Kowal:

– Nigdy wcześniej nie przypuszczałabym, że będę dotykać ludzkich kości. Sama byłam zdziwiona, że do tych szczątków podchodziłam z miłością. Może to górnolotnie brzmi, ale cały czas miałam w głowie myśl, że to jest pierwsze przytulenie tych ludzi po śmierci. Kiedy umiera ktoś z naszych bliskich, możemy uściskać jego rękę, pocałować w czoło, pożegnać się. Tym ludziom to odebrano. Dopiero nasza praca, oczyszczanie tych kości z ziemi, było pierwszym dotknięciem miłości.

Marek Nadolski:

– Kiedy dzwoniłem do znajomych, którzy wcześniej deklarowali, że chętnie pomogą, okazywało się, że jednak nie dadzą rady psychicznie. Potem wiele osób pytało mnie: „Jak sobie radziłeś? Mnie by ręce drżały, gdybym brał te kości do ręki”. Nie będę udawał twardziela: mnie też ręce drżały, parę razy łezka się zakręciła w oku, pięści się też zaciskały.

Specjaliści starają się podzielić swoją wiedzę z pomagającymi im ludźmi. Profesor Szwagrzyk niejednokrotnie osoby czyszczące kości woła do wykopu, żeby objaśnić specyfikę odnalezionego szkieletu. Medycy sądowi tłumaczą, na czym polega i jak się odbywa typowanie. Monika w kolejnych czaszkach wypatruje diastemy, czyli szparki między zębami. To charakterystyczny znak mjr. „Łupaszki”.

Adam Falis:

– Archeologia nauczyła mnie, żeby czytać historię z tego, co znajduje podczas wykopaliisk. Jeśli widzę szkielet z przestreloną czaszką, to jest to



Monika Mużacz-Kowal: – Czyszczenie kości było dla straconych pierwszym życzliwym dotknięciem po śmierci (fot. Piotr Życieński)

fakt. Nic tego nie zmieni. Wtedy wizualizuję, staram się odtworzyć to, co mogło się stać od momentu śmierci tego człowieka do momentu, w którym się tutaj znalazł. Takie myślenie uruchamia mi się automatycznie. Szczególne wrażenie robią na mnie jamy, w których widać, że ludzie byli na siłę upychani. Oznacza to, że jamy były zbyt małe. Prawdopodobnie wykopywano je w zimie, kiedy ziemia mogła być zmarznięta i grabarze nie chcieli się przemęczać. Szokuje mnie to, że te zwłoki zostały potraktowane jak skutek uboczny straszliwego mordu – zbędny materiał, odpad, którego trzeba się pozbyć, ukryć go, zapomnieć o nim.

Marek Nadolski:

– Ludzie, którzy twierdzą, że komunizm to wspaniały ustrój, powinni trochę popracować na „Łączce”. Na własne oczy przekonaliby się, jakim komunizm był „dobrodziejstwem”.

Adam Falis rozwija tę myśl:

– Kiedy przystępowałem do pracy na „Łączce”, oczywiście miałem świadomość tego, czym był terror komunistyczny. Ale kiedy zobaczyłem na własne oczy, to jeszcze bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, jak bardzo wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, czym ten system był, jak postępowano z ludźmi. Kto nie otarł się o te zbrodnie, nie będzie miał o nich wyobrażenia. Dzięki tej pracy mogę cofnąć się w czasie i dotknąć okrutnej prawdy. Jeszcze większe wrażenie robi to, że tych zbrodni nie dopuścili się okupanci (choć w jakimś sensie są to zbrodnie dokonane przez system sowiecki), tylko zostały one dokonane rękami Polaków. W historii trudno się mówi o zbrodniach Polaków na Polakach.

– Zawsze się zastanawiałam, czy czaszka lub kość, którą akurat czyszczę, należy do ojca osoby, która właśnie nas odwiedziła – mówi Monika Mużacz-Kowal. – Patrząc w oczy pani Zofii Pileckiej, miałam wrażenie, że patrzy na mnie Rotmistrz – to było spojrzenie pełne ufności, dobra i nadziei. Takie momenty dodają siły i wiary w to, że to, co robimy, jest potrzebne; że nie są to jakieś tam pierwsze lepsze wykopaliska archeologiczne. Bo owszem, na odnalezienie tych szczątków czeka naród, żeby uczynić zadość historii, ale przede wszystkim na identyfikację czekają dzieci tych ludzi, czasem ich żony.

Katarzyna Kuźniarska, antropolog, wspomina szczególny dzień z pierwszego etapu – 1 sierpnia, 68. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. To był swego rodzaju dzień otwarty na „Łączce”, bo w tę rocznicę na Powązki przychodzi znacznie więcej osób niż zwykle:

– Z powodu naszych prac nie było dostępu do kilku symbolicznych grobów i mieliśmy postawić na nich znicze, w razie gdyby ktoś specjalnie po to przyjechał. I rzeczywiście, przyszedł pewien pan ze zniczem, a po nim starsza pani. Zapytałam ją, czy chce zapalić świeczkę pod wspólnym pomnikiem, czy na jakimś konkretnym grobie. Ta pani podała mi znicz ze łzami w oczach. Chodziło mi oczywiście o któryś z tych symbolicznych grobów, ale przecież ci ludzie już tyle czasu szukają swoich bliskich, że samo wyrażenie „konkretny grób” może u nich wywołać łzy.

Adam Falis:

– Pamiętam, kiedy przyszła jedna starsza osoba, ktoś z rodzin ofiar, i powiedziała, że podziwia naszą cierpliwość przy prowadzeniu tak żmudnego procesu – tylko po to, żeby rodziny mogły odnaleźć swoich bliskich i godnie ich pochować. „Widać – powiedziała – że osoby, które tu pracują, nie są przypadkowe”. To było dla mnie bardzo ważne, poczułem się wyróżniony i doceniony. W takich momentach czuje się, że warto w takie poszukiwania angażować swoją wiedzę, umiejętności, wrażliwość.

Szczególnie wsparcie rodzin osób poszukiwanych było cenne dla członków ekipy. O pasztecikach i kawie, które przynosili państwo Mieszkowscy, krążą wręcz legendy. Ich troska jeszcze bardziej mobilizowała naukowców do tego, by dawać z siebie absolutnie wszystko.

Marta Mieszkowska wyjaśnia:

– Przychodziliśmy często, bo mieszkamy na Żoliborzu, całkiem niedaleko Powązek. Mąż w czasie prac ekshumacyjnych przychodził właściwie codziennie. Czasami zabieraliśmy też wnuki. Zawsze uważaliśmy, że jeśli dzieje się coś ważnego, a dziecko już rozumie cokolwiek (jak starszy – Filip) z tego, co się wokół niego dzieje, należy mu to pokazywać. Młodsza, Julka, teraz wszystkiego nie zrozumie, ale zostanie jej to w pamięci. To, co się dzieje na „Łączce”, jest robione nie dla nas, tylko dla nich, dla ich pokolenia. Niech poznają namacalnie, na czym polega zło odczłowieczenia, czym był i jak wyglądał komunizm w swojej czystej, katyńskiej postaci.

Na „Łączkę” przychodzi też Zofia Pilecka-Optułowicz, córka wciąż poszukiwanego rtm. Witoda Pileckiego. Często przynosi ze sobą plecak pełen pączków i napojów, żeby członkowie ekipy poszukiwawczej – jak mówi – „nie pili byle jakiej wody”.

– Przychodzę nie tylko dlatego, że czekam na znalezienie tatusia. Jestem zafascynowana pietyzmem, z jakim ten zespół pracuje. Podziwiam ich szacunek dla najdrobniejszej kosteczki: każdą z nich przesiewają i za-



Zofia Pilecka-Optułowicz wręcza smakołyki Krzysztofowi Szwagrzykowi i Andrzejowi Ossowskiemu (fot. Piotr Życieński)

noszą medykowi sądowemu. Trzeba to zobaczyć, żeby przekonać się, z jakim uszanowaniem człowiek żyjący odnosi się do szczątków tego, który już nie żyje.

Można sobie spróbować wyobrazić, jak bardzo wyczerpująca jest to praca, czasem nawet kilkunastogodzinna, w skwarze (pierwszy etap) lub w chłodzie (rok później). Wszystko na najwyższych obrotach, w maksymalnym skupieniu.

Katarzyna Kuźniarska:

– Jeśli konkretnie na mnie, podczas pracy w tej jamie grobowej, spoczywa taka odpowiedzialność, żeby wykonać tę pracę najdokładniej, jak się da, to nie myślę o niczym innym. Nie zauważam nawet, że ktoś obok stoi, choćby to był pan minister, który przyszedł nas odwiedzić i zobaczyć, jak nam idzie. Kiedy ktoś zawołał, żebym się odwróciła, byłam w szoku, że w ogóle ktoś tutaj jest.

Dodaje, że w takich momentach łatwo zapomnieć o tym, że jest się głodnym, chce się pić, a nawet potrzebuje się skorzystać z toalety.

– Chociaż – podkreśla antropolog – prof. Szwagrzyk zawsze starał się dopilnować, żebyśmy zdążyli coś przekazać, wręcz przeganiał nas ze stanowisk i zobowiązywał się ich popilnować. Zdarzało się jednak, że i jego apele nie skutkowały, bo byliśmy bardzo zaabsorbowani pracą. Dlatego bywało tak, że po całym dniu pracy musieliśmy się na pół godziny położyć i dopiero potem wziąć prysznic i się przebrać.

Podobne odczucia ma Agata Thannhäuser:

– Po miesiącu badań na „Łączce” potrzebuję tygodnia, żeby dojść do siebie. Biorę na ten czas urlop i do nikogo się wtedy nie odzywam. Jestem zmęczona i fizycznie, i psychicznie.

O ile w pierwszym etapie niedziele były wolne, o tyle w drugim ekipa pracowała siedem dni w tygodniu. Na jeden weekend Agata musiała opuścić stanowisko na „Łączce” i polecieć – żeby nie tracić czasu na podróż pociągiem lub samochodem – do Wrocławia na zajęcia ze studentami.

– Wtedy dopiero poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. W domu byłam późno, rano ledwo wstałam. Na drugi dzień, już po zajęciach, chciałam przeczytać coś na kolejne zajęcia – oczywiście całe popołudnie przespałam. Z kolei na Powązkach, po nieprzespanej nocy, raz się zdarzyło, że oczy mi się zamknęły nad protokołem – wspomina.

W drugim etapie prac, oprócz kopania ziemi, trzeba rozkuć asfaltową ścieżkę oddzielającą kwaterę „Ł” od „Ł-II”. Jest to konieczne, ponieważ i tam mogą znajdować się szczątki poszukiwanych. I są: okazało się, że leży tam prawie osiemdziesiąt osób. Ale to nie koniec terenu do przebadania. Z dokumentów wynika przecież, że „Łączka” kryje szczątki ok. 300 osób, a dotąd udało się odnaleźć niespełna 200. Oznacza to, że kości muszą być jeszcze pod nagrobkami postawionymi w latach osiemdziesiątych.

Archeolodzy robią więc odwierty między mogiłami: co 30 cm, na głębokość ok. 2 m. Kości są. A skoro tak, to trzeba będzie je wydostać.

Krzysztof Szwagrzyk:

– Nie wyobrażam sobie takiej sytuacji, że ogłaszamy, iż nie przeprowadzimy trzeciego etapu poszukiwań, bo pojawiły się problemy natury technicznej, logistycznej czy prawnej. Te szczątki po prostu muszą zostać wydobyte. Jeśli ktoś wątpi w taką potrzebę, mogę mu zadać pytanie: a co, jeśli wśród nich są szczątki gen. Fieldorfa albo rtm. Pileckiego? Czym innym bowiem jest informacja o szczątkach dziewięćdziesięciu ludzi, a czym innym – kto może tam leżeć, jakiego formatu postać.



August Emil Fieldorf (1895–1953), pseudonim „Nil”; nazwiska konspiracyjne: Emil Wielowiejski, Walenty Gdanicki. Urodził się w Krakowie. Od 1910 r. należał do związku strzeleckiego „Strzelec”, w którym ukończył szkołę podoficerską. W roku 1914 zgłosił się do I Brygady Legionów, w której walczył na froncie rosyjskim. W roku 1917 został skierowany do szkoły oficerskiej. Po kryzysie przysięgowym został wcielony do armii austriackiej

i przeniesiony na front włoski. Zdezerterował i w sierpniu 1918 r. zgłosił się do Polskiej Organizacji Wojskowej w rodzinnym Krakowie.

Od listopada 1918 r. służył w szeregach Wojska Polskiego. W latach 1919–1920 uczestniczył w kampanii wileńskiej. Po wybuchu wojny polsko-bolszewickiej w randze dowódcy kompanii brał udział m.in. w wyzwolaniu Dyneburga, Żytomierza i w wyprawie kijowskiej.

Po wojnie nie porzucił służby wojskowej. W 1928 r. został awansowany na majora i przeniesiony do służby w 1. pp Legionów na stanowisku dowódcy batalionu, a siedem lat później – na stanowisko dowódcy samodzielnego batalionu granicznego „Troki” w pułku Korpusu Ochrony Pogranicza „Wilno”. W rok później został awansowany do stopnia podpułkownika. Niedługo przed wybuchem II wojny światowej mianowany dowódcą 51. Pułku Strzelców Kresowych im. Giuseppe Garibaldiego w Brzeżanach, w ramach 12. Dywizji Piechoty (tarnopolskiej), którym dowodził w czasie kampanii wrześniowej 1939 r. Po przegranej wojnie obronnej przedostał się do Polskich Sił Zbrojnych we Francji. W 1940 r. został mianowany pierwszym emisariuszem Rządu i Naczelnego Wodza i wysłany do kraju. W okupowanej Polsce organizował Kierownictwo Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej, którym następnie dowodził.

W 1944 r. objął dowództwo nad organizacją „NIE” (nazwa od słowa „niepodległość”), przygotowującą do działań w warunkach okupacji sowieckiej. W październiku 1944 r. mianowany zastępcą Komendanta Głównego AK. 7 marca 1945 r. został aresztowany pod fałszywym nazwiskiem przez NKWD w Milanówku i – nierozpoznany – zesłany do obozu pracy na Uralu. W październiku 1947 r. wrócił do Polski, w lutym następnego roku ujawnił przed władzami prawdziwe imię i nazwisko oraz stopień wojskowy. 10 listopada 1950 r. został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i osadzony w areszcie śledczym MBP w Warszawie. Został oskarżony o wydawanie rozkazów likwidowania przez AK partyzantów sowieckich. Pomimo tortur odmówił współpracy z komunistami. 16 kwietnia 1952 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał go na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano 24 lutego 1953 r. w warszawskim więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Generał Fieldorf został zrehabilitowany w 1989 r.



Witold Pilecki (1901–1948), pseudonimy: „Witold”, „Tomek”, „Romek”; nazwiska konspiracyjne: Tomasz Serafiński, Roman Jezierski, Leon Bryjak, Jan Uznański, Witold Smoliński. Urodził się w Ołońcu (rosyjska Karelia), uczył się w gimnazjach w Wilnie (tam zakładał konspiracyjne harcerstwo) i w Orle. W 1918 i 1919 r. uczestniczył w obronie Wilna przed bolszewikami. W lipcu 1920 r. wstąpił do Wojska Polskiego, by walczyć w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1922 r. rozpoczął studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, lecz z powodu trudnej sytuacji materialnej musiał je wkrótce przerwać i podjąć pracę zarobkową. W 1926 r. przejął rodzinne gospodarstwo w Sukurczach i rozpoczął jego modernizację, założył też kółko rolnicze oraz mleczarnię, której został prezesem.

Niezależnie od tego corocznie jeździł na ćwiczenia w 26. Pułku Ułanów Wielkopolskich. W 1932 r. w powiecie lidzkim utworzył z okolicznych osadników wojskowych Konne Przystosobienie Wojskowe „Krakus”. Został mianowany dowódcą Lidzkiego I Szwadronu PW. W 1938 r. za swoje zaangażowanie w pracę społeczną otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi. W 1937 r. Lidzki I Szwadron PW dowodzony przez Pileckiego został włączony do 19. Dywizji Piechoty pod dowództwem gen. bryg. Józefa Kwaciszewskiego. Ta we wrześniu 1939 r. walczyła w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego. Po rozbitiu dywizji żołnierze przeszli Wisłę i włączyli się w szeregi odtwarzanej 41. DP Rezerwy. Komendantem kawalerii dywizyjnej został mjr Jan Włodarkiewicz, a jego zastępcą – ppor. Witold Pilecki. Po agresji ZSRR ta dywizja również została rozbita; część żołnierzy przedostała się na Zachód przez Węgry, część – w tym Pilecki – rozpoczęła walkę konspiracyjną w okupowanym kraju. Utworzyli Tajną Armię Polską, dowodzoną przez Włodarkiewicza. W 1940 r. TAP podjęła współpracę ze Związkiem Walki Zbrojnej, a w 1941 r. temu ostatniemu się podporządkowała.

19 września 1940 r. podczas łapanki na warszawskim Żoliborzu Witold Pilecki pozwolił się aresztować i wywieźć do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz, by tam tworzyć konspirację obozową i zdobyć wiarygodne informacje o panujących w obozie warunkach. Uciekł, wraz z dwoma innymi więźniami, w Wielkanoc z 26 na 27 kwietnia 1943 r. Po ucieczce aż do wybuchu Powstania Warszawskiego utrzymywał kontakt z obozowymi konspiratorami i w miarę możliwości wspierał materialnie ich rodziny. W 1944 r. uczestniczył w przygotowaniu struktur planowania akcji bojowych powstającej organizacji „NIE” (od słowa „niepodległość”), mającej przeciwstawić się nadciągającemu niebezpieczeństwu okupacji sowieckiej.

Pilecki walczył w Powstaniu Warszawskim, a po jego upadku trafił do obozów w Lamsdorf i Murnau. Stamtąd, po wyzwoleniu, otrzymał przydział do II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech. W październiku 1945 r. wyruszył do kraju. Do Warszawy dotarł w grudniu. Po rozwiązaniu „NIE” przez gen. Władysława Andersa Pilecki rozpoczął ponowne montowanie siatki łączności. Współpracował z byłymi żołnierzami TAP i uczestnikami konspiracji obozowej. Zdobywał tajne informacje o sytuacji w kraju i przekazywał je przez kurierów do II Korpusu. Dokumentował też wspomnienia z konspiracji w Auschwitzu.

8 maja 1947 r. Pilecki został aresztowany przez funkcjonariuszy MBP. W związku z jego sprawą aresztowano jeszcze 23 osoby. Brutalne śledztwo trwało pół roku. Torturowany Pilecki potwierdził 4 listopada 1947 r. złożone zeznania i podpisał się pod formułą o ich dobrowolności.

Zaraz po aresztowaniu przyjaciele z Auschwitz zwrócili się z prośbą o interwencję do ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza, również więźnia KL Auschwitz. Ten jednak wystosował pismo do przewodniczącego składu sędziowskiego, by nie brać pod uwagę zasług Pileckiego z czasów obozowej konspiracji, lecz rozprawić się z nim jako „wrogiem ludu i Polski Ludowej”. 15 marca 1948 r. Pilecki został skazany na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 25 maja 1948 r.

W 1990 r. Sąd Najwyższy uniewinnił rotmistrza. W 2006 r. prezydent Lech Kaczyński w uznaniu zasług Witolda Pileckiego i jego oddania sprawom ojczyzny odznaczył go pośmiertnie Orderem Orła Białego. W 2013 r. minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak awansował pośmiertnie Witolda Pileckiego do stopnia pułkownika.

Na podstawie: www.pilecki.ipn.gov.pl

Zofia Pilecka-Optułowicz poszukiwała ojca przez całe życie. Jest już bliska pogodzenia się z myślą, że ciało rtm. Witolda Pileckiego zostało po śmierci spalone. Słyszała bowiem relacje, według których Rotmistrza zaprowadzono na egzekucję specjalnie do kotłowni w więzieniu przy Rakowieckiej. Z drugiej jednak strony, nie traci nadziei. Chce wierzyć, że ojca pogrzebano na Powązkach. Jest przekonana, że on sam ją tam przyprowadził za pośrednictwem córki, drugiej z trzech, urodzonej w 1958 r., Ani Krysi.

– Była całkiem zdrowa, ale niespodziewanie zmarła drugiego dnia po urodzeniu. Lekarka uchyliła drzwi do sali i oschle rzuciła: „Dziecko pani zmarło”. Takie to były czasy. Pochowaliśmy ją w powstającej wówczas kwaterze dziecięcej na cmentarzu komunalnym – Powązkach wojskowych.

Jak się później okazało, było to w bezpośrednim sąsiedztwie „Łączki”. Dlatego wciąż wierzę, że ojciec jest właśnie tam. Jestem przekonana, że to on mnie zaprowadził w to miejsce – mówi Zofia Pilecka.

Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, czy oddać materiał porównawczy do badań genetycznych. To ostatnia szansa na to, że poszukiwania, w których nie ustawała przez długie lata, wreszcie będą miały swój szczęśliwy finał. Kiedy Witolda Pileckiego aresztowano w maju 1947 r., mama pani Zofii, Maria Pilecka, co miesiąc jeździła do męża z paczką (częśćciej nie było wolno). Pewnego razu, kiedy przyjechała, usłyszała od straży więziennej: „Męża nie ma, wyjechał”. Dokąd wyjechał? Kiedy? Oczywiście nikt tego nie powiedział. Pierwsza myśl: pewnie wywieźli go na Syberię. Maria starała się dowiedzieć czegokolwiek o Witoldzie. Zrozpaczona udała się nawet do wróżki. Na próżno. Z czasem pogodziła się z myślą, że swojego męża już nie odnajdzie.

Tymczasem córka nie odpuszczała. Z uporem usiłowała dowiedzieć się czegokolwiek o losie ojca.

– Mama w pewnym momencie zaczęła mi mówić, że jestem nawiedzona, żebym już przestała szukać. A ja traktowałam swoje poszukiwania jako dar dla ojca. Uważałam, że im więcej trudności, to nawet tym lepiej, bo dar będzie cenniejszy. Uważałam, że mój wysiłek musi być jak największy, jeśli robię to dla kogoś tak mi bliskiego. Kogoś, kto sam przeszedł w życiu niewypowiedziany ogrom cierpień – podkreśla Pilecka-Optułowicz.

Pani Zofia niechętnie mówi o sobie. Nie chce opowiadać o tym, co przeszła podczas poszukiwań, bo – jak przekonuje – to tak, jakby komuś dać prezent, a następnie wypominać, że był bardzo drogi. Można jednak spróbować sobie wyobrazić cenę, jaką przyszło jej zapłacić: musiała zrezygnować ze studiów, przez długi czas nie mogła znaleźć pracy, mieszkała w warunkach bardziej niż skromnych: dość powiedzieć, że aby ogrzać izbę, musiała nieraz zbierać szyszki, bo brakowało pieniędzy na węgiel.

Zofia Pilecka-Optułowicz wspomina:

– Dostałam się na Politechnikę Warszawską, na budownictwo wodne. Wszyscy asystenci byli „czerwoni”. Jeśli ktoś miał niesłuszne z ich punktu widzenia poglądy, nie zaliczali mu ćwiczeń, i tym samym nie można było dostać się na egzamin do profesora. Pewnego razu jeden z wykładowców poprosił mnie do siebie i powiedział: „Moje dziecko, zrezygnuj ze studiów. Bo tylko zszarpiesz sobie nerwy. Może jeszcze będą kiedyś inne czasy...”. I tak zrobiłam. Byłam już wtedy narzeczoną, wkrótce zostałam też żoną i matką.

To był tak bardzo inny świat od tego ciepłego i bezpiecznego, który pamiętała z Ostrowi Mazowieckiej! Zamieszkała tam u babci jeszcze za czasów niemieckiej okupacji wraz z mamą i bratem Andrzejem. Nawet w najstraszniejszych chwilach, po aresztowaniu ojca, mogła liczyć na wsparcie rówieśników i nauczycieli. Do dziś pamięta, jak z głośnika na szkolnym korytarzu płynął przesycony jadem głos propagandowej spikerki radiowej Wandy Odolskiej, która mówiła o procesie Witolda Pileckiego, nazywając go zdrajcą ojczyzny i szpiegiem. Nauczycielka zapytała wówczas czternastoletnią Zosię, czy jest może spokrewniona z tym Pileckim. „Tak, to mój ojciec. I jestem z niego dumna!” – odpowiedziała córka Rotmistrza. Nauczycielka nie skomentowała tego, co w tamtych warunkach wymagało sporej odwagi.

Kilka lat po przerwanych studiach udało się wreszcie, dzięki pomocy życzliwych ludzi, znaleźć pracę. Przyjęto Zofię do przedsiębiorstwa chemicznego INCO, firmy związanej ze stowarzyszeniem PAX. Wykonywała pracę biurową, ale oficjalnie była zatrudniona na etacie pracownika fizycznego. Skutkowało to niespecjalnie wysoką pensją. Ale pozwalało przeżyć.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, dzięki kontaktom w PAX, umożliwiono jej spotkanie z Józefem Cyrankiewiczem, wówczas już byłym premierem PRL, a wcześniej również więźniem Auschwitz (w PRL Cyrankiewicz przypisał sobie zasługi Witolda Pileckiego z pobytu w obozie). Zofia Pilecka-Optułowicz liczyła na to, że Cyrankiewicz będzie mógł coś powiedzieć na temat miejsca pochówku jej ojca.

– Cyrankiewicz był dla mnie bardzo uprzejmy. Przywitał mnie grzecznie, wręcz entuzjastycznie, jakby ucieszył się na mój widok. Posługiwałam się nazwiskiem męża: Optułowicz, nie mam więc pewności, czy przy powitaniu wiedział, kim jestem. Powiedziałam od razu, że moja wizyta będzie bardzo krótka, gdyż chciałam jedynie prosić o pomoc w ustaleniu, gdzie spoczywają szczątki mojego ojca, Witolda Pileckiego. On na to: „Witold Pilecki? A kto to jest ten Witold Pilecki?”. Zawrzało we mnie! Odpowiedziałam, że skoro tak, to nie mam więcej pytań. Musiałam mieć bardzo srogą minę, bo starał się jakoś załagodzić sytuację. Powiedział, że popyta „gdzie trzeba” i spotka się ze mną jeszcze raz. Nie doczekałam się jednak żadnej wiadomości. Wkrótce Józef Cyrankiewicz umarł.

„Oświęcim to była igraszka” – tak ponoć powiedział żonie Witold Pilecki pod koniec procesu na Rakowieckiej. W ten sposób opisał tortury stosowane przez UB. Według relacji ks. Antoniego Czajkowskiego, aresz-

towanego w związku ze sprawą Pileckiego i przetrzymywanego w tym samym więzieniu, Rotmistrza katowano szczególnie okrutnie. Po ostatnich przesłuchaniach – jak twierdził ksiądz – Pilecki miał połamane obojczyki, przez co nie mógł utrzymać głowy w pionie, a ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż tułowia.

Nieco wcześniej w czasie jednego z widzeń Witold powiedział żonie, że nie może już więcej żyć. Długo miał jednak nadzieję, że jego działalność z czasów Auschwitz – organizowanie obozowej konspiracji – ocali mu życie.

Zofia Pilecka-Optułowicz:

– Ojciec prosił swoją szwagierkę, Eleonorę Ostrowską, również uczestniczkę konspiracji, żeby przedstawiła śledczym przechowywane przez nią relacje dotyczące organizacji ruchu oporu w Auschwitz. Eleonora spełniła tę prośbę.

Funkcjonariusze zabrali wszystkie materiały. Niestety życia Witoldowi Pileckiemu to nie uratowało, ale – jak domniemywa córka Rotmistrza – być może dzięki jego zasługom rodzina nie podzieliła jego losów.

Zofia Pilecka porównuje swoją relację z ojcem do procesu edukacji. Czasy po aresztowaniu i okres poszukiwań są jak studia wyższe. Okres okupacji niemieckiej po ucieczce ojca Auschwitz – to według niej odpowiednik szkoły podstawowej, i to pierwszych klas:

– Kiedy uciekł z obozu w 1943 r., miałam dziesięć lat. Przebywał w Warszawie, a my mieszkaliśmy u babci, w Ostrowi Mazowieckiej. Przyjeżdżałam do niego i meldowałam o wszystkim, co osiągnęłam w sporcie, do którego on przywiązywał wielką wagę: już umiem robić szpagat, już biegam na setkę, jestem w drużynie siatkówki, pływam... „O, to świetnie, że pływasz,



Witold Pilecki, lata dwudzieste
(fot. ze zbiorów rodzinnych)

to bardzo ważne! – pochwalił mnie za to. – Gdybym nie potrafił pływać, nie uciekłbym z obozu, bo musiałem przepłynąć Sołę. Nigdy nie wiesz, kiedy ci się przyda taka umiejętność”. Uczył mnie też zachowań konspiracyjnych. Jeździliśmy po Warszawie tramwajem. W pewnym momencie wysiadaliśmy. Zadawał mi takie ćwiczenie: trzeba ostrzec człowieka idącego za mną, że z przeciwnika idzie żandarm. Miałam podejść do ściany lub wystawy, jeśli zobaczyłam żandarma. To miał być znak dla osoby idącej za mną.



Witold Pilecki z żoną Marią w dworcu w Sukurczach (fot. ze zbiorów rodzinnych)

Najmilej – jak nietrudno zgadnąć – pani Zofia wspomina „przedszkole”, czyli dzieciństwo spędzone w rodzinnym dworcu w Sukurczach, niedaleko Lidy (dzisiejsza Białoruś). Pokutuje stereotyp, że wojskowy – zwłaszcza w staroświeckim, przedwojennym modelu – to ktoś raczej oschły i skoncentrowany na własnej karierze, z trudem znajdujący wspólny język z dziećmi. Nawet jeśli takie przekonanie znajdowało czasem odzwierciedlenie w rzeczywistości, to na pewno nie w przypadku Witolda Pileckiego. To on spędzał przedpołudnia z dziećmi, Zosią i Jędrkiem, podczas gdy żona Maria uczyła w miejscowej szkole. Kiedy wracała zmęczona, czekała na nią najczęściej jakaś atrakcja, np. dzieci przebrane za postaci z bajek. Atrakcje wymyślał oczywiście jej mąż.

– To był człowiek obdarzony niesłychaną liczbą talentów, których nie zakopywał pod kamień, ale rozwijał na każdym kroku. Napisał poemat o Sukurczach, którego część odnalazłam. Przepięknie malował: nad łóżkiem małżeńskim namalował biało-niebieski fresk z Matką Boską karmiącą, dla dzieci – krasnoludki tańczące wokół grzybka. Coś pięknego! – zachwyca się córka. Swoimi obrazami Pilecki obdarował również kościół w Krupie niedaleko Sukurcz.

Pani Zofia dodaje, że tata był urodzonym pedagogiem:

– Każdego dnia przekazywał nam wartości, którymi mieliśmy się kierować w życiu. Z dzisiejszej perspektywy mam wrażenie, jakby się spieszył. Jakby czuł, że ma niewiele czasu. Nazywał mnie „dziedziczką świeżego

powietrza”. Pytałam go, co to znaczy. Tłumaczył, że tego, na co patrzę, co jest takie piękne – może kiedyś zabraknąć. I trzeba się do tego przystosować. Mówił, że muszę być generałką – dzielną osobą, która radzi sobie w każdej sytuacji.

Mobilizując dzieci do dzielności i stawiając im moralne drogowskazy na całe życie, bardzo się starał wykształcić w nich również wrażliwość na wszystkie żywe istoty:

– Kiedy spacerowaliśmy razem. W ostatniej chwili tata dostrzegł biedronkę pod moimi nogami, której ja nie zauważyłam. „Jak ty nie uważasz! Zgniotłabyś biedronkę – powiedział do mnie. – Weź ją i połóż na listek. Tam będzie bezpieczna”. Przekonywał mnie też, że koń to wyjątkowe zwierzę, które ma duszę. Dlaczego? „Otóż koń jest tak mądry – przekonywał tata – że kiedy raz zdarzyło mi się galopować na mojej klaczy, Bajce, do naszego dworku w Sukurczach, klacz nagle się zatrzymała. W pierwszej chwili zdawało się, że bez powodu. Okazało się jednak, że na ziemi leżało dziecko, którego z wysokości konia nie widziałem”. To był dla taty dowód na to, jak wyjątkowymi istotami są właśnie konie.



Zosia i Jędrzek Pileccy przebrani na powrót mamy z pracy (fot. ze zbiorów rodzinnych)

PRZYWRACANIA NAZWISK CIĄG DALSZY

Rezultaty ogromnego wysiłku zespołu poszukiwawczego po raz kolejny zostały zaprezentowane 22 sierpnia 2013 r. Tym razem swoje nazwiska odzyskuje dziewięciu bohaterów: **Władysław Borowiec**, **Henryk Borowy-Borowski**, **Hieronim Dekutowski**, **Zygfryd Kuliński**, **Józef Łukasiewicz**, **Henryk Pawłowski**, **Zygmunt Szendzielarz**, **Wacław Walicki** i **Ryszard Widelski**.



Władysław Borowiec (1916–1948), pseudonim „Żbik”, żołnierz Armii Krajowej, księgowy. Przed agresją Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r. skończył podchorążówkę. Brał udział w wojnie obronnej Polski 1939 r. w stopniu plutonowego podchorążego. Walczył w obronie stolicy, następnie na wschodzie. Uczestniczył w konspiracji od początku jej istnienia. W 1943 r. przeniósł się do Tarnobrzega. Po zakończeniu II wojny światowej zatrudnił się jako księgowy w poznańskiej Delegaturze Biura Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych. Szybko został przeniesiony do berlińskiej placówki biura, gdzie pełnił tę samą funkcję, a następnie funkcję intendenta i tłumacza z języka angielskiego. 29 listopada 1947 r. zatrzymany pod zarzutem szpiegostwa. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 4 sierpnia 1948 r. skazał go na karę śmierci. 14 września 1948 r. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy, a prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Borowca stracono 25 września 1948 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Szczałki Władysława Borowca znaleziono w dole sześciuosobowym. Były pochowane najgłębiej.

Krzysztof Szwaagrzyk:

– Ułożenie szczątków pozwala nam postawić tezę, że mieliśmy tu do czynienia z pochówkami z dwóch egzekucji: w jednej zginęło czterech,

w drugiej dwóch mężczyzn. Obraz, który się wylaniał po zdjęciu górnej warstwy ziemi, okazał się tragiczny. Tam na miejscu doszło do połączenia szczątków ofiar i nasi specjaliści włożyli niezwykle wiele wysiłku w to, żeby poszczególne szczątki mogły zostać wydobyte. Trzeba pamiętać, że sytuacje, w których szczątki są w komplecie, należą do rzadkości.

Notę identyfikacyjną Władysława Borowca odbiera jego wnuczka, Anna Tasiemska. Jej mama, Barbara, córka zidentyfikowanego, niestety nie dożyła tego momentu. Szczęśliwie jednak zdążyła oddać materiał porównawczy do badań DNA. Zmarła miesiąc później.

– Cieszę się, że żyję w takim kraju, który upomina się o swoich obywateli – mówi pani Anna w czasie uroczystości.

Do bardzo wielu spośród zidentyfikowanych pasowałoby nader często ostatnio używane stwierdzenie: „Jego historia to znakomity scenariusz filmowy”. W odniesieniu do Władysława Borowca tę opinię podzielali... nawet komuniści z peerelowskiego MSW. Tyle tylko, że dziadek Anny Tasiemskiej byłby obsadzony w roli szwarzcharakteru – „bandyty”, którego miał ścigać niepokonany agent J-23. Do realizacji dalszego ciągu serialu o Hansie Klossie jednak nie doszło. O tej ciekawostce Tasiemska dowiedziała się krótko przed identyfikacją dziadka.

Po raz pierwszy usłyszała o nim jako nastolatka – ktoś z dalszej rodziny powiedział jej, że mąż babci, którego uważa za swojego dziadka, nie jest jej biologicznym przodkiem. Mama potwierdziła tę informację. Pokazała Annie album rodzinny i opowiedziała o swoim ojcu: znał pięć języków obcych,



Anna Tasiemska odbiera notę identyfikacyjną dotyczącą dziadka, Władysława Borowca, Warszawa, sierpień 2013 r. (fot. Piotr Życieński)



Władysław Borowiec z córką Barbarą przy tablicy brytyjskiego sektora okupacyjnego w Berlinie (fot. ze zbiorów Anny Tasiemskiej)



Władysław Borowiec z córką Barbarą (fot. ze zbiorów Anny Tasiemskiej)

był niezwykle inteligentny. Gdyby żył, znalazłby rodzinę z każdego zakątka świata. A więc na pewno nie żyje. Zniknął w 1947 r., kiedy Barbara miała sześć lat. Wraz z mamą, Antoniną, znalazły się na bruku, sąd bowiem zasądził przepadek mienia skazanego. Wdowa nie mogła znaleźć pracy, miała wliczy bilet. Zmarła w wieku 47 lat.

Kiedy w 1992 r. sąd uznał, że Władysław Borowiec działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, dorosła już Anna Tasiemska i jej mama próbowały się dowiedzieć, gdzie pochowano ich ojca i dziadka. Typowały cmentarz na warszawskim Służewie. Dostępu do akt śledztwa odmówiono, powołując się na to, że wciąż są tajne.



Władysław Borowiec z żoną Antoniną i córką Barbarą, Berlin, 1945 r.

(fot. ze zbiorów Anny Tasiemskiej)

23 lutego 1991 r. sejm przyjął ustawę o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego. Czytamy w niej m.in.: „Uznaje się za nieważne orzeczenia wydane przez polskie organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości lub przez organy pozasądowe w okresie od rozpoczęcia ich działalności na ziemiach polskich, począwszy od 1 stycznia 1944 r. do 31 grudnia 1956 r. [po nowelizacji z 2007 r.: do 31 grudnia 1989 r. – K.W.], jeżeli czyn zarzucony lub przypisany był związany z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego albo orzeczenie wydano z powodu takiej działalności [...]”.

Dopiero w 2010 r. pani Anna znalazła w internecie nazwisko dziadka i dowiedziała się, że widnieje ono na pamiątkowym murze na powązkowskiej „Łączce”. Kiedy dwa lata później usłyszała w mediach, że rodziny poszukiwanych tam osób są proszone o oddawanie materiału genetycznego, nie wahała się ani chwili, żeby pobrać próbkę od bardzo już schorowanej mamy.

Wystąpiła też do IPN o udostępnienie dokumentów dotyczących dziadka.

„Dostałam kserokopie części z nich i czytałam w domu przez dwa tygodnie bez przerwy. Wyobrażałam sobie to śledztwo. Podczas przesłuchania dziadka jego zeznania były często przerywane, musieli go ciągle torturować. W pewnym momencie powiedział: »Tylko mnie już nie bijcie«. I to jest napisane w protokole” – mówiła Anna Tasiemska w rozmowie z Agnieszką Łuczak w miesięczniku IPN „Pamięć.pl”.

Podobnie jak szczątki Władysława Borowca, na samym spodzie dołu – tyle że ośmioosobowego – znaleziono szkielet mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Był to ten sam dół, w którym znajdowały się szczątki zidentyfikowanych wcześniej jego podkomendnych: Stanisława Łukasika i Tadeusza Pelaka. Badacze domyślali się, że jeden z ośmiu w tym dole to „Zapora”, nie mogli jednak tych przypuszczeń ogłosić, dopóki nie potwierdziły tego wyniki badań genetycznych. A wystarczające potwierdzenie uzyskano dopiero po ekshumacji rodziców Hieronima Dekutowskiego i pobraniu od nich próbek materiału genetycznego.



Legitymacja Biura Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych (fot. ze zbiorów Anny Tasiemskiej)



Hieronim Dekutowski (1918–1949), pseudonimy: „Zapora”, „Odra”, „Stary”; cichociemny, major, oficer Armii Krajowej, Delegatury Sił Zbrojnych i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Ochotnik w wojnie obronnej 1939 r. Walczył we Francji w szeregach 2. Dywizji Strzelców Pieszych, po kapitulacji ewakuowany do Wielkiej Brytanii. Na początku marca 1943 r. został zaprzysiężony na cichociemnego, przyjął pseudonimy „Zapora” i „Odra”. We wrześniu 1943 r. przerzucony na teren Polski i awansowany przez Naczelnego Wodza do stopnia podporucznika rezerwy. Dowodził kompanią w 9. pp Inspektoratu AK Zamość, a następn-

nie oddziałem dywersyjnym Kedywu w Inspektoracie Rejonowym Lublin–Puławy AK. W ramach realizacji planu Odtwarzania Sił Zbrojnych został dowódcą 1. kompanii. 8. pp Legionów AK, od stycznia do lipca 1944 r. przeprowadził kilkadziesiąt akcji zbrojnych na terenie Okręgu Lubelskiego AK. W czasie akcji „Burza” ochraniał sztab komendy okręgu. W sierpniu podjął nieudaną próbę przedostania się na pomoc walczącej Warszawie. Na początku 1945 r. zgodnie z postanowieniem Komendy Okręgu AK Lublin skoncentrował żołnierzy zagrożonych aresztowaniami i przeprowadził wiele akcji odwetowych wobec wojsk NKWD i władz komunistycznych. Awansowany przez dowództwo Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj do stopnia kapitana, a przez dowództwo WiN – do stopnia majora. Od czerwca 1945 r. dowodził wszystkimi oddziałami leśnymi w Inspektoracie Lublin DSZ. Odpowiadał za dywersję i przeprowadzał akcje wymierzone w aparat represji. Dowodzone przez niego zgrupowanie liczyło od 200 do 300 partyzantów. Po amnestii ogłoszonej przez komunistów latem 1945 r. rozformował zgrupowanie, a sam na czele kilkunastu współtowarzyszy próbował przez Czechosłowację przedrzeć się do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Po niepowodzeniu tej akcji powrócił i ponownie stanął na czele reaktywowanego zgrupowania. Do czasu amnestii w lutym 1947 r. prowadziło ono liczne akcje dywersyjne i samoobrony w województwach lubelskim, rzeszowskim i kieleckim. Po ogłoszeniu przez komunistów amnestii zaprzestał prowadzenia akcji zbrojnych i ujawnił się w czerwcu 1947 r. Zagrożony aresztowaniem, podjął próbę ucieczki z kraju, w której trakcie 16 września 1947 r. został zatrzymany w Nysie przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z Katowic. Przeszedł okrutne śledztwo w centralnym więzieniu MBP przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 15 listopada 1948 r. skazał go na siedmiokrotną karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Przed wykonaniem wyroku „Zapora” podjął jeszcze jedną, nieudaną próbę ucieczki z celi więziennej. Został stracony 7 marca 1949 r. w tym samym więzieniu. Pośmiertnie otrzymał order Virtuti Militari (1964).

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

– Dziś już wiemy, że to jego trumienka została pierwsza wyniesiona z „Łączki”. Można powiedzieć, że w symboliczny sposób mjr „Zapora” ponownie stanął na czele oddziału – nie po to, żeby poprowadzić go do walki, ale po to, żeby z tych dołów hańby, dołów śmierci swą grupę wyprowadzić – mówi Krzysztof Szwaagrzyk.

Wśród osób odbierających notę identyfikacyjną jest córka siostrzenicy „Zapory”, Grażyna Chojecka. Nie miała szans go poznać – urodziła się

siedem lat po tym, jak wuj został zamordowany. Babcia pani Grażyny, czyli siostra „Zapory”, starsza od niego o czternaście lat, nie opowiadała zbyt wiele. Pani Grażynie utkwiła w pamięci tylko jedna historia: dwuletni Heniek (tak rodzina zdrabniała imię Hieronim) miał kiedyś ciężką anginę, czterdzieści stopni gorączki. Rodzina bała się, że dziecko nie przeżyje. Po latach pani Grażyna usłyszała od babci, że lepiej by się stało, gdyby chłopiec wtedy nie przeżył. Albo żeby zginął w czasie wojny, bo wtedy by go uznawano za bohatera. Uniknęłyby brutalnego śledztwa i niezаслужonego miana bandyty.

Oczywiście nikt nie wiedział, gdzie pochowano Hieronima. Pojawiały się przypuszczenia, że mógł zostać zakopany na warszawskim Służewie. Krążyły też opowieści, że mógł zostać zalany wapnem i nie będzie po nim śladu. Rodzina w miarę możliwości starała się gromadzić informacje o wyjątkowym krewnym. Pani Grażyna usłyszała pewnego razu, pod koniec lat osiemdziesiątych, od męża kuzynki (spokrewnionej z Hieronimem w takim samym stopniu jak ona), że „o »Zaporze« jeszcze się będą uczyć w szkole”.

– Pomyślałam sobie o nim wtedy: „marzyciel” – wspomina Chojecka po latach. – A on jeszcze się pochwalił, że jego siedmioletni syn wie o Dekutowskim wszystko.

Mniej więcej w tym czasie, w połowie lat osiemdziesiątych, pojawiła się książka Jędrzeja Tucholskiego *Cichociemni*. Dla Chojeckiej był to sygnał, że faktycznie ktoś taki jak Dekutowski jest znany nie tylko w rodzinie, że ktoś coś o nim wie i ma dotyczące go materiały. To było dla niej pocieszające. Już wcześniej bowiem zaczęła wypatrywać w przestrzeni publicznej śladów bohaterstwa Dekutowskiego. Uwierał ją rozdźwięk



Hieronim Dekutowski (w środku) z kolegami, Tarnobrzeg, 1937 r. (fot. ze zbiorów rodzinnych)

między opowieściami rodzinnymi a oficjalną, komunistyczną wersją historii. Najpierw znalazła nazwisko wuja na tablicy upamiętniającej cichociemnych wmurowanej w kościele św. Jacka w Warszawie. Zaprowadziła ją tam ciotka jeszcze w latach siedemdziesiątych. Potem, już w latach dziewięćdziesiątych, odkryła jego nazwisko na tablicy umieszczonej na murze więzienia przy Rakowieckiej, poświęconej straconym tam bohaterom. Wciąż jednak miała poczucie, że „Zapora” jest mało znany. Zastanawiała się dlaczego. Z dużą ulgą i satysfakcją przyjęła zatem jednoznacznie pozytywną reakcję Krzysztofa Szwagrzyka na nazwisko Dekutowski, kiedy – dowiedziawszy się z mediów o pracach poszukiwawczych – przysłała na „Łączkę”, żeby oddać materiał genetyczny. Odebrała to jako potwierdzenie, że wuj jest szeroko znany jako bohater.

– Kiedy zobaczyłam pole na „Łączce”, nie mogłam pojąć, jak na tak małym terenie zdołano upchnąć tak wiele osób. Już sobie zadaję pytania, dlaczego tak późno zabrano się do ekshumacji. Sądzę, że to dlatego, iż na początku lat dziewięćdziesiątych żyli jeszcze świadkowie tej zbrodni i oprawcy. I to była ochrona oprawców – uważa Grażyna Chojecka.



Hieronim Dekutowski, Tarnobrzeg, lata trzydzieste (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Major Hieronim Dekutowski „Zapora” (fot. AIPN)



Henryk Borowy-Borowski (1913–1951), pseudonim „Trzmiel”, porucznik, oficer Komendy Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej, prawnik; konspiracyjne nazwisko: Henryk Syczyński. Absolwent kursu podchorążych rezerwy w Grodnie. Uczestnik wojny obronnej Polski z 1939 r. w stopniu plutonowego podchorążego. W latach 1942–1944 żołnierz Okręgu Wileńskiego AK, w którym służył w grupie wywiadowczej o kryptonimie „Cecylia”, zorganizowanej do walki z sowietyzacją ziem polskich. W lipcu 1944 r. zdołał uniknąć aresztowania przez wojska sowieckie i wywózki w głąb ZSRR. Wiosną 1945 r. współorganizował przerzut na zachód żołnierzy b. Okręgu Wileńskiego AK. Następnie wszedł w skład komendy eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK, działającego na terenie politańskiej Polski; pełnił funkcję kierownika komórki kontrwywiadowczej. Aresztowany 28 czerwca 1948 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 2 listopada 1950 r. skazał go na karę śmierci wraz z mjr. Zygmuntem Szendzielarzem „Łupaszka”, por. Lucjanem Minkiewiczem „Wiktorem” oraz ppłk. Antonim Olechnowiczem „Pohoreckim”. Borowego-Borowskiego stracono 8 lutego 1951 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Odznaczony Krzyżem Walecznych.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Zygmunt Szendzielarz (1910–1951), pseudonim „Łupaszka”, major, oficer Wojska Polskiego, dowódca V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej oraz oddziałów partyzanckich eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK, następnie Ośrodka Mobilizacyjnego Okręgu Wileńskiego AK. Po ukończeniu szkoły podchorążych kawalerii w Grudziądzu w 1934 r. przydzielony został do 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie. W wojnie 1939 r. walczył w stopniu porucznika w 4. pułku Wileńskiej Brygady Kawalerii. Po nieudanych próbach przedostania się na Zachód pod fałszywym nazwiskiem powrócił do rodzinnego Wilna. Od 1940 r. współtworzył konspiracyjne struktury pułkowe, tj. grupę kpt. Giedrojcia. Po rozbiciu w sierpniu 1943 r. przez sowiecką brygadę Fiodora Markowa oddziału partyzanckiego AK ppor. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica” Szendzielarz odtworzył tę jednostkę, występującą odtąd pod nazwą V Brygady Wileńskiej AK lub Brygady Śmierci.

Za zgodą komendy okręgu V Wileńska Brygada AK nie wzięła udziału w operacji wileńskiej 1944 r. Podzielona na małe grupy, przedostała się na zachód, aby ponownie się połączyć w Puszczy Augustowskiej. W sierpniu 1944 r. żołnierze, którym udało się przedostać (20–40 osób), zbrali się ponownie pod dowództwem Szendzielarza i podporządkowali białostockiej Komendzie Okręgu AK. Odtworzona w kwietniu 1945 r. na Białostoczczyźnie V Brygada w sierpniu 1945 r. liczyła 250 żołnierzy. Przeprowadziła kilkadziesiąt udanych akcji przeciw NKWD, Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego, milicji i Korpusowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zgodnie z rozkazami dowództwa Delegatury Sił Zbrojnych we wrześniu 1945 r. brygada została zdemobilizowana. Zygmunt Szendzielarz odtworzył ją ponownie w kwietniu 1946 r. w północnej Polsce (działając teraz w ramach eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK). Jesienią 1946 r. wraz z grupą ppor. Henryka Wieliczki „Lufy” powrócił na teren województwa białostockiego, dołączając do VI Wileńskiej Brygady AK dowodzonej przez por. Lucjana Minkiewicza „Wiktora”, a następnie ppor. Władysława Łukasiuka „Młota”. Ukrywał się od wiosny 1947 r. Aresztowany 30 czerwca 1948 r. w Osielcu na Podhalu przez funkcjonariuszy MBP. Po długotrwałym śledztwie 30 listopada 1950 r. został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Major „Łupaszka” został stracony 8 lutego 1951 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Odznaczony Krzyżem Wirtuti Militari V klasy.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Dwóch spośród zidentyfikowanych żołnierzy, których odnalezienie ogłoszone zostało 22 sierpnia 2013 r., znaleziono pod asfaltową ścieżką wylaną na początku lat osiemdziesiątych. Są to Henryk Borowy-Borowski – leżący najgłębiej spośród czterech pogrzebanych w tym samym dole – i Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”. Ich szczątki wrzucono twarzą do ziemi. Z oględzin czaszki Szendzielarza wynika, że kat strzelał z góry. Ślad po wlocie kuli widać po prawej stronie czoła.

Mimo wstrząsającego widoku Lidia Lwow-Eberle „Lala”, narzeczona „Łupaszki” z okresu konspiracji, mówi tylko tyle:

– Jestem szczęśliwa, że został odnaleziony.

Od czasu ich ostatniego widzenia – tego więziennego, dwa tygodnie przed egzekucją – nie myślała o tym, żeby próbować ustalić miejsce spoczynku dawnego narzeczonego i dowódcy zarazem. Zapytała o nie jeszcze w więzieniu, ale odpowiedzi nie dostała. Wyszła na wolność w 1956 r. Początkowo



Lidia Lwow-Eberle podczas uroczystości wręczenia not identyfikacyjnych

miały to być tylko trzy miesiące przerwy w odbywaniu kary, ale rodzice wywalczyli dla niej przed sądem zmniejszenie wyroku. To, co pani Lidia odsiedziała, zaliczono na poczet kary i w rezultacie nie wróciła już do więzienia. Zgodnie z zaleceniem „Łupaszkii”, zdała egzamin na studia. Dostała się na archeologię. Miała 37 lat, ale prawie dwie dekady różnicy nie przeszkadzały jej w nawiązaniu kontaktów z koleżankami i kolegami z uczelni. Na piątym roku wyszła za mąż. Za chłopaka starszego o trzy lata, jeśli chodzi o lata studiów, ale według kalendarza... o piętnaście lat młodszego. Mają córkę.



Zygfryd Kuliński (1924–1950), pseudonim „Albin”, rolnik, żołnierz Ruchu Oporu Armii Krajowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Do konspiracyjnych struktur ROAK wstąpił po zakończeniu okupacji niemieckiej. Służył w oddziale por. Franciszka Majewskiego „Słonego”. Od 19 listopada 1947 r. w strukturach XI Grupy Operacyjnej NSZ. Przydzielony do oddziału Wiktora Stryjewskiego „Cacki”, w latach 1946–1949 brał udział w wielu akcjach przeciwko placówkom UB i MO. Zatrzymany 8 lutego 1949 r. w Gałkach (powiat płocki), w wyniku obtawy urządzanej przez milician-

tów i funkcjonariuszy PUBP z Płocka, Płońska, Sierpca oraz żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ranny, został przewieziony do Warszawy i poddany brutalnemu śledztwu. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 29 września 1949 r. skazał go na karę śmierci. 7 lutego 1950 r. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy, a prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Zygryda Kulińskiego stracono 29 marca 1950 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie wraz z innymi partyzantami z oddziału „Cacki”: Wacławem Michalskim „Gałązką”, Sewerynem Oryłem „Kanciasnym”, Stanisławem Konczyńskim „Kundą” oraz Karolem Rakoczym „Bystrym”.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Józef Łukaszewicz (1929–1949), pseudonimy „Walek”, „Kruk”; żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych. Uczeń gimnazjum i liceum im. Leopolda Lisa-Kuli na Pradze w Warszawie, gdzie w grudniu 1947 r. był współzałożycielem antykomunistycznej organizacji młodzieżowej. Od połowy marca 1948 r. w strukturach Narodowych Sił Zbrojnych Rejon Mrozy w stopniu sierżanta służył w oddziale Zygmunta Rześkiewicza „Grotą”, „Parabelki”, a następnie Zygmunta Jezierskiego „Orlą”, które przeprowadziły kilka akcji bojowych przeciw grupom UB i KBW na terenie powiatu Mińsk Mazowiecki. Zatrzymany 4 czerwca 1948 r. w Grodzisku w wyniku obławy przygotowanej przez funkcjonariuszy UB i KBW. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 28 lutego 1949 r. skazał go na karę śmierci. Został stracony 14 maja 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie razem z dwoma innymi żołnierzami z oddziału „Orlą”: Edwardem Markosikiem „Wichurą” i Czesławem Gałązką „Bystrym”.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Henryk Pawłowski (1925–1949), pseudonimy: „Henryk Orłowski”, „Długi”; żołnierz Armii Krajowej, kurier Rządu RP na Uchodźstwie. W czasie wojny służył w 26. pp AK, gdzie pełnił funkcję dowódcy drużyny w stopniu plutonowego podchorążego. W lipcu 1944 r. wraz z całym oddziałem przymusowo wcielony do Armii Czerwonej, następnie skierowany do szkoły lotni-

czej w Kraśniku. W listopadzie 1944 r. karnie zesłany do kopalni węgla w ZSRR za szerzenie antysowieckiej propagandy w szeregach wojska. Po powrocie do kraju, w pierwszej połowie 1946 r., przekroczył granicę polsko-niemiecką w okolicach Szczecina i dotarł do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Tam nawiązał kontakt z Jerzym Rübenbauerem, członkiem Delegatury MSW Rządu RP na Uchodźstwie. Od lutego 1946 do maja 1947 r. jako jego łącznik pełnił funkcję kuriera władz polskich w Londynie. Wielokrotnie przekraczał granicę polsko-niemiecką, aby przekazywać meldunki. Przebywał m.in. na terenie Szczecina, Krakowa, Jeleniej Góry. Dwukrotnie aresztowany przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Szczecinie. W styczniu 1948 r. zwolniony z braku dowodów, 25 lutego 1948 r. zatrzymany ponownie i przekazany do MBP w Warszawie. 18 października 1948 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie uznał go za winnego działalności szpiegowskiej na rzecz Rządu RP na Uchodźstwie i skazał na karę śmierci. 7 stycznia 1949 r. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy, a prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Henryk Pawłowski został stracony 3 lutego 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Ryszard Widelski (1913–1949), pseudonimy: „Irydion”, „Wiara”, „Wiesia”, „Władysław”, „Żbik”; żołnierz Armii Krajowej i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. W czasie okupacji niemieckiej pełnił w strukturach AK funkcję dowódcy plutonu w Obwodzie Praga. W 1945 r. ujawnił się przed UB, po czym ponownie zaangażował się w konspirację. Żołnierz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” od grudnia 1945 r. Od połowy 1946 r. kierował siatką

wywiadowczą Obszaru Centralnego, a następnie IV Zarządu Głównego WiN w Warszawie o kryptonimach „Syrena”, „Wista”. Bliski współpracownik Władysława Jedlińskiego „Marty” – zastępcy szefa Oddziału Informacyjnego IV Zarządu Głównego WiN. Aresztowany 10 lutego 1948 r. w Warszawie. 27 października 1948 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. 14 stycznia 1949 r. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy, a prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Ryszarda Widelskiego stracono 28 stycznia 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Wacław Walicki (1903–1949), pseudonimy: „111”, „Druh Michał”, „Pan Michał”, „Tesarro”; porucznik, oficer Komendy Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej, nauczyciel; konspiracyjne nazwisko: Wacław Lurdecki. W konspiracji Związku Walki Zbrojnej / AK od 1939 r. jako oficer wywiadu Dzielnicy „D” konspiracyjnego Garnizonu m. Wilna, następnie oficer informacyjny sztabu Inspektoratu „A” i zgrupowania partyzanckiego ppłk. Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego”. Aresztowany przez Sowieców w lipcu 1944 r. i osadzony w więzieniu na Łukiszkach, skąd został zwolniony w maju 1945 r. Ponownie włączył się w nurt działalności konspiracyjnej i od października 1945 r. jako adiutant Olechnowicza, a następnie jego zastępca odtwarzał wraz z nim struktury eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK. W ramach działalności Ośrodka Mobilizacyjnego Okręgu Wileńskiego AK stworzył własną siatkę konspiracyjną, składającą się z wileńskiej młodzieży. Aresztowany 23 czerwca 1948 r. w Szczawnie-Zdroju w trakcie ogólnopolskiej akcji „X”, wymierzonej w konspirację wileńską. Śledztwo prowadzone przez funkcjonariuszy MBP zakończyło się 8 października 1949 r. wydaniem przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie wyroku śmierci. 30 listopada 1949 r. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wacława Walickiego stracono 22 grudnia 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Sierpniowa konferencja jest – jak dotychczas – ostatnim takim spotkaniem, które odbyło się w siedzibie IPN. Kolejne, 28 lutego 2014 r., ma o wiele bardziej uroczystą oprawę. W komentarzach często słychać: wreszcie oprawę adekwatną do rangi wydarzenia. Nazwiska kolejnych zidentyfikowanych – tym razem aż dwunastu osób – są ogłaszane w Belwederze w obecności prezydenta.

Bronisław Komorowski, w 1990 r. wiceminister obrony narodowej i członek komitetu honorowego budowy pomnika upamiętniającego ofiary stalinizmu stracone w więzieniu przy Rakowieckiej, tak wspomina odsłonięcie owego symbolicznego muru:

– Pamiętam te chwile wielkiego wzruszenia, kiedy ten pomnik – bez stuprocentowej pewności, że stanie we właściwym miejscu – jednak stanął, u samego zarania wolnej Polski. Był odsłaniany z udziałem ówczesnego – pierwszego niekomunistycznego – premiera, Tadeusza Mazowieckiego.

Uroczystość była organizowana przez żołnierzy Wojska Polskiego, którzy w ten sposób odnajdowali swoją drogę do pełni tradycji, a także pełni udziału w dramacie historii narodu, którzy starali się pokazać to, że są w pełni częścią tej samej, trudnej, ale naszej wspólnej historii. Pamiętam również te zdumione spojrzenia, te myśli, szept, kiedy rozglądaliśmy się dookoła wokół pomnika na „Łączce” na Powązkach, gdzie było widać albo gdzie już istniały jakieś opinie co do tego, że jest coś dziwnego, iż w tym samym miejscu domniemanego pochówku rozstrzelanych czy zabitych w kazamatach UB gdzieś są też groby o wiele lat późniejsze, z zupełnie innej rzeczywistości. To już wtedy docierało do nas jako bolesna, niesłychanie trudna prawda.

Prezydent Komorowski zaznacza, że po 25 latach wolności mamy już pewność, że ćwierć wieku wcześniej pomnik stanął we właściwym miejscu.

– Jestem absolutnie przekonany, że trzeba wspólnym wysiłkiem zabrać o to, dbać, aby prace ekshumacyjne, identyfikacyjne były doprowadzone do końca. Przy całej świadomości skomplikowania tej sytuacji, przy maksymalnym zachowaniu wrażliwości, ostrożności i delikatności – proces wydobycia, a następnie identyfikacji musi być doprowadzony do końca. To jest zadanie numer jeden – podkreśla prezydent.

Prezes IPN, Łukasz Kamiński, dodaje, że jednym z najtrudniejszych problemów w zmaganiach z dziedzictwem systemu komunistycznego jest spuścizna zbrodni tego systemu.

– Przez lata wydawało się, że jedynym, co możemy zrobić, jest opisanie czasu masowych represji, symboliczne upamiętnienie ofiar, wzniesienie pomników, postawienie nielicznych żyjących sprawców przed sądem. Dzisiaj wiemy, że można zrobić więcej. Od przeszło dwóch lat, wspólnym wysiłkiem wielu instytucji i osób, przy wykorzystaniu możliwości wielu dyscyplin nauki udowadniamy, że możliwe jest nie tylko odnalezienie szczątków osób zamordowanych, ale także ich identyfikacja, a dzięki temu przywrócenie im – wbrew planom oprawców – imienia i nazwiska. W ten sposób wypełniamy nasz podstawowy obowiązek wobec ofiar, obowiązek wobec ich bliskich. Jestem przekonany, że jednocześnie przez tę pracę umacniamy fundamenty Rzeczypospolitej: fundament sprawiedliwości i fundament pamięci o tych, którzy w obronie Rzeczypospolitej oddali własne życie.

Prezes IPN przypomina, że przed nami wciąż dużo pracy: oprócz dokończenia badań na „Łączce” trzeba przebadać wiele podobnych miejsc w całym kraju.

– Nie spoczniemy, póki nie wykorzystamy każdej możliwości odnalezienia i zidentyfikowania szczątków naszych bohaterów, godnego ich pogrzebu i przywrócenia ich zbiorowej pamięci Polaków – zapewnia Łukasz Kamiński.

Doktor Andrzej Ossowski i dr hab. Krzysztof Szwagrzyk odczytują nazwiska zidentyfikowanych. Są to: **Jan Czeredys, Adam Gajdek, Roman Groński, Aleksander Adam Kita, Jerzy Miatkowski, Stanisław Mieszowski, Antoni Olechnowicz, Marian Orlik, Zbigniew Przybyszewski, Karol Rakoczy, Edmund Tudruj, Arkadiusz Wasilewski.**



Regina Litkę, córka mjr. Jana Czeredysa, odbiera notę identyfikacyjną ojca (fot. Piotr Życieński)

Profesor Szwagrzyk prezentuje zdjęcia z prac poszukiwawczych, objaśniając, gdzie kogo znaleziono. Jedna trzecia spośród tych osób, których identyfikację ogłoszono 28 lutego 2014 r., to podkomendni mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”: Roman Groński, Jerzy Miatkowski, Edmund Tudruj, Arkadiusz Wasilewski. Znaleziono ich w dole ośmioosobowym. Tym samym, do którego wrzucono ich dowódcę. A więc w sumie znamy już nazwiska siedmiu osób spośród ośmiu wrzuconych do tego dołu.



Józef Olechnowicz podczas uroczystości wręczenia not identyfikacyjnych w Belwederze (fot. Piotr Życieński)



Roman Groński (1926–1949), pseudonim „Żbik”, porucznik Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Od najmłodszych lat związany z Lubelszczyzną, pochodził z Kraśnika. Od listopada 1943 r. ukrywał się, aby uniknąć wywiezienia na roboty przymusowe do Niemiec. Od marca 1944 r. w oddziale Kedywu por. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Brał udział we wszystkich akcjach zbrojnych oddziału do lipca 1944 r. Walczył w czasie akcji „Burza”. Rozbrojony przez Sowieców. Od października 1944 r. ponownie w szeregach oddziału „Zapory”, przeszedł cały szlak bojowy do lata 1945 r. Ujawniony w sierpniu 1945 r., nie zaniechał działalności. Po powrocie „Zapory” z Czechosłowacji ponownie znalazł się w szeregach oddziału. Od czerwca 1946 r. dowódca patrolu żandarmerii, zwalczał pospólny bandytyzm. Po śmierci por. Michała Szere-

mickiego „Misia” objął dowództwo nad jego plutonem. Nie ujawnił się. 16 września 1947 r. w Nysie został zatrzymany przez UB w trakcie próby przedostania się na Zachód wraz z mjr. Hieronimem Dekutowskim „Zaporą”. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 15 listopada 1948 r. skazał Grońskiego na karę śmierci. Wyrok wykonano 7 marca 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Jerzy Miatkowski (1923–1949), pseudonim „Zawada”, żołnierz Armii Krajowej, podporucznik Zrzeszenia „Wolność i Niezawistość”. Pochodził z Jabłony k. Warszawy. Od 1943 r. żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, po którego upadku dostał się do niewoli niemieckiej. Uwolniony przez wojska amerykańskie. Po powrocie do Polski, w styczniu 1946 r., wstąpił w szeregi oddziału mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Służył w patrolu por. Jana Szaliłowa „Renka”. Niespełna pół roku później awansował do stopnia podporucznika i został adiutantem mjr. „Zapory”. Wiosną 1947 r. ujawnił się w związku z ogłoszoną przez władze komunistyczne amnestią i powrócił do stolicy. W obawie przed aresztowaniem zdecydował się na opuszczenie kraju wraz ze swym niedawnym dowódcą. Zatrzymany 15 września 1947 r. w Nysie wraz z mjr. Dekutowskim i jego najbliższymi współpracownikami. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 15 listopada 1948 r. skazał Jerzego Miatkowskiego na karę śmierci. Wyrok wykonano 7 marca 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Podporucznik „Zawada” został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Edmund Tudrzej (1923–1949), pseudonim „Mundek”, porucznik Armii Krajowej i Zrzeszenia „Wolność i Niezawistość”. Od najmłodszych lat związany z Lubelszczyzną, pochodził z okolic Lublina. W szeregach AK od 1943 r. Ukończył konspiracyjną Szkołę Podchorążych, a od 1944 r. służył w oddziale sierż. Stanisława Łukasika „Rysia”. W czasie akcji „Burza” rozbrojony wraz z od-

działem przez Sowietów pod Polanówką. Powrócił w rodzinne strony, gdzie w październiku 1944 r. został zatrzymany przez funkcjonariuszy NKWD. Wywieziony w głąb ZSRR, do obozu w Borowiczach, skąd powrócił w marcu 1946 r. Podjął pracę i kontynuował naukę, ale w maju 1946 r. ponownie dołączył do oddziału kpt. „Rysia” – początkowo jako prowiantowy, a następnie zastępca dowódcy jednego z patroli oddziału. Nie ujawnił się, w maju 1947 r. wyjechał na zachód Polski. Poszukiwany przez funkcjonariuszy komunistycznego aparatu represji, często zmieniał miejsce zamieszkania. Ostatecznie zdecydował się na opuszczenie kraju m.in. z mjr. „Zaporą” i kpt. „Rysiem”. 16 września 1947 r. aresztowali ich w Nysie funkcjonariusze UB. 15 listopada 1948 r. por. „Mundek” został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę śmierci. Stracony w więzieniu mokotowskim 7 marca 1949 r. wraz z mjr. „Zaporą” i pięcioma innymi współtowarzyszami. Odznaczony Krzyżem Walecznych.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Arkadiusz Wasilewski (1925–1949), pseudonim „Biały”, porucznik Armii Krajowej i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Pochodził ze Sterdyny na Podlasiu. Do AK wstąpił w 1943 r. po ucieczce z robót przymusowych, na które został skierowany po niemieckiej agresji na Polskę w 1939 r. Ukrywał w domu kobietę pochodzenia żydowskiego, której życie było zagrożone w wyniku polityki narodowościowej niemieckiego okupanta. Od

1943 r. żołnierz oddziału partyzanckiego w Obwodzie Sokotów Podlaski AK, a następnie kpt. Stanisława Łokuciewskiego „Małego” na Lubelszczyźnie. Po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Polski zgłosił się do wojska. Skierowany do Wojsk Wewnętrznych – formacji stworzonej do likwidacji antykomunistycznego podziemia zbrojnego, ukończył kurs w Centrum Wyszkożenia WW. W maju 1945 r. zdezerterował i wstąpił w szeregi zgrupowania mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” na terenie Lubelszczyzny. W sierpniu 1945 r. skorzystał z amnestii ogłoszonej przez władze komunistyczne i się ujawnił. W grudniu został aresztowany przez funkcjonariuszy UB za współpracę z podziemiem. Brutalnie przesłuchiwany na Zamku Lubelskim, nie przyznał się do zarzucanej mu działalności. Po zwolnieniu z więzienia w październiku 1946 r. powrócił w szeregi zgrupowania mjr. „Zapory”. Służył w patrolu por. Jana Szalitora „Renka” do sierpnia 1947 r., po czym podjął nieudaną próbę prze-

dostania się na Zachód. Aresztowany w punkcie kontaktowym w Nysie wraz ze współtowarzyszami walki. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 15 listopada 1948 r. skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 7 marca 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Najmłodszego, Karola Rakoczego, oprawcy wrzucili do jamy pięcio-osobowej, zlokalizowanej nieopodal pomnika ku czci ofiar stalinizmu. Obok znajdowała się jama grobowa Adama Gajdka. Pomnik rozebrano na potrzeby poszukiwań. Na fotografiach prezentowanych przez prof. Szwargryka widać jego fundamenty.

– Ten fundament jest bardzo płytki – zwraca uwagę profesor. – Dziś już wiemy, że to nie przypadek: pod spodem znajdowały się szczątki.



Karol Rakoczy (1928–1950), żołnierz Ruchu Oporu Armii Krajowej, następnie Narodowych Sił Zbrojnych. Jako szesnastolatek wiosną 1946 r. wstąpił do oddziału ROAK Obwodu „Mewa”, dowodzonego przez ppor. Tadeusza Kossobudzkiego „Czarnego”, a następnie por. Franciszka Majewskiego „Słonego”. W październiku 1947 r. wspólnie z oddziałem podporządkował się działającej na Mazowszu północno-zachodnim 11. Grupie Operacyjnej NSZ, dowodzonej przez por. Stefana Bronarskiego „Liścia”.

Aresztowany po walce z grupą operacyjną UB-KBW nieopodal Sinogóry w powiecie mławskim. Został postrzelony w kręgosłup, przez co stracił władzę w nogach. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 29 września 1949 r. skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 29 marca 1950 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Rodzice Karola Rakoczego również byli zaangażowani w działalność niepodległościową. Ojciec, Władysław, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. i kampanii wrześniowej 1939 r., żołnierz AK, aresztowany w 1947 r., został w trybie doraźnym skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Bydgoszczy na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie. Matka, Władysława, żołnierz AK, także aresztowana w 1947 r., została skazana przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Bydgoszczy na dożywotnie więzienie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Adam Gajdek (1915–1949), pseudonimy „Agata”, „Antek”, „Olek”; podoficer Wojska Polskiego, żołnierz Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Absolwent Podoficerskiej Szkoły Piechoty dla Małoletnich w Nisku. Podczas niemieckiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 r. służył w stopniu kaprała w 3. Pułku Strzelców Podhalańskich w Bielsku. Od 1940 r. łącznik ZWZ, następnie AK na terenie Rzeszowszczyzny.

W końcowym okresie okupacji niemieckiej pełnił funkcję referenta gospodarczego w Obwodzie AK Rzeszów. W październiku 1944 r. powołany do ludowego Wojska Polskiego – najpierw w Rejonowej Komendzie Uzuppełnień w Rzeszowie, następnie w Wojewódzkiej Komendzie Uzuppełnień w Katowicach. Cały czas kontynuował działalność niepodległościową w ramach organizacji „NIE”, Delegatury Sił Zbrojnych, a następnie Zrzeszenia WiN. Na początku września 1946 r., zagrożony aresztowaniem, zdezerterował i wyjechał do Krakowa, gdzie ukrywał się pod nazwiskiem Adam Wilanowski. W IV Zarządzie Głównym WiN, w kwietniu 1947 r., objął funkcję szefa siatki wywiadowczej o kryptonimie „Instytut Bakteriologiczny”. Aresztowany 17 października 1947 r. w Krakowie, po kilku tygodniach brutalnego śledztwa przewieziony do siedziby MBP w Warszawie. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 23 października 1948 r. skazał Adama Gajdka na karę śmierci. Wyrok wykonano 14 stycznia 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Podpułkownik Antoni Olechnowicz został znaleziony w tym samym czteroosobowym dole, co mjr „Łupaszka” i Henryk Borowy-Borowski. Oprawcy wrzucili ciało Olechnowicza bezpośrednio na mjr. Szendzielarza, też twarzą do dołu. Podobnie potraktowano podpułkowników Aleksandra Kitę i Mariana Orlika, przy czym tych dwóch znaleziono rzuconych jednego obok drugiego. Major Jan Czeredys był jedyną osobą w tej grupie zidentyfikowanych pochowaną w trumnie. Obok, w dole trzyosobowym, znaleziono szczątki dwóch komandorów: Stanisława Mieszkowskiego i Zbigniewa Przybyszewskiego. Olechnowicz, Kita, Orlik i komandorzy byli pogrzebani pod asfaltową ścieżką.

Teraz Witold Mieszkowski ma już pewność: kiedy półtora roku wcześniej, w sierpniu 2012 r., przemawiał podczas uroczystości odprowadzenia wydobytych szczątków, pomylił się zaledwie o kilka metrów, mówiąc, że być może stoi na grobie własnego ojca.



Jan Czeredys (1912–1948), major Wojska Polskiego. Urodził się w Turowie pod Warszawą. Przed agresją Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r. skończył Państwową Szkołę Budownictwa w Warszawie. W 1937 r. został mianowany podporucznikiem rezerwy. We wrześniu 1939 r. walczył w obronie twierdzy Modlin. W okresie niemieckiej okupacji udzielał się w strukturach konspiracyjnych Armii Krajowej. W drugiej połowie 1944 r. wstąpił do ludowego Wojska Polskiego. Objął funkcję szefa sekcji eksploatacyjnej w Departamencie Kwaterunkowo-Budowlanym Ministerstwa Obrony Narodowej. W 1948 r. padł ofiarą czystek politycznych w wojsku w tzw. sprawie kwatermistrzowskiej. Aresztowany 13 lutego wraz z płk. Jerzym Brońskim i ppłk. Stefanem Długotęckim, został niesłusznie oskarżony o udział w „monopolu prywatnych firm na dostawy do wojska”. 3 listopada 1948 r. Najwyższy Sąd Wojskowy skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 28 grudnia 1948 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Antoni Olechnowicz (1905–1951), pseudonimy: „Krzysztof”, „Kurkowski”, „Lawicz”, „Pohorecki”, „Meteor”, kapitan dyplomowany Wojska Polskiego, podpułkownik Armii Krajowej, ostatni komendant Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej i Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej.

W 1930 r. ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej w stopniu podporucznika, po czym rozpoczął studia w Wyższej Szkole Nauk Politycznych w Wilnie. W latach 1935–1937 studiował w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, którą ukończył w stopniu kapitana dyplomowanego. We wrześniu 1939 r. brał udział w wojnie obronnej Polski jako kwatermistrz 33. Dywizji Piechoty. Na początku października 1939 r. dostał się do niewoli sowieckiej, z której wkrótce zbiegł. Po powrocie do Wilna od razu podjął działalność niepodległościową w ramach Komisariatu Rządu, w którym został szefem wydziału wojskowego. Od grudnia 1939 r. w Służbie Zwycięstwu Polski, a następnie w Komendzie Okręgu Wileńskiego ZWZ jako szef Oddziału I (operacyjnego). Od lipca 1941 do połowy 1942 r. pełnił funkcję komendanta Garnizonu m. Wilna, przeniesiony następnie na stanowisko inspektora Inspektoratu „A” (obejmującego Wilno i powiat

wileńsko-trocki). W kwietniu 1944 r. objął dowództwo I Zgrupowania AK, którym dowodził podczas operacji „Ostra Brama”.

Jako jeden z nielicznych oficerów wileńskiej AK uniknął w lipcu 1944 r. aresztowania przez NKWD. Kontynuował działalność niepodległościową, w odtwarzanych Komendach Okręgu Wileńskiego najpierw pełniąc funkcję szefa Oddziału I, a następnie szefa sztabu i zastępcy komendanta. Od końca marca 1945 r. na stanowisku komendanta Okręgu Wileńskiego. Latem tegoż roku przeprowadził sprawnie ewakuację wileńskiego ośrodka dowódczego do Polski centralnej. Nie podporządkował się Dowództwu Sił Zbrojnych na Kraj, kontynuował samodzielnie działalność niepodległościową jako dowódca eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK. W sierpniu 1945 r. nawiązał bezpośredni kontakt ze Sztabem Naczelnego Wodza. W grudniu 1945 r. podporządkował sobie oddziały partyzanckie dowodzone przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę” (V i VI Brygadę Wileńską AK). W lutym 1947 r. przedostał się do Paryża, skąd po otrzymaniu instrukcji powrócił do kraju. Kontynuował działalność niepodległościową, dowodząc kadrowym Ośrodkiem Mobilizacyjnym Okręgu Wileńskiego AK. Aresztowany 26 czerwca 1948 r. we Wrocławiu w wyniku tzw. akcji „X” przeprowadzonej przez MBP, obejmującej żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego z Wileńszczyzny. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 2 listopada 1950 r. skazał Antoniego Olechnowicza na karę śmierci. Stracono go 8 lutego 1951 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Aleksander Adam Kita (1912–1952), podpułkownik Wojska Polskiego. Urodził się w Anopolu. Od najmłodszych lat związany z Lubelszczyzną. W 1932 r. zdał maturę w Lublinie, po czym rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Piechoty w Ostrowi-Komorowie. 15 października 1935 r. został mianowany podporucznikiem, 19 marca 1939 r. – porucznikiem służby stałej. W kampanii 1939 r. dowodził kompanią ckm 1. batalionu 45. pp 13. Dywizji Piechoty armii „Prusy”. Uczestniczył w walkach z niemieckimi oddziałami pancernymi pod Tomaszowem Lubelskim, odznaczył się w lasach spaliskich i w boju o przeprawę na Wiśle pod Ryczywołem, w ostonie odwrotu swojej dywizji, kiedy to zniszczył dwa czołgi niemieckie. Cofając się w kierunku Warszawy, trafił do niewoli. Okupację niemiecką spędził w obozach jenieckich, m.in. w oflagu IIC Woldenberg. Pod koniec stycznia 1945 r. został uwolniony przez Armię Czerwoną, po czym powrócił do rodzinne-

go domu. Wiosną podjął pracę w Kuratorium Oświaty w Toruniu, miesiąc później został powołany do ludowego Wojska Polskiego. Po przebytych kursie dla szefów sztabów pułków w Rembertowie skierowano go do 39. pp 12. DP, gdzie służył w sztabie pułku. Wiosną 1946 r. został awansowany na szefa sztabu. Z początkiem września 1947 r. został przeniesiony do Sztabu Generalnego WP. W 1950 r. awansowany do stopnia podpułkownika. Rok później wyznaczony na przewodniczącego podkomisji do spraw wytyczenia granicy polsko-sowieckiej, po czym skierowany do Oficerskiej Szkoły Samochodowej w Pile, gdzie pełnił funkcję wykładowcy, następnie dyrektora. Aresztowany 23 maja 1952 r. przez oficerów Zarządu Informacji pod nieprawdziwym zarzutem udziału w tzw. spisku w wojsku. Najwyższy Sąd Wojskowy 8 sierpnia 1952 r. skazał Aleksandra Kitę na karę śmierci. Jego skarga rewizyjna do Zgromadzenia Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego oraz prośba o ułaskawienie do prezydenta Bolesława Bieruta zostały odrzucone. Wyrok wykonano 3 grudnia 1952 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. 6 kwietnia 1956 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa uchylili wyrok z 8 sierpnia 1952 r.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Marian Orlik (1916–1952), podpułkownik Wojska Polskiego. Po zdaniu w 1936 r. egzaminu dojrzałości zgłosił się do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. Wojnę obronną we wrześniu 1939 r. rozpoczął w stopniu podporucznika w 2. pułku 1. Dywizji Piechoty Legionów. Na początku października dostał się do niewoli, w której przebywał do końca okupacji niemieckiej. W styczniu 1945 r. został uwolniony przez Armię Czerwoną, po czym wrócił do rodzinnych Szamotuł. Prace przy odtwarzaniu miejscowego gimnazjum przerwał w maju z powodu powołania do służby wojskowej. Po ukończeniu kursów w Centrum Wyszkolenia Piechoty w Warszawie został skierowany do 6. Dywizji Piechoty w Chrzanowie. Po pięciu miesiącach przeniesiony do sztabu 6. DP, gdzie awansował do stopnia majora. We wrześniu 1947 r. oddelegowano go do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. W połowie 1951 r. otrzymał awans na stopień podpułkownika, a pod koniec przeniesiony został do Centrum Wyszkolenia Medycznego w Łodzi. Praca wykładowcy przyczyniła się do jego rezygnacji ze służby w lutym 1952 r. Trzy miesiące później został zatrzymany przez oficerów Informacji Wojskowej pod nieprawdziwym zarzutem udziału w tzw. spisku w wojsku. Najwyższy Sąd Wojskowy

8 sierpnia 1952 r. skazał Mariana Orlika na karę śmierci. Wkrótce odrzucono jego skargę rewizyjną oraz prośbę do prezydenta Bolesława Bieruta o ułaskawienie. Został stracony 3 grudnia 1952 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Zbigniew Przybyszewski (1907–1952), komandor Marynarki Wojennej. Urodził się w Gizewie (powiat inowrocławski). Ukończył gimnazjum w Inowrocławiu, a w 1930 r. – Oficerską Szkołę Marynarki w Toruniu. Wiosną 1938 r. awansował na stopień kapitana, po czym objął dowództwo baterii im. Komandora Podporucznika Heliodora Laszkowskiego na Helu, którą umiejętnie dowodził we wrześniu 1939 r. podczas agresji Niemiec na Polskę. Między

innymi dowodzona przez niego bateria zwyciężyła w pojedynku ogniowym z niemieckimi pancernikami Schleswig-Holstein i Schlesien. Sam Przybyszewski został wówczas ranny. Do 1945 r. przebywał w niemieckich obozach jenieckich, m.in. w oflagu IIC Woldenberg, skąd dwukrotnie usiłował zbiec (bez powodzenia), po czym pod koniec stycznia 1945 r. został uwolniony przez Armię Czerwoną. W lipcu powołano go jako wykładowcę do służby wojskowej w Szkole Specjalistów Morskich. W 1946 r. organizował Samodzielny Dywizjon Artylerii Nadbrzeżnej. Został również wyznaczony na dowódcę Dywizjonu Ścigaczy, następnie awansowany na pomocnika szefa Oddziału Sztabu Głównego Marynarki Wojennej. Aresztowany 17 września 1950 r. przez oficerów Informacji Wojskowej pod nieprawdziwym zarzutem szpiegostwa. Najwyższy Sąd Wojskowy z 21 lipca 1952 r. skazał Zbigniewa Przybyszewskiego na karę śmierci. Wyrok wykonano 16 grudnia 1952 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Stanisław Mieszkowski (1903–1952), komandor Marynarki Wojennej. Urodził się w rodzinie inteligentkiej, jako jedno z pięciorga dzieci. Od najmłodszych lat związany z Piotrkowem Trybunalskim. Po wybuchu I wojny światowej wywieziony wraz z rodziną do Rosji, gdzie kontynuował przerwana w gimnazjum naukę. Po powrocie do Polski jako ochotnik wziął udział w wojnie

polsko-bolszewickiej, następnie zdał maturę i wstąpił do elitarnej Szkoły Podchorążych Piechoty w Warszawie, której nie ukończył. W 1924 r. zgłosił się do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej, której został absolwentem w stopniu podporucznika. Do 1939 r. odbywał studia specjalistyczne w zakresie artylerii morskiej. Był oficerem artylerii na niszczycielach „Grom” i „Błyskawica”. Jako specjalista brał udział w misjach nadzorczych budowy zamówionych przez Polskę okrętów, m.in. niszczycieli „Grom” i „Błyskawica”. We wrześniu 1939 r. dowodził kanonierką „Generał Haller”, uczestnicząc w obronie polskiego wybrzeża przed lotnictwem niemieckim, a następnie 3 września wraz z załogą okrętu wzmocnił załogę Helu, walcząc w obronie półwyspu do kapitulacji 2 października. Przez całą okupację przebywał w niemieckich obozach jenieckich. W styczniu 1945 r. został uwolniony przez Armię Czerwoną. Cztery miesiące później rozpoczął służbę w Głównym Urzędzie Morskim na stanowisku kapitana portu w Kołobrzegu. Na początku 1946 r. skierowany do Marynarki Wojennej w Gdyni. Pełnił kolejno funkcje dowódcy Flotyli Trałowców, następnie organizował Oficerską Szkołę Marynarki Wojennej w Gdyni (na Oksywiu), był p.o. komendantem tej szkoły. W 1947 r. objął stanowisko szefa Sztabu Głównego Marynarki Wojennej (od 1948 r. w stopniu komandora), a 15 listopada 1949 r. został dowódcą Floty. Aresztowany 20 października 1950 r. przez oficerów Zarządu Informacji Marynarki Wojennej w Gdyni pod nieprawdziwym zarzutem szpiegostwa. Najwyższy Sąd Wojskowy 21 lipca 1952 r. skazał Stanisława Mieszkowskiego na karę śmierci. Wyrok wykonano 16 grudnia 1952 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

– Dla nas dzień ten jest pierwszym dniem, w którym nie czujemy się obywatelami drugiej kategorii – mówi wzruszony do zebranych w Belwederze. – Zwłok mojego ojca poszukiwałem sześćdziesiąt lat. Trudno mi się dzisiaj mówi, ale muszę jednak to powiedzieć: na „Łączce” stała się rzecz straszna. Kto tam przynajmniej raz był, to to odczuwa. Zdjęcia nie oddają tej atmosfery. To musi być miejsce narodowej – powiedziałbym – dumy, a mniej tragedii.

Witold Mieszkowski odnosi się również do planowanego trzeciego etapu badań, polegającego na przebadaniu terenu pod nagrobkami z lat osiemdziesiątych:



Witold Mieszkowski po odebraniu noty identyfikacyjnej ojca przemawia w Belwederze w imieniu rodzin zidentyfikowanych (fot. Piotr Życieński)

– Będę teraz pragmatykiem. Wyobrażam sobie, że jednak tych pochowanych pod osłoną stanu wojennego z tych terenów oddanych w pacht trzeba będzie przenieść. I to będzie rola miasta stołecznego, rola zarządu cmentarza – po to, żeby ten trzeci etap, który podejmujemy, mam nadzieję, wspólnie, żeby został przeprowadzony.

Na koniec dodaje:

– Przybyłem tutaj dzisiaj ze swoimi wnukami, prawnukami kmr. Mieszkowskiego. To dla nich będzie to, co zrobimy na „Łączę” wszyscy razem. Nie dla nas.

Po uroczystości rodziny wsiadają do autokaru i przejeżdżają na północne obrzeża Warszawy. To tu, w chłodni cmentarza na Wólce Węglowej, szczątki ich najbliższych oczekują na pogrzeb. Ci, którzy w Belwederze usłyszeli nazwiska swoich ojców, wujów lub dziadków, mogą oddać hołd bliskim osobom, mając już pewność, że to właśnie ich szczątki.

W kaplicy domu pogrzebowego na Wólce panuje półmrok. Przed ołtarzem – rząd dwunastu małych trumienek, na każdej z nich – fotografia portretowa. W ławkach – pełne napięcia, wzruszone rodziny. Witold Mieszkowski we wspierającym geście przytula wnuczkę kmr. Zbigniewa Przybyszewskiego. Ksiądz prałat Józef Maj, wieloletni proboszcz parafii św. Katarzyny na Służewie, na której terenie znajduje się inne miejsce potajemnych pochówków z czasów komunizmu, odmawia krótką modlitwę w intencji zamordowanych. Podchodzi do każdej trumienki z osobna i – kłaniając się – skrapia ją wodą święconą.



Ksiądz Józef Maj modli się nad trumnami ze szczątkami zidentyfikowanych (fot. Piotr Życieński)

Rodziny podchodzą z kwiatami, czasem kładą na wieko obrazek z wizerunkiem któregoś ze świętych. To dla nich pierwszy kontakt z ojcami, wujami, dziadkami po ich śmierci. Nie mogli ich wcześniej dotknąć, pogłaskać, ucałować...

Wszyscy czekają na rozpoczęcie trzeciego etapu poszukiwań w kwarterze „Ł”. Wielu liczyło na to, że prace wystartują na wiosnę – w maju,

może w czerwcu 2014 r. Brano pod uwagę, by do szczątków znajdujących się pod nagrobkami postawionymi w latach osiemdziesiątych dostać się metodą bocznego podkopu górniczego, jednak ekspertyzy wykluczyły taką możliwość – zastosowanie takiego sposobu zakończyłoby się zawaleniem. Trzeba więc usunąć te nagrobki.

Władze miasta stołecznego Warszawy, odpowiedzialne za administrację cmentarza komunalnego, a także wojewoda mazowiecki, w którego gestii jest zarządzanie grobami wojennymi na podległym mu terenie, uznali, że obowiązujące przepisy nie pozwalają na naruszenie nagrobków z lat osiemdziesiątych, dlatego nie wydali zgody na prace poszukiwawcze. Instytut Pamięci Narodowej nie zgadza się z tymi decyzjami i występuje do Ministerstwa Sprawiedliwości o wydanie opinii prawnej. Ta jednak podtrzymuje stanowisko władz miasta i wojewody. A zatem niezbędna jest nowelizacja. W lipcu Kancelaria Prezydenta RP deklaruje przygotowanie odpowiedniego projektu ustawy.

Tymczasem ekipa z prof. Szwagrzykiem na czele przystępuje do pracy na nieprzebadanym jeszcze, a wolnym od nagrobków obszarze Powązek Wojskowych. Jest początek września. Wymarzona pogoda: słonecznie, ciepło, ale już nie gorąco. Czas pracy: od siódmej rano do późnego popołudnia – szesnastej lub siedemnastej – przez pięć dni, od wtorku do soboty.

Po drugim etapie do przekopania pozostał jeszcze kawałek powierzchni pod asfaltem. W drugim dniu trzeciego etapu, po oderwaniu fragmentu asfaltu i wykopania dołu na głębokość dwóch metrów – aż do calca – wiadomo już, że w tej części nie ma szczątków.

Wykopaliska trwają też niemal pod samym murem cmentarza. Archeolodzy znajdują tu trumny ułożone prostopadle do granicy nekropolii.

– To są pochówki sanitarne z lat 1950–1951, czyli np. bezdomni o nieznanym tożsamości. Dzięki ich odkryciu możemy już z całą pewnością wyznaczyć granice pochówków więziennych, których poszukujemy – wyjaśnia prof. Szwagrzyk.

W polu pochówków więziennych, do którego obecnie jest dostęp, archeolodzy odnajdują jeszcze dwa szkielety. Tylko jeden – znaleziony w pojedynczej jamie, co stanowi w tym miejscu wyjątek – udaje się podjąć w całości. Drugi można wydobyć tylko częściowo: nogi i część miednicy. Górna część szkieletu znajdowała się pod późniejszym nagrobkiem. Zostanie podjęta podczas ostatniego etapu prac, kiedy będzie można ruszyć pomniki z lat osiemdziesiątych.

– Nasada kości udowej tego więźnia jest wyraźnie ucięta, prawdopodobnie narzędziem mechanicznym – zwraca uwagę prof. Szwagrzyk. – Sądzę, że stało się to w latach osiemdziesiątych: ktoś, kto przygotowywał współczesne nagrobki, natrafił na wystające z ziemi szczątki i odpiłował je. Spodziewam się, że pod pomnikami z lat osiemdziesiątych takich przypadków będzie więcej.

Na identyfikację dwóch osób, których szkielety znaleziono na „Łączce” we wrześniu 2014 r., przyjdzie jeszcze poczekać. Tymczasem 28 września 2014 r., trzy tygodnie po zakończeniu badań – dzień po 75. rocznicy powstania Polskiego Państwa Podziemnego – następuje ogłoszenie wyników badań genetycznych osób znalezionych w 2012 i 2013 r. Imiona i nazwiska odzyskało ośmiu bohaterów: **Julian Czerwiakowski, Bolesław Cząścik, Stefan Głowacki, Bolesław Kontrym, Dionizy Sosnowski, Zygmunt Szymanowski, Ludwik Świder i Aleksander Tomaszewski**. Tak jak poprzednio, uroczystość odbywa się z udziałem prezydenta RP, tym razem w Pałacu Prezydenckim.



Prezydent Bronisław Komorowski otwiera uroczystość wręczenia not identyfikacyjnych (fot. Piotr Życieński)

Bronisław Komorowski zaznacza, że potajemne pochówki, kamuflowanie zbrodni, były regularnie – nie tylko na „Łączce” – stosowaną przez komunistów metodą. Dziś ujawniana jest prawda o nich. Prezydentowi ta sytuacja kojarzy się z odkrywaniem prawdy o Zbrodni Katyńskiej. Wspomina swój pobyt w katyńskim lesie w 1989 r., gdy towarzyszył premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu:

– Doszliśmy do cmentarza, który było widać gdzieś w tle. Stoją rosyjscy żołnierze i cmentarz jest jeszcze pełen zakłamania, bolesnego kłamstwa katyńskiego. To był rok 1989. I dla mnie największym źródłem satysfakcji i optymizmu jest to, że nie tak dawno mogłem, dokonując pewnych podsumowań, powiedzieć, że od tego czasu właściwie prawie wszystko się zmieniło. Prawie wszystko się udało. Nie wszystko. Ale są cmentarze – cmentarz katyński, który mówi prawdę, polską prawdę o tamtym dramatycznym czasie, jest cmentarz w Charkowie, jest cmentarz w Bykowni. Brakuje cmentarza ofiar z listy białoruskiej, brakuje dokumentów. Ale jakże wiele się udało zrobić! Pomyślałem sobie, że to jest największa satysfakcja, jeśli można uczestniczyć w procesie, który na końcu musi dać do myślenia wszystkim złym: że choćby nie wiem co, choćby sto lat minęło, choćby był aparat gigantycznego kłamstwa – i tak prawda wyjdzie na jaw. I tak prawdę da się wydobyć. Nie po to, żeby kogoś nienawidzić, ale po to, żeby czynić świat lepszym i mądrzejszym. Taki los nam przypadł w udziale. To jest nasze zadanie i jestem pewien, że to razem udźwigniemy – podsumowuje prezydent.

Prezes IPN, Łukasz Kamiński, podkreśla, że choć w odkrytych przez ekipę poszukiwawczą dołach śmierci leżą strzaskane szczątki Polskiego Państwa Podziemnego, to można spojrzeć na nie inaczej:

– Tak, to prawda, odkrywamy szczątki bohaterów Polskiego Państwa Podziemnego. Bohaterów, których usiłowano pohańbić i wymazać z naszej narodowej historii. Ale odkrywamy jednocześnie fundamenty. Bo historia Polskiego Państwa Podziemnego, tworzących je ludzi, dzisiaj może być dla nas fundamentem. Fundamentem, na którym budujemy od 25 lat wolną i niepodległą Polskę.

Doktor hab. Krzysztof Szwaagrzyk – jak zawsze – odsłania kulisy eks-humacji, prezentując zdjęcia. Większość zidentyfikowanych szczątków bohaterów znaleziono pod asfaltową ścieżką. Dionizego Sosnowskiego – na skraju kwatery „Ł-I”, czyli kwadratu 18 m × 18 m, na którym do niedawna stał pomnik upamiętniający ofiary komunizmu.



Dionizy Sosnowski (1929–1953), pseudonimy „Zbyszek”, „Józef”; absolwent kursu radiotelegrafistów Delegatury Zagranicznej Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, kapral podchorąży. Pochodził z Goniądza, szkołę średnią ukończył w Białymstoku. W 1948 r. przyjechał do Warszawy i podjął studia na Akademii Medycznej, jednak wkrótce z powodu zarzutów politycznych musiał je przerwać i zaczął pracę jako wychowawca w ośrodku

szkoleniowo-wychowawczym dla młodzieży.

Wiosną 1951 r., jako niezrzeszony, został wytypowany przez komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej na Złot Młodzieży w Berlinie, co postanowił wykorzystać do ucieczki na Zachód. Gdy wiadomość ta dotarła do Urzędu Bezpieczeństwa, w czerwcu 1951 r. nawiązał z nim kontakt agent Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Sosnowski został wciągnięty do operacji „Cezary”, czyli pozorowania przez MBP działalności w kraju Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” (tzw. V Komenda WiN).

Był nieświadomy prowokacyjnego charakteru organizacji. Jego wyjazd do Berlina zablokowano, lecz w nocy z 5 na 6 stycznia 1952 r. został przerzucony przez zieloną granicę do Niemiec. Trafił na zorganizowany przez Delegaturę Zagraniczną WiN we współpracy z polskimi władzami wojskowymi na uchodźstwie i przy pomocy amerykańskich instruktorów kurs radiotelegrafistów z elementami szkolenia dywersyjnego. Ukończył go w sierpniu 1952 r. W nocy z 4 na 5 listopada 1952 r. został zrzucony na spadochronie na Pomorzu (wraz ze Stefanem Skrzyszowskim *vel* Januszem Paterą). Po skoku został awansowany przez polskie władze wojskowe na uchodźstwie na stopień kaprala podchorążego rezerwy. Przywieziony sprzęt, wyposażenie i pieniądze przejęła „V Komenda WiN”.

W ramach likwidacji operacji „Cezary” został aresztowany 6 grudnia 1952 r. Po pokazowej rozprawie 18 lutego 1953 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na śmierć. Dionizy Sosnowski został stracony w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie 15 maja 1953 r. Na mocy ustawy z 23 lutego 1991 r. Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie 18 października 2000 r. uznał za nieważny wyrok WSR wobec Dionizego Sosnowskiego. Stwierdzono, że padł on ofiarą prowokacji MBP, a motywem jego działalności była chęć walki o niepodległy byt Państwa Polskiego. Sosnowski został Odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Szczególne wrażenie robi widok jamy grobowej Bolesława Części-ka. Jego nogi wystawały poza obręb jamy. Dół ten również znajdował się w kwaterze „Ł-I”. Szczątki były splecione z korzeniami modrzewia zasadzonego prawdopodobnie w latach sześćdziesiątych na miejscu tajnego pochówku.

– Nasi specjaliści musieli sobie z tym poradzić: wyciąć korzeń, nie naruszając szczątków – mówi prof. Szwagrzyk.



Bolesław Częścić (1924–1951), pseudonim „Orlik”; żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Urodził się w miejscowości Wola-Józefowo, gmina Krasnosielc, powiat Maków Mazowiecki. W okresie okupacji wstąpił do Narodowych Sił Zbrojnych. Po wejściu wojsk sowieckich służył w oddziale pod dowództwem Romana Dziemiszewicza „Adama”, „Pogody”. Brał udział w wielu akcjach zbrojnych

na terenie powiatów: ciechanowskiego, makowskiego, ostrołęckiego i pułtuskiego (uczestniczył m.in. w rozbiciu aresztu PUBP w Krasnosielcu na początku maja 1945 r., skąd uwolniono kilkudziesięciu żołnierzy AK i NSZ).

Po rozbiciu oddziału Dziemiszewicza Bolesław Częścić działał od 1946 r. w oddziale Pogotowia Akcji Specjalnej XVI Okręgu Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pod dowództwem Józefa Kozłowskiego „Lasa”. 22 kwietnia 1947 r. ujawnił się w Warszawie przed Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego na m.st. Warszawę. 13 września 1950 r. został aresztowany w Drewnicy (powiat Gdańsk). 7 kwietnia 1951 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na sesji wyjazdowej w Pułtusk skazał go na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 10 lipca 1951 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Przy szczątkach Zygmunta Szymanowskiego znaleziono fragmenty dwóch przedmiotów użytku osobistego: grzebienia i szczoteczki do zębów.

– To rzadkość. Przeważnie skazani nie mieli przy sobie takich przedmiotów – podkreśla Krzysztof Szwagrzyk.



Zygmunt Szymanowski (1910–1950), pseudonimy: „Jezierza”, „Lis”, „Bez”, „Cis”, „61”; nazwiska konspiracyjne: Antoni Piwowarski, Jan Sadowski; porucznik Armii Krajowej, oficer Okręgu Wileńskiego AK. Urodził się w Motulach, w powiecie suwalskim. Szkołę powszechną ukończył w Motulach, naukę kontynuował w szkole średniej w Suwałkach. We wrześniu 1928 r. wyjechał do

Lwowa i tam w kwietniu 1931 r. zdał maturę. W sierpniu 1931 r. został powołany do służby wojskowej i przydzielony do Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty w Krakowie. Ukończył ją w 1932 r. w stopniu plutonowego podchorążego i został skierowany do 19. pp we Lwowie. Czynną służbę wojskową zakończył we wrześniu 1932 r. (w 1935 r. podczas ćwiczeń rezerwy otrzymał stopień podporucznika, a w styczniu 1939 r. – porucznika).

W 1934 r. rozpoczął studia w Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie i na Politechnice Lwowskiej. W czerwcu 1939 r. uzyskał dyplom magistra nauk ekonomiczno-handlowych i absolutorium na Politechnice. We wrześniu 1939 r. jako dowódca kompanii ckm w 19. pp 5. Dywizji Piechoty brał udział w walkach pod Włocławkiem, Kutnem, Sochaczewem, Łodzią, Płockiem, bronił Modlina. Został dwukrotnie ranny – pod Płockiem i w Palmirach. Od 20 września 1939 r. przebywał w szpitalu w Modlinie. Stamtąd trafił do obozu jenieckiego w Działdowie, skąd zbiegł do Suwałk, gdzie został ponownie aresztowany. Po kolejnej ucieczce osiadł na Wileńszczyźnie i prawdopodobnie został członkiem Związku Walki Zbrojnej.

W 1942 r. rozpoczął działalność w AK jako szef komórki wywiadowczej wywiadu kolejowego w Wilnie. 20 września 1944 r. został aresztowany przez NKWD i w wyniku śledztwa skazany za działalność w AK na dziesięć lat pozbawienia wolności. 15 marca 1945 r. udało mu się uciec i ukrywał się w Wilnie, skąd 30 kwietnia 1945 r. wyjechał do Suwałk. Od września 1947 r. pod pseudonimami „Lis” i „Bez” działał w Ośrodku Mobilizacyjnym Okręgu Wileńskiego AK, tworząc siatkę wywiadowczą – zbierał informacje o działalności politycznej, gospodarczej i nastrojach społecznych. Aresztowany 22 czerwca 1948 r. w Szklarskiej Porębie w ramach akcji „X”, mającej na celu rozbięcie struktur Okręgu Wileńskiego AK, na początku lipca 1948 r. został osadzony w więzieniu na Mokotowie. 24 stycznia 1950 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 31 maja 1950 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

We wspólnej jamie znaleziono szkielety Stefana Głowackiego i Aleksandra Tomaszewskiego.



Stefan Głowacki (1903–1949), pseudonim „Smuga”, porucznik Armii Krajowej, oficer Okręgu Wileńskiego AK. Urodził się w Lublinie. W 1924 r. został wcielony do wojska, służył w 8. pp Legionów w Lublinie. Po zakończeniu służby pozostał w wojsku. W 1934 r. awansował na podporucznika. Przeniesiony do 17. pp w Rzeszowie, w 1938 r. awansował do stopnia porucznika. Wiosną 1939 r. został przeniesiony do Korpusu Ochrony Pogranicza w Augustowie.

W czasie kampanii wrześniowej brał udział w walkach w okolicach Augustowa i Suwałk. W listopadzie 1939 r. wyjechał do Wilna, gdzie od roku 1941 rozpoczął działalność w AK, pełniąc funkcję dowódcy podrejonu.

W kwietniu 1945 r. jako repatriant wyjechał z Wilna i przybył do Wrocławia. W marcu 1946 r. nawiązał współpracę z Ośrodkiem Mobilizacyjnym Okręgu Wileńskiego AK kierowanym przez ppłk. Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego”. 7 lipca 1948 r. został aresztowany w zasadzce w Dębowej Łące koło Leszna. 8 marca 1949 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 13 czerwca 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Aleksander Tomaszewski (1904–1949), pseudonimy „Al”, „Bończa”, nazwisko konspiracyjne: Tomasz Aleksandrowski; kapitan AK, oficer Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej. Urodził się w Wilnie. W 1926 r. został powołany do czynnej służby wojskowej w 86. pp w Mołodecznie. Po ukończeniu szkoły oficerskiej w Bydgoszczy w 1932 r. został przydzielony do pełnienia służby w 5. pp stacjonującym w Wilnie. Był tam dowódcą plutonu w stopniu porucznika. W czasie okupacji niemieckiej

oraz po wkroczeniu Sowieców do Wilna pełnił w strukturach Okręgu Wilno AK funkcję komendanta 1. Rejonu Dzielnicy D oraz komendanta Dzielnicy E Garnizonu m. Wilna. Zreorganizował łączność, zabezpieczył archiwa oraz magazyny broni i amunicji.

Pod koniec 1945 r. wyjechał do Polski. Początkowo zamieszkał w Jeleniej Górze, następnie we Wrocławiu. Po nawiązaniu kontaktu z ppłk. Antonim Olechnowiczem zdecydował się pozostać w konspiracji. Działał w Ośrodku Mobilizacyjnym Wileńskiego Okręgu AK, gdzie prowadził legalizacje i wywiad wojskowy. Ponadto utrzymywał łączność z grupami młodzieżowymi działającymi na Dolnym Śląsku, w Gdańsku i Łodzi. Od marca 1947 r. należał do ścisłego sztabu Komendy Okręgu Wileńskiego AK. Kierował działalnością wywiadowczą oraz kontrwywiadowczą prowadzoną przez żołnierzy AK. Jego mieszkanie we Wrocławiu było lokalem kontaktowym i miejscem przechowywania części archiwaliów konspiracji wileńskiej.

Aresztowany 26 czerwca 1948 r. wraz z ppłk. Olechnowiczem przez funkcjonariuszy WUBP w swoim mieszkaniu we Wrocławiu, w wyniku ogólnopolskiej przeprowadzonej przez MBP akcji „X”, skierowanej przeciwko żołnierzom polskiego podziemia niepodległościowego z Wileńszczyzny. Na początku lipca 1948 r. został osadzony w więzieniu na Mokotowie. 20 stycznia 1949 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 13 czerwca 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Julian Czerwiakowski, Bolesław Kontrym i Ludwik Świder zostali znalezieni tuż przy nagrobkach z lat osiemdziesiątych. Aby eksplorować ich jamy grobowe, niezbędne było zastosowanie szalunków, zabezpieczających przed osunięciem się ziemi.



Julian Czerwiakowski (1911–1953), pseudonimy „Jurerek”, „Jerzy Tarnowski”; żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, organizacji „NIE” i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Urodził się w Żurominie (powiat Sierpc). W 1932 r. został powołany do służby wojskowej, którą pełnił w Batalionie Mostowym w Kazuniu k. Modlina. Od 1942 r. był związany z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Podlegał kpt. Zygmunтови Ojrzyńskiemu „Ostaszewskiemu” – szefowi wywiadu Okręgu Warszawa NSZ. Jako kierownik wywiadu NSZ na obwód Warszawa-Śródmieście zorganizował komórkę obserwacyjno-wywiadowczą. W drugiej połowie 1943 r. (sierpień lub wrzesień) za pośrednictwem Ojrzyńskiego rozpoczął działalność w organizacji „Start” –

Ekspozyturze Urzędu Śledczego m.st. Warszawy Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, gdzie objął funkcję kierownika Placówki Śródmieście. Od kwietnia do października 1945 r. działał w organizacji „NIE” oraz Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”. Aresztowany przez UB 21 grudnia 1948 r. w swoim warszawskim mieszkaniu. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy 22 kwietnia 1952 r. skazał go na karę śmierci. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano 5 stycznia 1953 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Bolesław Kontrym (1898–1953), pseudonimy: „Żmudzín”, „Biały”, „Bielski”, „Cichocki”; oficer Policji Państwowej w II Rzeczypospolitej, major Wojska Polskiego, cichociemny, oficer Armii Krajowej. Urodził się w majątku Zaturce (powiat Łuck). Pochodził z rodziny o tradycjach niepodległościowych: przodkowie byli uczestnikami powstań listopadowego i styczniowego. W 1909 r. został oddany do szkoły kadetów w Kijowie, a następnie

w Jarosławiu nad Wołgą. Po wstąpieniu do armii carskiej w 1915 r. został wystany na front karpacki, gdzie dowodził oddziałem konnych zwiadowców w 127. i 660. pp. Od stycznia 1918 r. służył w 5. pułku ułanów II Korpusu Polskiego na Wschodzie, a po jego rozbrojeniu dostał się do niewoli niemieckiej, skąd uciekł i zgłosił się do Komendy Naczelnej 3. Polskiej Organizacji Wojskowej w Kijowie.

Po przedostaniu się do Archangielska uczestniczył w walkach z bolszewikami. W lipcu 1919 r. został aresztowany i po trzech miesiącach wcielony do Armii Czerwonej. W latach 1919–1920 brał udział w walkach na froncie fińskim. Za męstwo w walkach został trzykrotnie odznaczony i skierowany na studia do Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Od lutego 1922 r. wykonywał zlecenia wywiadowcze attaché wojskowego przy Poselstwie RP w Moskwie. Wobec zagrożenia aresztowaniem w grudniu 1922 r. nielegalnie wrócił do Polski.

Po zweryfikowaniu pełnił służbę w Straży Granicznej, a następnie od 1923 r. w Granicznej Policji Państwowej. Do września 1939 r. sprawował różne funkcje w Policji Państwowej, m.in. naczelnika Urzędu Śledczego w Białymstoku i kierownika wydziału śledczego w Wilnie.

19 września został internowany w obozie Kołotowo pod Kownem, skąd przez Estonię, Łotwę, Szwecję, Norwegię i Anglię 10 grudnia 1939 r. dotarł do Francji. Brał udział w walkach pod Narwikiem w Samodzielnej Brygadzie

Strzelców Podhalańskich. W roku 1940 przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie od 1941 r. pełnił służbę w 1. Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej. Zgłosił się do służby w kraju, został zaprzysiężony na rotę AK, a w kwietniu 1942 r. przeszedł szkolenie dywersyjne i spadochronowe w ramach kursu dla cichociemnych. W nocy z 1 na 2 września 1942 r. został zrzucony na placówkę „Rogi” na północny wschód od Grójca. Został przydzielony do „Wachlarza”, a od marca 1943 r. został szefem Kedywu Okręgu AK Brześć, następnie szefem Centrali Służby Śledczej Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa. Zorganizował i dowodził oddziałem „Sztafeta-Podkowa” (następnie „Podkowa”), wykonującym m.in. egzekucje na konfidentach i agentach gestapo. W Powstaniu Warszawskim dowodził 4. kompanią w zgrupowaniu Armii Krajowej mjr. Włodzimierza Zawadzkiego „Bartkiewicza” i równocześnie odcinkiem taktycznym w podobwodzie Śródmieście-Północ: Królewska–Kredytowa–pl. Małachowskiego. Z chwilą utworzenia 20 września 1944 r. Warszawskiego Korpusu AK został dowódcą III batalionu 36. pp Legii Akademickiej wchodzącego w skład 28. Dywizji Piechoty AK im. Stefana Okrzei. W czasie powstańczych walk był czterokrotnie ranny (m.in. 4 sierpnia w czasie szturm na budynek PAST-y, którym dowodził). Po Powstaniu przebywał w wielu obozach jenieckich, m.in. w obozie w Sandbostel, skąd zbiegł w kwietniu 1945 r. i przedostał się do 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, w której został dowódcą kompanii. Po dwóch latach powrócił do kraju i rozpoczął pracę w Centralnym Zarządzie Państwowego Przemysłu Fermentacyjnego w Warszawie. 13 października 1948 został aresztowany. Po czteroletnim śledztwie 26 czerwca 1952 r. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy skazał Bolesława Kontryma na karę śmierci. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano 2 stycznia 1953 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy 3 grudnia 1957 r. zrehabilitował Bolesława Kontryma.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Ludwik Jan Świder (1893–1952), pseudonim „Johann Puk”; major, oficer zawodowy Wojska Polskiego. W czasie I wojny światowej służył w armii Austro-Węgrów. W 1918 r. wstąpił do Wojska Polskiego. Służył w 26 pp. Był dowódcą kompanii, a później także batalionu. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, został ranny w walce. W 1926 r. przeniesiony do 27. pp w Częstochowie. W 1928 r. awansowany do stopnia majora.

W 1929 r. powierzono mu obowiązki dowódcy batalionu. W 1931 r. został przesunięty na stanowisko kwatermistrza. Od 1935 r. kierował Powiatową Komendą Uzuppełnień w Tarnopolu. W 1938 r. przeniesiony w stan spoczynku. W rzeczywistości zatrudniony na stanowisku kierownika agentury w Samodzielnym Referacie Informacyjnym Dowództwa Okręgu Korpusu nr IV w Łodzi, gdzie pracował do wybuchu wojny.

We wrześniu 1939 r. wraz ze swoją jednostką internowany w Rumunii. Od 1941 r. więziony w niemieckich obozach jenieckich dla polskich oficerów. Po wojnie przebywał w obozach dla przesiedleńców (dipisów). W 1949 r. zaangażowany przez mjr. Franciszka Miszczaaka „Stefana Redę” do pracy w ośrodku wywiadowczym w Quackenbrück, który podlegał naczelnym władzom RP na uchodźstwie. W 1950 r., wraz z całą placówką (w tym czasie pod kierownictwem mjr. Stanisława Laurentowskiego „Stanisława Lorenza”), przeniesiony do Barkhausen. W połowie 1950 r. wyznaczony na kierownika ekspozytury ośrodka w Berlinie, którą ulokowano w siedzibie Towarzystwa Pomocy Polakom. W tym czasie posługiwał się nazwiskiem Johann Puk. Zajmował się przesłuchiwaniami uciekinierów, werbowaniem współpracowników i organizowaniem dróg łączności z krajem.

23 lipca 1951 r., w porozumieniu z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, aresztowany przez służby sowieckie w Berlinie. Dopiero w lutym 1952 r. został przekazany do dyspozycji Departamentu Śledczego MBP. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 23 czerwca 1952 r. skazał Ludwika Świdra na karę śmierci. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano 19 grudnia 1952 r. Odznaczony Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Grażyna Kontrym-Sznajd, wnuczka legendarnego „Żmudzina”, dziękuje w imieniu rodzin zidentyfikowanych wszystkim zaangażowanym w prace poszukiwawcze z prof. Krzysztofem Szwaŕrzykiem na czele:

– Dzięki temu bohaterowie, patrioci polscy pomordowani przez komunistyczny reŕim, wreszcie doczekali się godnego pochówku. W przypadku akurat mojego dziadka to nie tylko sprawa pochówku, to również wyjaśnienie pewnych wątpliwości. I myśmy odetchnęli z ulgą, kiedy dowiedzieliśmy się, że szczątki dziadka znaleziono, ponieważ – i myślę, że w podobnej sytuacji znalazły się również inne rodziny – nie do końca było jasne, czy rzeczywiście egzekucję wykonano. Czy np. nie zabrali go Rosjanie, w dalszym ciągu torturowali – takie przypuszczenia mogły się pojawić.



Grażyna Kontrym-Sznajd, wnuczka Bolesława Kontryma, podczas uroczystości wręczenia not identyfikacyjnych (fot. Piotr Życieński)

Rektor Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. Andrzej Ciechanowicz, nietypowo – jak na przedstawiciela nauk przyrodniczych – przywołuje fragment wiersza Zbigniewa Herberta, który poeta poświęcił pamięci swojego krewnego zamordowanego w Katyniu, kpt. Edwarda Herberta:

*Tylko guziki nieugięte
przetrwały śmierć świadkowie zbrodni*

– Dzisiaj, po dwóch latach od powstania Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów wiemy, że śmierć, oprócz guzików, przetrwał kwas dezoksyrybonukleinowy, DNA, w którym przechowana została tożsamość ofiar – mówi prof. Ciechanowicz. – Nie da się wymazać człowieka. Zostaje ślad. Dzięki tym śladom udało się doprowadzić do identyfikacji, przywrócić człowieczeństwo, imię i nazwisko – do dzisiaj – 36 żołnierzy Rzeczypospolitej. Oni byli skazani na zapomnienie, na wymazanie z historii, a wrócili do swoich bliskich, do naszej zbiorowej pamięci i świadomości. Wrócili przede wszystkim dzięki swoim bliskim, dzięki swoim krewnym. Dziękuję państwu bardzo za to, że nam zaufali i powierzyli swój materiał genetyczny. Bez tego



Rektor Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. Andrzej Ciechanowicz, dziękuje krewnym zidentyfikowanych za oddanie materiału porównawczego do badań i zachęca do tego samego rodziny wciąż poszukiwanych (fot. Piotr Życieński)

nie byłoby możliwe zidentyfikowanie choćby jednego żołnierza. Ta prosta czynność – kilka sekund: wymaz z wewnętrznej strony policzka – tylko tyle, ale aż tyle, żebyśmy mogli się dzisiaj tutaj spotkać – podkreśla rektor.

Prosi jednocześnie obecne rodziny, żeby przekonały bliskich pozostałych ofiar do okazania bazie genetycznej takiego samego zaufania.

– Państwo są dla nich wiarygodni – zaznacza Ciechanowicz.

Skąd ten apel? W momencie, gdy jest wygłaszany, rodziny zaledwie około połowy ofiar znalezionych na „Łączce” oddały genetyczny materiał porównawczy. A bez materiału porównawczego nie ma szans na identyfikację.

Pół roku później, w przededniu kolejnego ogłoszenia wyników identyfikacji, podobny apel powtarza prezes IPN, Łukasz Kamiński.

1 marca, w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych, w Sali Kolumnowej Pałacu Prezydenckiego stoi pięć sztalug z zaczernionymi jeszcze portretami. Uroczystość rozpoczyna prezydent Bronisław Komorowski. Podkreśla, że odnalezienie niewydobytych jeszcze szczątków i upamiętnienie ofiar komunizmu musi zostać doprowadzone o końca:

– Chcę wyrazić moją głęboką nadzieję, że wspólnym wysiłkiem doprowadzimy również do tego, że bez zbędnego tracenia czasu sprawy, które powinny być załatwione jak najszybciej, bo czekały kilkadziesiąt lat na załatwienie, zostaną w końcu załatwione. Pragnę przypomnieć, że jest w sejmie i czeka na przeprowadzenie całego procesu legislacyjnego projekt ustawy, którą złożyłem z myślą o tym, aby właśnie usprawnić ten proces trwałego upamiętnienia „Łączki”, ale także innych analogicznych miejsc w całej Polsce. Sprawa nie jest łatwa. Dotyczy także innych pamięci, innych rodzin, dotyczy przecież ekshumacji. To są kwestie delikatne, wymagające umiejętnego działania. Ale ono musi zostać wykonane.

Prezes IPN, Łukasz Kamiński, przypomina, że do ustanowienia Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, w którym to dniu odbywa się uroczystość, potrzebne było odwrócenie kłamstw budowanych przez dziesiątki lat w czasach PRL. Po przemówieniu prezesa Kamińskiego (tekst tego przemówienia w całości został przytoczony na początku niniejszej książki) na sztalugach sukcesywnie pojawiają się twarze kolejnych czterech odnalezionych na powązkowskiej „Łączce”: **Mariana Kaczmarka, Józefa Kozłowskiego, Stanisława Kutryba i Edwarda Pytki**. Piąta osoba została odszukana na cmentarzu garnizonowym w Gdańsku. To niespełna osiemnastoletnia w momencie egzekucji **Danuta Siedzikówna „Inka”**, sanitariuszka z oddziału „Łupaszki”.



Danuta Siedzikówna (1928–1946), pseudonim „Inka”, sanitariuszka V Wileńskiej Brygady AK. Wstąpiła w struktury Armii Krajowej wraz z siostrą Wiesławą w grudniu 1943 r. Kilka miesięcy później ukończyła kurs sanitariuszki. Działała w siatce konspiracyjnej AK kierowanej przez leśniczego Stanisława Wołoncejca ps. „Konus” z Narewki. W październiku 1944 r. podjęła pracę jako kancelistka w nadleśnictwie w Narewce.

W czerwcu 1945 r. wraz z pracownikami nadleśnictwa została aresztowana przez NKWD i UBP pod zarzutem współpracy z podziemiem niepodległościowym. Uwolniona z konwoju aresztantów przez oddział V Wileńskiej Brygady AK, do którego dołączyła. Została sanitariuszką w oddziale „Konusa”, potem w szwadronach por. Jana Mazura „Piasta” i por. Marcina Plucińskiego „Mścistawa” w plutonie Zdzisława Badochy „Żelaznego”. Po rozformowaniu oddziału we wrześniu 1945 r. pod-

jęła naukę w gimnazjum w Nierośnie (gmina Dąbrowa Białostocka). W marcu 1946 r. „Inka” ponownie rozpoczęła działalność konspiracyjną, dołączając do oddziału, który operował na terenie Pomorza Gdańskiego. Dostała przydział sanitariuszki do szwadronu dowodzonego przez Zdzisława Badochę. Wykonywała również zadania łączniczki, a czasem także zwiadowcy. W trakcie wielu akcji przeprowadzonych przez szwadron udzielała pomocy medycznej kolegom z oddziału oraz jednemu z rannych milicjantów. Ostatnią misją „Inki” była podróż po zaopatrzenie medyczne do Malborka, Gdańska i Olsztyna, zlecona przez Olgierda Chrystę „Leszka”.

Aresztowana w lokalu konspiracyjnym w nocy z 19 na 20 lipca 1946 r. w Gdańsku-Wrzeszczu. Brutalne śledztwo, w którym była poniżana i torturowana, zmierzało do wydobycia z niej informacji o działalności oddziału mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Siedzikówna nikogo nie wydała. Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku 3 sierpnia 1946 r. skazał ją na dwukrotną karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Czekając na wykonanie wyroku, z więzienia karno-śledczego przy ul. Kurkowej w Gdańsku przekazała krewnym gryps: „Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedźcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba”. Wyrok na niespełna osiemnastoletniej „Ince” wykonano 28 sierpnia 1946 r. Według relacji przymusowego świadka egzekucji, ks. Mariana Prusaka, ostatnie słowa „Inki” brzmiały: „Niech żyje Polska! Niech żyje »Łupaszko«!”.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Krzysztof Szwagrzyk tradycyjnie tłumaczy, jak wyglądała droga do odnalezienia bohaterów, którzy odzyskali tożsamość. Szczątki Stanisława Kutryba wydobyto z kwatery „Ł-I”, gdzie w pierwszej kolejności prowadzono prace poszukiwawcze. Kutryb był pogrzebany w pojedynczej jamie. To wyjątek, bo – jak wiadomo – na „Łączce” najczęściej grzebano w mogiłach zbiorowych. Do wyjątków należy też to, że przy szczątkach znaleziono osobisty przedmiot: medalik z wizerunkiem Matki Boskiej Kodeńskiej.

Notę identyfikacyjną odbiera Krystyna Majk, bratanica Stanisława Kutryba. Uczucie towarzyszące informacji, że znaleziono szczątki, opisuje krótko:

– Jakbym jakiegoś cudu doświadczyła.

Szukała stryja przez całe życie. Nie zdążyła zetknąć się z nim osobiście. Znała go wyłącznie z opowiadań i jedyne zachowane zdjęcie, które



– Informacja o identyfikacji była dla mnie jak cud – mówi Krystyna Majk, bratanica Stanisława Kutryba (na zdjęciu trzyma portret stryja); obok (od lewej): Teresa Kondrat (siostra Krystyny Majk), Elżbieta Majk (córka Krystyny), Lidia Krasuska (córka Teresy Kondrat), Józef Majk (mąż Krystyny) (fot. Piotr Życieński)

miała jego naręczona. Ojciec pani Krystyny, Bolesław – o trzy lata młodszy brat Stanisława – nie dożył momentu identyfikacji.

Bolesława Kutryba też dosięgły represje. W 1946 r. został aresztowany i osadzony w więzieniu w Działdowie, potem przeniesiony do Przasnysza. Tam przetrzymywano go w karcerze. Musiał albo stać, albo kucać. Miał pół godziny spaceru. Przesłuchiwano go codziennie od 8.00 do 15.00.

Krystyna Majk:

– Było tak: pytania – baty, pytania – baty. Nie wiem dokładnie, ile to trwało, ale na pewno kilka tygodni. A ojciec naprawdę nie wiedział, gdzie jest brat.

Matka Stanisława i Bolesława zmarła w lutym 1947 r.

– Płakała, że wychowała dwóch synów, a ani jednego nie ma przy sobie w momencie śmierci, że nie będzie ich na jej pogrzebie – dodaje Krystyna Majk.

Bolesław Kutryb wyszedł na wolność na wiosnę 1947 r.

– Przekonali się, że nie zdołają z niego nic wydusić. Od prokuratora wojskowego usłyszał: „Won, psie jeden, nie chcę cię tu więcej widzieć” – mówi córka.

Jeszcze w czasach PRL do Bolesława Kutryba docierały pogłoski, że ktoś widział Stanisława gdzieś na Mazurach. Ale on nie wierzył. Uważał, że gdyby brat żył, odszukałby rodzinę.

Na początku lat dziewięćdziesiątych wpadł na pomysł, żeby opisać sprawę w liście do Polskiego Radia. Napisała córka. W odpowiedzi dostała radę, żeby zwrócić się do Sądu Najwyższego o informację, czy wyrok na Stanisławie Kutrybie został wykonany. Uzyskali odpis wykonania wyroku. Dowiedzieli się w ten sposób o dacie śmierci i o tym, że Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wciąż jednak nie mieli pojęcia, gdzie jest pochowany. Dziś pani Krystyna mówi:

– Ile razy przejeżdżałam koło Powązek, tyle razy intuicyjnie kierowałam oczy na ten cmentarz.

Potem ktoś ze znajomych rzucił przypuszczenie, że może stryj jest właśnie na „Łączce”. Ale pani Krystyna nie wiedziała, gdzie to jest, nie mieszka w Warszawie. Poprosiła nawet mieszkającą w stolicy córkę, żeby we Wszystkich Świętych spróbowała poszukać jakiegoś upamiętnienia. Nie znalazła. Ale wkrótce jej starsza siostra usłyszała w radiu apel dr. Andrzeja Ossowskiego o oddawanie materiału genetycznego i przekazała tę informację mamie. Pani Krystyna nie wahała się ani chwili.



Stanisław Kutryb (1925–1949), pseudonimy „Ryś”, „Rekin”, żołnierz Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Urodził się w Oborczykach (powiat Przasnysz). We wrześniu 1946 r., po otrzymaniu karty powołania do ludowego Wojska Polskiego zaczął się ukrywać, a w dwa miesiące później dołączył do oddziału partyzanckiego PAS XI Okręgu NZW dowodzonego przez Józefa Kozłowskiego „Łasa”. W styczniu 1947 r. został przydzielony do patrolu Bolesława Szyszki „Klona”, operującego

w powiatach Ostrołęka i Przasnysz. Okresowo pełnił służbę ochronną przy sztabie XVI Okręgu NZW. Po reorganizacji okręgu z wiosny i lata 1947 r. został skierowany do patrolu PAS Komendy Powiatu NZW o kryptonimie „Orłowo”, dowodzonego przez Wacława Mówińskiego „Szczygła”. W lipcu 1948 r. Stanisław Kutryb przeszedł do patrolu KP „Płomień”. Ukrywał się wraz ze Stanisławem Bączkiem „Wiewiórką”

w leśnym bunkrze na terenie gminy Baranowo. Obaj partyzanci, zadenuncjowani przez TW „Błyskawicę”, zostali ujęci 3 października 1948 r. przez grupę operacyjną UB. Kutryba osadzono w areszcie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Przasnyszu, skąd 14 grudnia 1948 r. został przeniesiony do więzienia na Mokotowie. Po pokazowej rozprawie na sesji wyjazdowej w Przasnyszu 15 stycznia 1949 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyrok w mocy. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Stanisław Kutryb został stracony 19 maja 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Ujęty wraz z nim Stanisław Bączek „Wiewiórka” także został skazany na karę śmierci i stracony w tym więzieniu w maju 1949 r.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Dwóch żołnierzy – Józefa Kozłowskiego i Mariana Kaczmarka – znaleziono pod asfaltową ścieżką. Ten drugi znajdował się na granicy kwatery „Ł-II”, zajętej przez nagrobki z lat osiemdziesiątych. Na slajdach widoczna jest ławeczka należąca do kwatery „Ł-II”. Na czas ekshumacji trzeba ją było rozebrać.

– Obraz pokazuje skalę trudności, które musimy pokonać, aby móc dotrzeć do poszczególnych szczątków – mówi Krzysztof Szwagrzyk.



Marian Kaczmarek (1904–1953), pseudonim „Paweł”, maszynista kolejowy, kurier emigracyjnego ośrodka wywiadowczego w Barkhausen. Urodził się w Kornowie (powiat Leszno). Z wykształcenia był ślusarzem. Do 1939 r. pracował jako monter w Polskich Kolejach Państwowych w Poznaniu. W czasie okupacji w dalszym ciągu był pracownikiem kolei. W tym czasie pomógł w ucieczce dwóm sowieckim jeńcom, skierowanym do pracy przy parowozach. Po zakończeniu wojny uczestniczył w odbudowie polskiego kolejnictwa w Poznaniu. Obsługiwał pociągi osobowe jako pilot maszynista na trasie Poznań–Frankfurt nad Odrą. Od wiosny 1949 r. do kwietnia 1952 r. był związany z ośrodkiem wywiadowczym Barkhausen, podlegającym polskim władzom emigracyjnym w Londynie. Jako kurier przewoził przez granicę pomiędzy Polską a NRD osoby kierowane do niego przez ekspozyturę ośrodka w Berlinie. Transportował i dostarczał pod wskazane adresy pocztę wywiadowczą.

Jego kontaktem była Maria Ginter, stanowiąca kolejne ogniwo komunikacyjne pomiędzy centralą ośrodka wywiadowczego w Barkhausen a Marianem Kaczmarkiem. Aresztowany przez UB 6 kwietnia 1952 r. w swoim poznańskim mieszkaniu. Proces został utajniony i odbywał się bez udziału obrońcy. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 7 listopada 1952 r. skazał Mariana Kaczmarka na karę śmierci. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano 7 kwietnia 1953 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl



Józef Kozłowski (1910–1949), pseudonimy: „Las”, „Vis”, „J. Kawecki”, komendant Okręgu XVI Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Urodził się w Demeniu na Łotwie. W latach 1931–1932 służył w 5. pp Legionów w Wilnie i uzyskał stopień podoficerski. Pracował jako gajowy w powiecie Stara Wilejka. Od 1940 r. w szeregach organizacji konspiracyjnej na terenie okupowanej Wileńszczyzny, później w Związku Walki Zbrojnej / Armii Krajowej. Pod koniec 1943 r. został zmobilizowany

przez władze okupacyjne do białoruskiej formacji policyjnej, której zadaniem była ochrona miejscowej ludności przed sowiecką partyzantką (prawdopodobnie został tam skierowany przez AK). Pododdział tej grupy kwaterujący w Starej Wilejce, składający się w znacznym stopniu z Polaków, nazywano potocznie Legionem Polskim. Jednostka ta, szybko ewakuowana przez Niemców na zachód, nie zdążyła dołączyć do partyzanckich brygad AK w czasie akcji „Burza” na Wileńszczyźnie. Uczyniła to dopiero na terenie powiatu Ostrołęka, gdzie zlikwidowała niemieckiego dowódcę i dołączyła do oddziału partyzanckiego 5. pułku ułanów AK, dowodzonego przez ppor. Kazimierza Stefanowicza „Asa”. Józef Kozłowski na czele swych kresowych podkomendnych uczestniczył w walkach z Niemcami w ramach operacji „Burza” w okolicach miejscowości Jazgarka, Karaska i Charcibałda. Działalność niepodległościową kontynuował następnie w Obwodzie Armii Krajowej / Armii Krajowej Obywatelskiej Ostrołęka, uczestnicząc w wielu akcjach samoobrony przed komunistycznym aparatem represji.

Jesienią 1945 r. przeszedł wraz z podkomendnymi do XVI Okręgu NZW dowodzonego przez kpt. Zbigniewa Kuleszę „Młota”. Pełnił funkcję szefa Pogotowia Akcji Specjalnej w powiecie ostrołęckim, a następnie na terenie całego XVI Okręgu NZW Mazowsze. Dowodził wieloma akcjami

bojowymi przeciwko siłom Urzędu Bezpieczeństwa, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i milicji. Po ujawnieniu się kpt. „Młota” został 20 maja 1946 r. wybrany przez kadrę dowódczą średniego szczebla na stanowisko komendanta XVI Okręgu NZW (zmienił kryptonim okręgu na „Orzeł”). Przyjął wówczas nowy pseudonim – „Vis”. Zreorganizował XVI Okręg NZW, powołując siedem komend powiatowych, których sztaby działały jako ruchome grupy partyzanckie. Uruchoił akcję informacyjno-propagandową, zwalczał przestępczość pospolitą. W wyniku donosu agenta UB „Zadrożnego” został 25 czerwca 1948 r. otoczony wraz ze swym sztabem w bunkrach nieopodal wsi Gleba (gmina Kadzidło). W akcji przeciwko kilkunastoosobowej grupie partyzantów brało udział ponad 50 plutonów 1. i 2. Brygady KBW, tj. ponad 1500 żołnierzy, cztery samoloty i artyleria. Po całodziennej walce i nieudanej próbie przebicia się obrona partyzancka została przełamana (czterech poległo, dziewięciu – w tym dwóch rannych – oraz dwie kobiety i dziecko wpadło w ręce komunistów). Ranny Józef Kozłowski został przewieziony do Warszawy, gdzie przeszedł ciężkie śledztwo. 29 kwietnia 1949 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na sesji wyjazdowej w Ostrołęce został skazany na karę śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Józef Kozłowski został stracony 12 sierpnia 1949 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie (wraz z nim zginęli jego najbliżsi współpracownicy: Czesław Kania „Nałęcz”, Bolesław Szyszko „Klon” i Piotr Macuk „Sęp”).

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Pod samym murem granicznym cmentarza znaleziono szczątki Edwarda Pytki. Prace przy jego jamie grobowej po raz pierwszy prowadzono w maju 2013 r., ale wówczas przez tydzień padał deszcz i dlatego trzeba było je przerwać. Powrócono do nich we wrześniu 2014 r.

Krzysztof Szwagrzyk wspomina:

– Kiedy doprowadziliśmy do odkrycia jamy grobowej, stwierdziliśmy z całą pewnością, że jest to ostatni pochówek więzienny w tym rzędzie więziennych pochówków. Zaraz za nim zaczynają się tzw. pochówki sanitarne tuż przy murze. A więc jest to ostatni Żołnierz Niezłomny pochowany w tym rzędzie pod samym murem cmentarza. Kiedy udało się odkryć całą jamę grobową, stwierdziliśmy, że miał przed śmiercią związane ręce. Widzimy to po charakterystycznym ułożeniu jego ramion – wyjaśnia profesor.



Edward Pytko (1929–1952), podporucznik pilot, instruktor w Oficerskiej Szkole Lotniczej nr 5 w Radomiu. Urodził się w Wiewiórcie (powiat Dębica), gdzie ukończył szkołę powszechną. Kontynuował naukę w Gimnazjum Przemysłowo-Radiotechnicznym w Dzierżoniowie. W 1949 r. jako ochotnik wstąpił do wojska. Został skierowany do Oficerskiej Szkoły Lotniczej, gdzie ukończył kurs pilotażu, a następnie w 1951 r. kurs pilotażu na samolotach myśliwskich. Od 26 sierpnia 1951 r. służył na stanowisku pilota instruktora w Oficerskiej Szkole Lotniczej nr 5 w stopniu chorążego, 30 kwietnia 1952 r. awansowany do stopnia podporucznika. 7 sierpnia 1952 r., w trakcie lotu treningowego jakiem-9, postanowił uciec na Zachód. Zdecydował się na to, ponieważ był inwigilowany i szykanowany za odmowę współpracy z komunistyczną bezpieką. Chciał przez Czechosłowację dotrzeć do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Austrii. Wylądował w strefie radzieckiej na lotnisku Wiener Neustadt – właściwą nawigację uniemożliwiły mu gęste chmury. Został zatrzymany przez wojska radzieckie i przekazany władzom w Polsce. Sąd Wojsk Lotniczych 18 sierpnia 1952 r. skazał Edwarda Pytkę na karę śmierci. Najwyższy Sąd Wojskowy na posiedzeniu 21 sierpnia 1952 r. nie uwzględnił skargi rewizyjnej i utrzymał wyrok w mocy. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano 29 sierpnia 1952 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Na podstawie: www.poszukiwania.ipn.gov.pl

Szwagrzyk podkreśla, że każda identyfikacja przynosi nowe informacje o chronologii pochówków. A właściwie braku chronologii. Tak było i tym razem: stracony w 1949 r. Stanisław Kutryb został pochowany w rzędzie grobów z 1948 r. Marian Kaczmarek, stracony w 1953, leżał razem z pochowanymi w roku 1951. Takich sytuacji należy się spodziewać do końca identyfikacji.

W porównaniu z pracą na „Łączce” poszukiwania na cmentarzu garnizonowym w Gdańsku można określić jako wręcz komfortowe.

Profesor Szwagrzyk:

– Wiedzieliśmy, że mamy pojechać na gdański cmentarz garnizonowy dzięki dokumentowi, który odnalazł dwa lata temu Waldemar Kowalski z Gdańska, za co mu serdecznie dziękujemy. Wiedzieliśmy, że Danuta Siedzikówna prawdopodobnie jest pochowana z Feliksem Selmanowiczem

„Zagończykiem” gdzieś tutaj na tej kwaterze. Kiedy wykonaliśmy tę pracę, trzeciego dnia natrafiliśmy w tym miejscu, które widzimy tutaj – pod chodnikiem i obok tego chodnika – na cztery jamy grobowe. Najważniejsza dla nas znajduje się w środkowej części. W jednym dole obok siebie – dwie skrzynie bez wieka. Z lewej strony – szczątki Danuty Siedzikówny „Inki”. Głębokość wykopu to 49 cm. Danuta Siedzikówna została pochowana w butach i w ubraniu, o czym świadczą znalezione przy niej guziki.

W imieniu rodzin zidentyfikowanych ekipie poszukiwawczej dziękuję wzruszony Maciej Pawełek, członek rodziny Danuty Siedzikówny:

– Zostaje jeszcze jedna prośba: o normalny pochówek. Aby sprawiedliwości dziejowej stało się zadość.

Podczas tej samej uroczystości Andrzej Krzysztof Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, mówi:

– Na sztandarze wręczonym Polskim Siłom Powietrznym w bazie Swinderby 16 lipca 1941 r. poświęconym przez bp. Józefa Gawlinę wyhaftowane były słowa: „Miłość żąda ofiary”. Generał Ujejski, który odbierał z rąk gen. Sikorskiego ten sztandar, zapowiedział, że lotnicy będą walczyli do końca, w imię tej zasady nie szczędząc życia. Z całkowitą pewnością nie przypuszczał gen. Ujejski, kiedy mówił te słowa i kiedy lotnicy odbierali sztandar – który natychmiast nazwali sztandarem-relikwią, bo uświęcony został otarciem o obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej w Ostrej Bramie w okupowanym Wilnie – nie przypuszczali, że to motto, to przesłanie, stanie się także przesłaniem dla bardzo wielu żołnierzy Polski Podziemnej. Także dla Żołnierzy Wyklętych. Jeden z nich, jeden z trzech pierwszych straconych w więzieniu już komunistycznym, na Zamku Lubelskim, 15 listopada 1944 r., w ostatnim pożegnalnym liście do żony, przed egzekucją, napisał: „Miłość żąda ofiary. Ginę za to, co w życiu uznałem za najpiękniejsze”. Jeżeli dla nich to hasło było czymś najważniejszym, to dla nas równie ważnym powinno być np.: „Jeżeli miłość żąda ofiary, to ofiara też żąda”. Żąda od nas pamięci, wdzięcznej pamięci, i narodowej, i państwowej. Żąda upamiętnienia godnego, żąda pochówku godnego, żąda oddania sprawiedliwości i żąda, czasem po wielu dziesiątkach lat, nadania sensu tamtej śmierci, często w tamtym momencie – wydawałoby się – bezsensownej.

PANTEON, CZYLI MIEJSCE GODNEGO SPOCZYNKU

Kiedy ruszył program poszukiwań, część rodzin była nastawiona na to, że ich bliscy, którym uda się przywrócić nazwiska, spoczną w grobach rodzinnych. Szybko jednak udaje się osiągnąć konsens co do tego, że bohaterowie powinni zostać ponownie pochowani w tym miejscu, w którym zostali odnalezieni. Gorącym orędownikiem tej koncepcji jest prof. Krzysztof Szwańczyk.

W grudniu 2014 r. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa ogłasza konkurs na opracowanie koncepcji architektonicznej panteonu-mauzoleum ofiar zbrodni komunistycznych. Sekretarz ROPWiM, Andrzej Krzysztof Kunert, podczas uroczystości ogłoszenia wyników identyfikacji w Pałacu Prezydenckim zapowiada, że nazwiska zwycięzców konkursu zostaną podane za osiem dni – 9 marca 2015 r. Dzięki temu – jak zapewnia – możliwe będzie wybudowanie panteonu do 27 września 2015 r., dnia Polskiego Państwa Podziemnego. Na ten dzień zaplanowano pogrzeb dotychczas odnalezionych. Jednym z warunków postawionych projektantom było uwzględnienie tego, że wciąż przed nimi są poszukiwania w kwaterze „Ł-II”, czyli części zajętej jeszcze przez późniejsze nagrobki. Projekt miał być zatem taki, żeby dało się go zrealizować w dwóch etapach.

Do ogłoszenia wyników konkursu rzeczywiście dochodzi w zapowiedzianym terminie. Niestety, dwa dni później pojawiają się poważne wątpliwości co do oryginalności zwycięskiego projektu. Ostatecznie wybrano pracę Jana Kuki z Katowic i Michała Dąbka z Krakowa, pierwotnie uhonorowaną wyróżnieniem.

„Praca definiuje panteon-mauzoleum jako kompozycję zespołu monumentalnych, rozsuniętych pomiędzy sobą betonowych filarów. Struktura prostopadłościennych modułów mauzoleum przeniesiona została na poziom dachu, wyznaczając wnętrze o wyrazistej grze światła, tworząc wydzielone wnętrze sprzyjające kontemplacji. Restrykcyjna geometria założenia, ażu-



Msza pogrzebowa pod przewodnictwem biskupa polowego Wojska Polskiego, gen. Józefa Guzdko, Warszawa, pl. marsz. Józefa Piłsudskiego, 27 września 2015 roku (fot. Piotr Molecki/Kancelaria Prezydenta RP)

rowość kompozycji, wyrazista kratownica zawieszona na wysokości 3,4 m daje atmosferę sprzyjającą modlitwie i kontemplacji. Rozerwanie struktury dachowej pokazuje rozerwanie ciągłości historii i jej dramatyzm. Silna koncepcja stworzona z niewielkiej liczby jednolitych materiałów. Komory pochówkowe zlokalizowano w betonowych pylonach; tablice identyfikacyjne – betonowe, z tłoczonymi informacjami o chowanych bohaterach. Przyszły plac na terenie »Łączki« B skomponowany z przeniesieniem w planie motywu modularnego kompozycji głównej” – czytamy w opisie projektu.

Wyróżnienie przyznano – jak informuje sąd konkursowy – „za silny wyraz przestrzenny pracy, konsekwencję przeprowadzenia koncepcji i charakter wnętrza panteonu-mauzoleum, tworzony przez surowość materiału i światła”.

W słoneczny niedzielny poranek 27 września 2015 roku, w 76. rocznicę powstania Polskiego Państwa Podziemnego, na pl. marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie stoi 35 trumien nakrytych biało-czerwonymi flagami. Pięć z nich udekorowano wstęgami orderów *Virtuti Militari*. Wszystkie zo-



Trumny ze szczątkami zidentyfikowanych ofiar komunizmu przed panteonem na warszawskich Powązkach Wojskowych, 27 września 2015 roku (fot. Jacek Domański)

stały ustawione przed ołtarzem polowym usytuowanym między Grobem Nieznanego Żołnierza a krzyżem upamiętniającym mszę odprawioną w tym miejscu przez Jana Pawła II w 1979 roku. Stąd osoby zidentyfikowane na „Łączce” wyruszą w swoją ostatnią drogę. Można powiedzieć: w drogę powrotną na Powązki, aby spocząć tym razem już nie w bezimiennych dołach śmierci, lecz w specjalnie dla nich wybudowanym panteonie. Rodziny pozostałych pięciu spośród czterdziestu zidentyfikowanych zdecydowały o pochowaniu bliskich w innych miejscach lub wstrzymały się z decyzją.

Przed ołtarzem gromadzą się rodziny zidentyfikowanych, urzędnicy i naukowcy zaangażowani w proces poszukiwań, dziesiątki warszawiaków i przyjezdnych. Mszę żałobną odprawia biskup połowy Wojska Polskiego gen. Józef Guzek.

– Żołnierze Niezłomni – kim są? Z jakich korzeni wyrastają? – pyta biskup podczas kazania i odpowiada: – Wyrośli z ducha ewangelicznego radykalizmu. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś oddaje życie swoje za przyjaciół” – powiedział Pan Jezus. Było dla nich oczywiste, że miłość żąda ofiary. Czynnem potwierdzili wierność ewangelicznej zasadzie,



Rodziny zidentyfikowanych we wnętrzu panteonu na Powązkach Wojskowych, 27 września 2015 roku (fot. Piotr Molecki/Kancelaria Prezydenta RP)

że miarą heroicznej miłości Boga i ojczyzny jest przelana krew i ofiara życia. Zgodnie z zaleceniem Ewangelii byli roztropni jak gołębice i przebiegli jak węże. Wielu z nich nie dało się zwieść podstępny planom władzy ludowej, która ogłosiła amnestię. Przestrzegął przed tym mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, cichociemny, legendarny dowódca Lubelszczyzny, którego doczesne szczątki otaczamy dziś miłością i modlitwą. Napisał: „Amnestia jest dla złodziei. A my jesteśmy Wojsko Polskie”. Do końca pozostali wierni idei Polskiego Państwa Podziemnego i etosowi Armii Krajowej, kontynuując walkę o niepodległość naszej ojczyzny po roku 1944.

Biskup zwraca się również do rodzin ofiar komunizmu:

– Dziś także trzeba pochylić się nad waszym głębokim i uzasadnionym żalem, jaki nosicie w swoich sercach. Podczas spotkania, które w zeszłym tygodniu zorganizowała dla was Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, wielu stawiało mi pytanie, dlaczego zaszczyty i przywileje uzyskane przez katów nie zostały dotychczas zakwestionowane, dlaczego oprawcy mają pogrzeby z honorami wojskowymi. „To nas boli” – ktoś dodał. „Boli nas jeszcze bardziej, kiedy słyszymy, że powinniśmy o wszystkim zapomnieć”. Ja

tego spotkania, tych pytań i tych rozmów nie zapomnę. Postulaty tych rodzin nie są sprzeczne z duchem Ewangelii. Jezus, ogłaszając przykazanie miłości, nie zanegował wezwania do sprawiedliwości. Święty Jakub Apostoł w [dzisiejszym] drugim czytaniu mszalnym przypomniał o odpowiedzialności za zło wyrządzone bliźnim: „Żyliście beztrosko na ziemi i wśród dostatków tuczylście serca wasze w dniu rzezi. Potępiliście i zabiliście sprawiedliwego. Jednak Bóg usłyszał ich krzyki. Nadejdzie taki czas, że zapłaciecie wśród narzekania na utrapienia, jakie was czekają”. Nie, to nie chodzi o zemstę – idzie o sprawiedliwość. Dopiero prawda i płynąca z niej sprawiedliwość otwierają serca na przebaczenie – podkreśla ordynariusz Wojska Polskiego.

Po zakończeniu mszy trumny zostają przewiezione na Powązki Wojskowe. Zajmując miejsce przy świeżo ukończonym panteonie, głos zabierają uczestniczący w uroczystościach przedstawiciele najwyższych władz państwowych. Prezydent RP Andrzej Duda nie mógł przybyć osobiście z powodu kolidującej z pogrzebem 70. sesji Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. O swojej nieobecności uprzedził rodziny zidentyfikowanych podczas zorganizowanego półtora tygodnia wcześniej spotkania w Pałacu Prezydenckim. Podkreślił wtedy, że mimo jego nieobecności pogrzeb powinien się odbyć w zaplanowanym wcześniej terminie.

List od głowy państwa odczytuje reprezentujący go podsekretarz stanu w kancelarii prezydenta Wojciech Kolarski. Andrzej Duda napisał m.in.:

„Pomimo represji, szykan, zastraszania »Łączka« pozostała jednak miejscem narodowej pamięci. Bliscy przechowali wiedzę o losie swoich zamęczonych braci, mężów, ojców, przyjaciół, towarzyszy broni. Potajemnie wieszali tutaj kartki z ich nazwiskami, chociaż nikt nie miał pewności, gdzie naprawdę ich pochowano. Wieść o kwaterze „Ł” przekazywana była z ust do ust – szeptem, który z latami potężniał. Kiedy wreszcie upadło totalitarne imperium zła, prawda o żołnierzach powojennego podziemia zabrzmiała pełnym głosem. I dziś stanowi ona nasze wspólne dziedzictwo i wyznacznik polskiej tożsamości.

Ale »Łączka« jest – niestety – także symbolem zaniechań ostatniego dwudziestopięcioletnia. Zbyt długo bliscy ofiar i my wszyscy, Polacy, musieliśmy czekać na godne upamiętnienie naszych bohaterów. Zbyt długo wolna Polska zwlekała z przywróceniem wobec nich sprawiedliwości historycznej i ludzkiej. [...]

Jako prezydent Rzeczypospolitej w imieniu całego narodu polskiego pochyłam czoło w hołdzie poległym i zamordowanym żołnierzom drugiej

konspiracji. Składając ich doczesne szczątki w panteonie-mauzoleum, niepodległa Polska wypełnia chrześcijańską powinność i – choć w niewielkiej części – spłaca dług wdzięczności wobec swoich najwierniejszych synów. Pragnę zarazem podkreślić, że obecna uroczystość wieńczy pierwszy etap poszukiwań na »Łączce«, lecz ich nie zamyka. Uważam za rzecz olbrzymiej wagi, by prace ekshumacyjne zostały dokończzone, a wszyscy odnalezieni – zidentyfikowani i godnie pochowani.

Państwo polskie musi czcić swoich prawdziwych bohaterów: tych, którzy poddani najtrudniejszej próbie nie złożyli broni, lecz do końca stawiali mężnie opór wrogom ojczyzny i nie wahali się oddać za nią życia”.

Przemawia także premier Ewa Kopacz:

– Ojczyzną Żołnierzy Niezłomnych-Wyklętych była II Rzeczpospolita, a później Polskie Państwo Podziemne. Należeli więc do pokolenia, dla którego odzyskana w 1918 roku niepodległość była wartością niemal mistyczną. Uznawano ją za skarb, którego należy bronić za wszelką cenę, nawet za cenę ofiary własnego życia. Nie pytali o geopolityczne racje, jałtańskie porozumienie wielkich mocarstw. Walczyli samotnie, by dać świadectwo niezbywalnych praw Polaków do samostanowienia. Był to heroizm najwyższej próby. Żołnierze Niezłomni-Wyklęci zapłacili za służbę Rzeczypospolitej cenę życia. Jesteśmy świadomi, że mamy wobec nich dług do spłacenia.

Andrzej Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, przypomina osoby i środowiska zaangażowane w przywracanie pamięci o Żołnierzach Wyklętych i w proces poszukiwań nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego. Zwraca się też do rodzin zidentyfikowanych:

– To państwo przez niemal sześćdziesiąt, a nawet prawie siedemdziesiąt lat pamiętaliście, tęskniliście i czekaliście... Czekaliście najpierw na odnalezienie miejsca, potem na ekshumację, potem na identyfikację. Czekaliście na jakąkolwiek wiadomość, czekaliście wytrwale i cierpliwie. Z wytrwałością i cierpliwością godną najwyższego podziwu.

Na koniec Kunert zwraca się do najważniejszych postaci w tym dniu – tych, którzy mają zostać pochowani:

– Nie jesteście już od dzisiaj anonimowymi ofiarami pogrzebanymi na zapomnienie w dołach śmierci. Macie swoje miejsce w panteonie-mauzoleum, zbudowanym z jasnego kamienia, tak jak wybudowaliśmy czwarty Cmentarz Katyński w Kijowie-Bykowni. Z jasnego – bo wydobywamy was z ciemności i z zapomnienia. A ta jasność oznacza, że odwołujemy tamto

wszystko, tamto wszystko złe. Ta jasność w symboliczny sposób pokazuje, że wasza ofiara, przez kilka dziesiątków lat skrywana także przed najbliższymi, nie była ofiarą daremną.

Po modlitwie ekumenicznej żołnierze składają trumny w niszach wewnątrz mauzoleum. Na tablicy każdej z nich są wypisane imię, nazwisko, pseudonim, stopień oraz daty urodzenia i śmierci każdej z chowanych osób. Pomędzy czterema ścianami kolumbarium gromadzą się rodziny tych, których żegnamy po raz ostatni. Wreszcie jest miejsce, przy którym można zapalić znicz i się pomodlić za zamordowanych ojców, dziadków, braci, stryjów, wujów. Za bohaterów.

Mam nadzieję, że wkrótce spoczną tutaj kolejni zidentyfikowani spośród już ekshumowanych, a także ci, których szczątki wciąż spoczywają pod nagrobkami z lat osiemdziesiątych, sąsiadującymi z panteonem. Szanse na to wzrosły, kiedy 2 sierpnia 2015 roku weszła w życie nowelizacja ustaw o cmentarzach i chowaniu zmarłych, o grobach i cmentarzach wojennych oraz o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, a prezes IPN – w tym samym dniu – wystąpił do wojewody mazowieckiego o przeniesienie nagrobków blokujących dostęp do szczątków bohaterów, wnioskując jednocześnie o nadanie tej decyzji rygoru natychmiastowej wykonalności. Wszystko to bardzo skomplikowane procesy, jednak wola pokonania trudności jest tak ogromna, że nie sposób nie być optymistą co do rozwiązania problemów.

Warszawa, luty 2016 roku



(fot. Jacek Domański)

ANEKS

Odnalezieni na „Łączce” i współodpowiedzialni za ich śmierć

Osoby stracone	Oskarżyciele	Sędziowie
Stanisław Abramowski	Jan Trynkosz, Roman Strugalski	Stanisław Weteczek
Władysław Borowiec	brak danych	Jan Hryckowian, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Henryk Zapolski, Zdzisław Gołębiowski
Henryk Borowy-Borowski Antoni Olechnowicz Zygmunt Szendzielarz	Zenon Rychlik	Mieczysław Widaj, II instancja: Wilhelm Świątkowski, Leo Hochberg, Alfred Janowski
Bolesław Budelewski	Józef Rzczycki	Józef Badecki, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Zdzisław Gołębiowski, Beniamin Karpiński
Edmund Bukowski	Stanisław Krawczyk	Władysław Litmanowicz, II instancja: Józef Dziwogo, Roman Bojko, Marian Krupski
Jan Czeredys	Hygin Jerzy Radwan Rymdejko, Feliks Aspis	Franciszek Szeliński, Juliusz Krupski
Julian Czerwiakowski	Adam Adamuszek, Beniamin Wajsblech	Marian Stępczyński, II instancja: Marian Mazur
Bolesław Cześćcik	Kazimierz Adamczyk, Kazimierz Paskudzki	Edward Holler, II instancja: Wilhelm Świątkowski, Leo Hochberg, Roman Kryże
Hieronim Dekutowski Roman Groński Stanisław Łukasik Jerzy Miatkowski Tadeusz Pelak Edmund Tudruj Arkadiusz Wasilewski	Tadeusz Malik	Józef Badecki, II instancja: Józef Dziwogo, Alfred Janowski, Józef Warecki
Adam Gajdek	Władysław Góra	Zbigniew Furtak, II instancja: Józef Dziwogo, Józef Warecki, Alfred Janowski
Stefan Głowacki	Leon Wilczyński	Zbigniew Furtak, II instancja: Józef Dziwogo, Henryk Zapolski, Alfred Janowski

Osoby stracone	Oskarżyciele	Sędziowie
Marian Kaczmarek	Eugeniusz Witczak, Mieczysław Bogucki	Jerzy Godlewski, Jerzy Drohomirecki, Bogdan Lisowski, II instancja: Aleksander Tomaszewski, Roman Kryże, Marian Krupski
Stanisław Kasznica	Czesław Szpądrawski, Mieczysław Dytry	Alfred Janowski, Henryk Szczepański, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Józef Dziowgo, Józef Warecki
Aleksander Kita Marian Orlik	Mieczysław Lis	Juliusz Krupski, Zygmunt Krasuski, Bolesław Wnorowski
Bolesław Kontrym	Adam Adamuszek, Beniamin Wajsblech	Czesław Kosim, II instancja: Gustaw Auscaler, Mieczysław Dobromeski, Aleksander Bachrach
Józef Kozłowski	Ireneusz Boliński	Mieczysław Widaj, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Zdzisław Gołębiowski, Józef Badecki
Zygfryd Kuliński Karol Rakoczy	Stanisław Misiak	Piotr Adamowski, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Zdzisław Gołębiowski, Witold Smoczyk
Stanisław Kutryb	Franciszek Łaszczewski, Wojciech Zakrzewski	Stanisław Wotoczek, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Henryk Zapolski, Leo Hochberg
Józef Łukaszewicz	Franciszek Rafałowski	Józef Badecki, II instancja: Józef Dziowgo, Alfred Janowski, Zdzisław Gołębiowski
Stanisław Mieszkowski Zbigniew Przybyszewski	Władysław Kochan, Leonard Azarkiewicz	Piotr Parzeniecki, Juliusz Krupski, Teofil Karczmarz
Henryk Pawłowski	Adam Adamuszek	Zbigniew Furtak, II instancja: Józef Dziowgo, Alfred Janowski, Józef Warecki
Edward Pytko	Juliusz Mazurkiewicz	Ludwik Fels, Władysław Marszałek

Osoby stracone	Oskarżyciele	Sędziowie
Eugeniusz Smoliński	Arnold Załęski	Edward Jęczmyk, Włodzimierz Łabaziewicz, II instancja: Józef Dziowgo, Józef Warecki, Alfred Janowski
Dionizy Sosnowski	Tadeusz Piaskowski, Henryk Ligęza	Mieczysław Widaj, II instancja: Aleksander Tomaszewski, Edward Milewski, Zdzisław Gołębiowski
Zygmunt Szymanowski	Kazimierz Górski	Mieczysław Widaj, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Roman Kryże, Leo Hochberg
Ludwik Świder	Jan Pugacewicz	Mieczysław Widaj, II instancja: Aleksander Tomaszewski, Zdzisław Gołębiowski, Roman Kryże
Aleksander Tomaszewski	Leon Wilczyński	Józef Badecki, II instancja: Józef Dziowgo, Henryk Zapolski, Alfred Janowski
Wacław Walicki	Jan Dyduch	Mieczysław Widaj, II instancja: Kazimierz Drohomirecki, Leo Hochberg, Benjamin Karpiński
Ryszard Widelski	Wiesław Trutkowski	Józef Badecki, II instancja: Józef Dziowgo, Alfred Janowski, Józef Warecki

INDEKS OSÓB

- „111” zob. Walicki Michał
„61” zob. Szymanowski Zygmunt
- Abramowski Stanisław „Bury”, „Partyzancik” 79
„Adam” zob. Dziemieszkiewicz Roman
„Agata” zob. Gajdek Adam
„Agawa” zob. Piasecki Czesław
„Al” zob. Tomaszewski Aleksander
„Albin” zob. Kuliński Zygfryd
„Aleksandrowski Tomasz” zob. Tomaszewski Aleksander
Anders Władysław 103
„Antek” zob. Gajdek Adam
„As” zob. Stefanowicz Kazimierz
- Badocha Zdzisław „Żelazny” 66, 150, 151
Barbasiewicz Grażyna 64
„Bartkiewicz” zob. Zawadzki Włodzimierz
Bączek Stanisław „Wiewiórka” 153, 154
Bednarski Hieronim 16
„Bez” zob. Szymanowski Zygmunt
„Biały” zob. Kontrym Bolesław
„Biały” zob. Wasilewski Arkadiusz
„Bielski” zob. Kontrym Bolesław
Bierut Bolesław 63, 103, 109, 114, 118, 120–122, 132, 133, 141–144, 151, 153, 154, 156, 157
„Błyskawica”, TW 154
„Bończa” zob. Tomaszewski Aleksander
„Borodziuk” zob. Kasprzyński Wacław
Borowiec Antonina 112
Borowiec Barbara 110–112
Borowiec Władysław „Żbik” 109–113
Borowy-Borowski Henryk „Syczyński Henryk”, „Trzmiel” 109, 117, 118, 129
- Bronarski Stefan „Liść” 128
Broński Jerzy 130
„Bryjak Leon” zob. Pilecki Witold
Budelewski Bolesław „Pług” 79, 80
Bujak Mieczysław 16
Bukowska Irena z d. Chełmicka 85–88
Bukowski Edmund Zbigniew „Edmund” 24, 72, 75–78, 85
Bukowski Krzysztof 76, 77, 85, 86, 87
„Bury” zob. Abramowski Stanisław
Burzyński Antoni „Kmicic” 117
Bykowska Milena 31, 33, 48
„Bystry” zob. Gałązka Czesław
„Bystry” zob. Rakoczy Karol
- „Cacko” zob. Stryjewski Wiktor
Chełmiccy 85, 87
Chełmicka Bożena 87
Chełmicka Irena zob. Bukowska Irena
Chełmicka Kalina 85–87
Chojecka Grażyna 31, 32, 114–116
Christa Olgierd „Leszek” 151
„Cichocki” zob. Kontrym Bolesław
Ciechanowicz Andrzej 9, 44, 46–48, 72, 148, 149
Ciepliński Łukasz 10, 11
Cieśla Edward 16
„Cis” zob. Szymanowski Zygmunt
Cisek Andrzej 14, 22, 32, 34
Cyrankiewicz Józef 103, 105
Czajkowski Antoni, ks. 105
„Czarny” zob. Kossobudzki Tadeusz
Czeredys Elżbieta 61
Czeredys Jan 14, 19, 59, 60–63, 124, 129, 130
Czeredys Regina zob. Litke Regina
Czeredys Stanisława 61, 63, 90

- Czerwiakowski Julian „Jurek”, „Tarnowski Jerzy” 138, 144
 Częścik Bolesław „Orlik” 138, 141
- Dąbek Michał 159
 Dekutowski Hieronim „Odra”, „Stary”, „Zapora” 31, 34, 39, 74, 78, 81, 109, 113–116, 124–127, 162
 „Długi” zob. Pawłowski Henryk
 Długołęcki Stefan 130
 Domański Jacek 161, 166
 „Druh Michał” zob. Walicki Michał
 Duda Andrzej 163
 Dziemiszkievicz Roman „Adam”, „Pogoda” 141
 Dzierżyński Feliks 68
- „Edmund” zob. Bukowski Edmund Zbigniew
 „Ewa” zob. Lwow-Eberle Lidia
 „Ewa” zob. Poznański Jan
 „Ewelina” zob. Lwow-Eberle Lidia
- Falis Adam 94, 96–98
 Fieldorf August Emil „Gdanicki Walenty”, „Nil”, „Wielowiejski Emil” 100–102
 Filip, wnuk Witolda Mieszkowskiego 98
- Gajdek Adam 68
 Gajdek Adam „Agata”, „Antek”, „Olek”, „Wilanowski Adam” 66–69, 89, 124, 128, 129
 Gajdek Czesława „Powichet” 66, 67, 68, 89
 Gajdek Ignacy 68, 69, 89, 90
 Gajdek Zdzisław 67, 68
 Gałązka Czesław „Bystry” 120
 „Gałązka” zob. Michalski Waław
 Gawlina Józef, bp 158
 „Gdanicki Walenty” zob. Fieldorf August Emil
- Giedroń, kpt. 117
 Ginter Maria 155
 Głowacki Stefan „Smuga” 138, 143
 Gołębiewski Arkadiusz 95
 Groński Roman „Żbik” 74, 81, 124–126
- „Grot” zob. Rzeškiewicz Zygmunt
 Guzdek Józef, bp 161, 162
- Herbert Edward 148
 Herbert Zbigniew 148
- „Inka” zob. Siedzikówna Danuta
 „Irydion” zob. Widelski Ryszard
- Jagielski Stanisław „Sipak” 81
 Jan Paweł II 161
 Jasiński Marek 47, 48
 Jedliński Władysław „Marta” 121
 „Jezierski Roman” zob. Pilecki Witold
 Jezierski Zygmunt „Orzeł” 120
 „Jezierza” zob. Szymanowski Zygmunt
 Jędrzejewska Wanda 93
 Jędrzejewski Bohdan 93
 „Józef” zob. Sosnowski Dionizy
 Julia, wnuczka Witolda Mieszkowskiego 98
 „Junak” zob. Pelak Tadeusz
 „Jurek” zob. Czerwiakowski Julian
- Kaczmarek Marian „Paweł” 150, 154, 155, 157
 Kaczyński Lech 7, 103
 Kamiński Łukasz 7, 11, 15, 17, 44, 45, 53, 56, 72, 123, 124, 139, 149, 150
 „Kanciasty” zob. Oryl Seweryn
 Kania Czesław „Nałęcz” 156
 Kasprzyński Waław „Borodziuk” „Orzeł” 43
 Kasznica Andrzej 82
 Kasznica Eleonora 82, 84
 Kasznica Jan 82
 Kasznica Stanisław 84
 Kasznica Stanisław „Maszkowski”, „Piotrowski Stanisław”, „Przepona”, „Stanisław”, „Wąsal”, „Wąsowski” 79, 80, 82, 83, 84
 Kasznica Wojciech 82, 84
 „Kawecki J.” zob. Kozłowski Józef
 Kita Aleksander Adam 124, 129, 131, 132

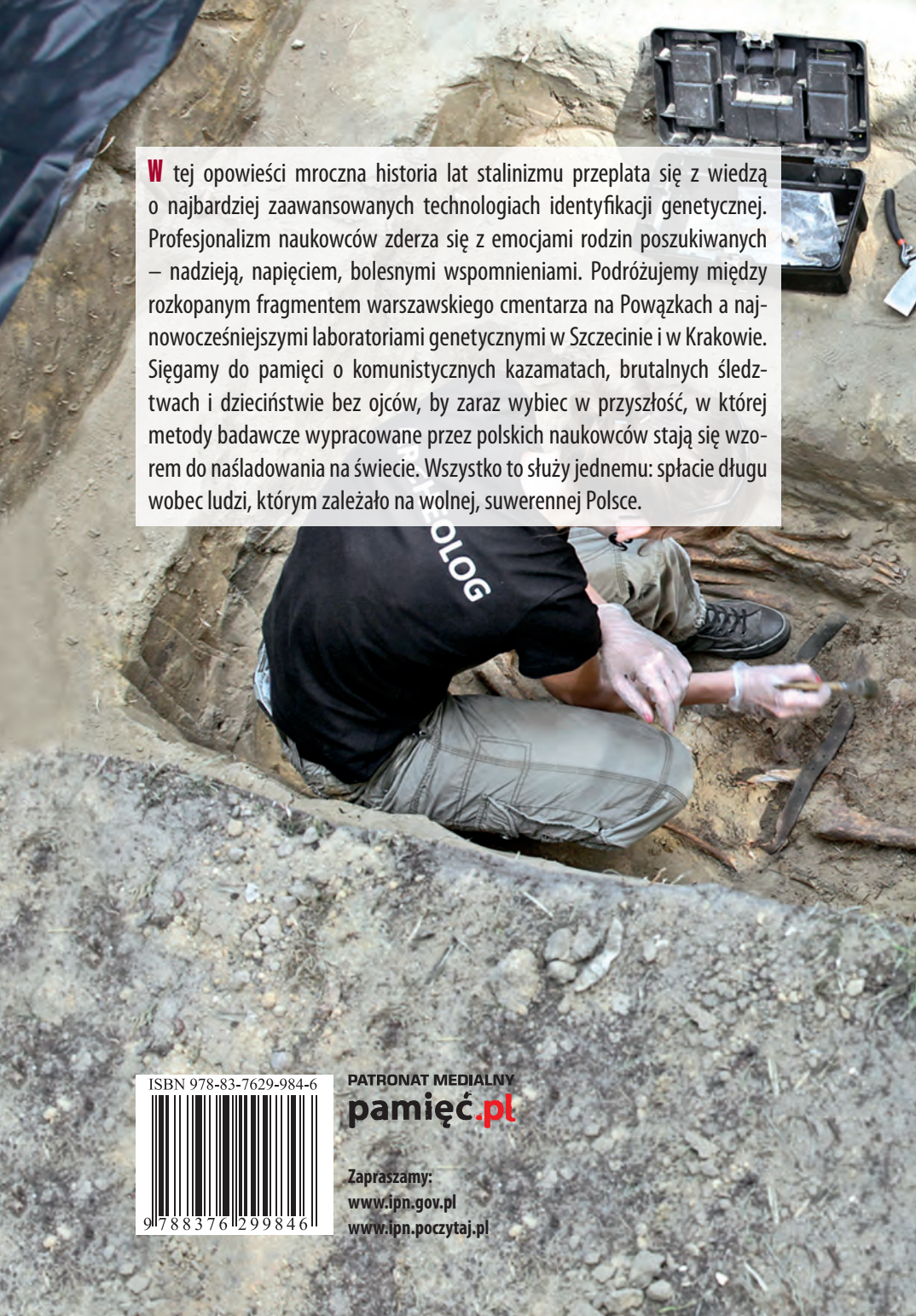
- Klimczewski Waldemar 43
 „Klon” zob. Szyszko Bolesław
 „Kmicic” zob. Burzyński Antoni
 Kokotko Edward „Wrzos” 43
 Kolarski Wojciech 163
 Komorowski Bronisław 7, 45, 122, 123,
 138, 139, 149
 Konczyński Stanisław „Kunda” 120
 Kondrat Teresa 152
 Kontrym Bolesław „Biały”, „Bielski”,
 „Cichocki”, „Żmudzin” 138, 144–148
 Kontrym-Sznajd Grażyna 147, 148
 „Konus” zob. Wołoncej Stanisław
 Kopacz Ewa 164
 Kopernik Mikołaj 49
 Kossobudzki Tadeusz „Czarny” 128
 Kotowski Janusz „Mściciel” 79
 Kowalski Waldemar 157
 Kozieradzki Edward 43
 Kozłowski Józef „Las”, „Kawecki J.”,
 „Vis” 141, 150, 153–156
 Krasuska Lidia 152
 Kraszewski Andrzej 64
 Kraszewski Jerzy 64
 „Kruk” zob. Łukasiewicz Józef
 Krzye Roman 20
 „Krzysztof” zob. Olechnowicz Antoni
 Kuka Jan 159
 Kulesza Zbigniew „Młot” 155, 156
 Kuliński Zygfryd „Albin” 109, 119, 120
 „Kunda” zob. Konczyński Stanisław
 Kunert Andrzej Krzysztof 8, 15–17, 45,
 53, 56, 72, 75, 158, 159, 164
 Kupiec Tomasz 49
 „Kurkowski” zob. Olechnowicz Antoni
 Kurtyka Janusz 7, 72
 Kuś Marta 37–39
 Kutryb Bolesław 152, 153
 Kutryb Stanisław „Rekin”, „Ryś” 150–
 154, 157
 Kuźniarska Katarzyna 25, 26, 55, 56, 78,
 97, 99
 Kwiatkowski Krzysztof 9, 15, 17, 18
 „Lala” zob. Lwow-Eberle Lidia
 „Las” zob. Kozłowski Józef
 Laskowski Helidor 133
 Laurentowski Stanisław „Lorenz Stani-
 sław” 147
 „Lawicz” zob. Olechnowicz Antoni
 Lejkowski Jerzy „Szpagat” 66
 „Leszek” zob. Christa Olgierd
 Leśnikowska Apolonia 20, 21
 Leśnikowska Maria 20, 21
 Leśnikowski Tadeusz 21
 „Lis” zob. Szymanowski Zygmunt
 „Liść” zob. Bronarski Stefan
 Litke Regina z d. Czeredys 14, 59–63,
 90–92, 124
 „Lorenz Stanisław” zob. Laurentowski
 Stanisław
 „Lufa” zob. Wieliczko Henryk
 „Lurdecki Waclaw” zob. Walicki Michał
 Lwow-Eberle Lidia „Ewa”, „Ewelina”,
 „Lala” 64–66, 118, 119
 Łabuszewski Tomasz 8
 Łokuciewski Stanisław „Mały” 127
 Łozicki Zenon 43
 Łuczak Agnieszka 113
 Łukasik Stanisław „Ryś” 72, 73, 78, 81,
 113, 126, 127
 Łukasiewicz Władysław „Młot” 118
 Łukasiewicz Józef „Kruk”, „Walek” 109,
 120
 „Łupaszka” zob. Szendzielarz Zygmunt
 Macuk Piotr „Sep” 156
 Maczek Stanisław 146
 Maj Józef, ks. 136
 Majewski Franciszek „Stony” 119, 128
 Majk Elżbieta 152
 Majk Józef 152
 Majk Krystyna 151–153
 „Mały” zob. Łokuciewski Stanisław
 Markosik Edward „Wichura” 120
 Markow Fiodor 117
 „Marta” zob. Jedliński Władysław
 „Maszkowski” zob. Kasznica Stanisław
 Mazowiecki Tadeusz 122, 139

- Mazur Jan „Piast” 150
 Mącyński Dominik 55
 „Meteor” zob. Olechnowicz Antoni
 Miatkowski Jerzy „Nowakowski Stanisław”, „Zawada” 74, 81, 124, 126
 Michalski Waław „Gaławka” 120
 Michowska Danuta 64
 Mieszkowska Marta 92, 98
 Mieszkowski Stanisław 19, 20, 55, 57–59, 94, 124, 129, 133–135
 Mieszkowski Witold 19–21, 54, 55, 57–59, 63, 64, 92, 129, 134–136
 Mincewicz Stanisław „Sówka” 43
 Minkiewicz Lucjan „Wiktor” 65, 117, 118
 Minkiewicz Wanda 65
 Miszczak Franciszek „Reda Stefan” 147
 „Miś” zob. Szeremicki Michał
 „Młot” zob. Kulesza Zbigniew
 „Młot” zob. Łukasiuk Władysław
 Moczarski Kazimierz 58
 Molecki Piotr 160, 162
 Mówiński Waław „Szczygieł” 153
 „Mściciel” zob. Kotowski Janusz
 „Mścisław” zob. Pluciński Marian
 „Mundek” zob. Tudruj Edmund
 Mużacz-Kowal Monika 94–97
- Nadolski Marek 95–97
 „Nałęcz” zob. Kania Czesław
 „Nil” zob. Fieldorf August Emil
 „Nowakowski Stanisław” zob. Miatkowski Jerzy
- Odolska Wanda 105
 „Odra” zob. Dekutowski Hieronim
 Ojrzyński Zygmunt „Ostaszewski” 144
 Olechnowicz Antoni „Krzysztof”, „Kurowski”, „Lawicz”, „Meteor”, „Pohorecki” 69, 73, 117, 122, 124, 129–131, 143, 144
 Olechnowicz Elmira 69, 88
 Olechnowicz Józef 69, 88, 89, 125,
 Olechnowicz Krzysztof 69, 88
 „Olek” zob. Gajdek Adam
- Orlik Marian 124, 129, 132, 133
 „Orlik” zob. Częścik Bolesław
 „Orłowski Henryk” zob. Paławowski Henryk
 Orłowski Tadeusz „Szatan” 81
 Oryl Seweryn „Kanciasty” 120
 „Orzeł” zob. Jezierski Zygmunt
 „Orzeł” zob. Kasprzyński Waław
 Ossowski Andrzej 22, 29–31, 33, 34, 36–39, 41, 42, 44, 47–49, 52, 72, 95, 99, 124, 153
 Ossowski Jerzy 48
 „Ostaszewski” zob. Ojrzyński Zygmunt
 Ostrowska Eleonora 106
- Pabiś Stefan „Stefan” 43
 „Pan Michał” zob. Walicki Michał
 „Parabelka” zob. Rzeškiewicz Zygmunt
 „Partyzancik” zob. Abramowski Stanisław
 „Patera Janusz” zob. Skrzyszowski Stefan
 „Paweł” zob. Kaczmarek Marian
 Pawełek Maciej 158
 Paławowski Henryk „Długi”, „Orłowski Henryk” 109, 120, 121
 Paławowski Włodzimierz 16
 Pelak Tadeusz „Junak” 74, 79, 81, 82, 113
 Piasecki Czesław „Agawa” 81
 „Piast” zob. Mazur Jan
 Pieślak Hanna Róża 85, 87
 Pilecka Maria 104, 107
 Pilecka-Optułowicz Zofia 97–99, 103–106
 Pilecki Andrzej 105, 108
 Pilecki Witold „Bryjak Leon”, „Jezierski Roman”, „Romek”, „Serafiński Tomasz”, „Smoliński Witold”, „Tomek”, „Uznański Jan”, „Witold” 11, 97, 98, 100, 102–108
 „Piotrowski Stanisław” zob. Kasznica Stanisław
 Piskorz Joanna 32, 33
 „Piwowski Antoni” zob. Szymanowski Zygmunt

- Pluciński Marcin „Mścisław” 66, 150
 „Plug” zob. Budelewski Bolesław
 „Pogoda” zob. Dziemieszkiewicz Roman
 „Pohorecki” zob. Olechnowicz Antoni
 Poleszak Sławomir 8
 „Powichet” zob. Gajdek Czesława
 Poznański Jan „Ewa” 81
 Półrul Stefan 16
 Prusak Marian, ks. 151
 „Przepona” zob. Kasznica Stanisław
 Przewoźnik Andrzej 8
 Przybyszewska Danuta 64
 Przybyszewski Zbigniew 58, 64, 124,
 129, 133, 136
 „Puk Johann” zob. Świder Ludwik
 Pytko Edward 150, 156, 157
- Rakoczy Karol „Bystry” 120, 124, 128
 Rakoczy Władysław 128
 Rakoczy Władysława 128
 „Reda Stefan” zob. Miszczak Franciszek
 „Rekin” zob. Kutryb Stanisław
 „Renek” zob. Szaliłow Jan
 „Romek” zob. Pilecki Witold
 Romer Tadeusz 55
 Romer-Kędzierska Maria 20, 55
 Rübenbauer Jerzy 121
 Ruskin John 45
 Rychel Maciej 64
 Rychel Wojciech 64
 „Ryś” zob. Kutryb Stanisław
 „Ryś” zob. Łukasik Stanisław
 Rzeškiewicz Zygmunt „Grot”, „Parabela”
 ka” 120
- „Sadowski Jan” zob. Szymanowski Zygmunt
 Selmanowicz Feliks „Zagończyk” 157,
 158
 „Serafiński Tomasz” zob. Pilecki Witold
 „Sep” zob. Macuk Piotr
 Siedzikówna Danuta „Inka” 11, 18, 48,
 150, 151, 157, 158
 Siedzikówna Wiesława 150
 Siemoniak Tomasz 103
- Sikorski Władysław 49, 158
 Siła-Nowicki Władysław 68, 82
 „Sipak” zob. Jagielski Stanisław
 Skrzyszowski Stefan „Patera Janusz” 140
 Skubisz Paweł 43
 Skulbaszewski Anton 58
 „Slony” zob. Majewski Franciszek
 Smoliński Eugeniusz „Staniszewski Kazimierz” 72, 74, 77
 „Smoliński Witold” zob. Pilecki Witold
 „Smuga” zob. Głowacki Stefan
 Sosnowski Dionizy „Józef”, „Zbyszek”
 138–140
 „Sówka” zob. Mincewicz Stanisław
 Staniewicz Janina 19
 Staniewicz Jerzy 19, 64
 „Stanisław” zob. Kasznica Stanisław
 „Staniszewski Kazimierz” zob. Smoliński
 Eugeniusz
 „Stary” zob. Dekutowski Hieronim
 „Stefan” zob. Pabiś Stefan
 Stefaniak Marcin 44
 Stefanowicz Kazimierz „As” 155
 Stryjewski Wiktor „Cacko” 119
 Strzembosz Tomasz 7
 „Syczyński Henryk” zob. Borowy-Borowski
 Henryk
 Szaliłow Jan „Renek” 126, 127
 „Szatan” zob. Orłowski Tadeusz
 „Szczygieł” zob. Mówiński Waław
 Szejnert Małgorzata 21, 85, 88
 Szendzielarz Barbara 31, 65
 Szendzielarz Zygmunt „Łupaszka”,
 „Łupaszko” 31, 32, 34, 43, 48, 65,
 66, 96, 109, 117–119, 129, 131, 150,
 151
 Szeremicki Michał „Miś” 125, 126
 Szleszkowski Łukasz 26–30, 34, 49, 50,
 72
 „Szpagat” zob. Lejkowski Jerzy
 Schwagrzyk Krzysztof 9, 16, 18, 22, 23,
 45, 48, 49, 52, 53, 56, 72, 75–79, 82,
 95, 96, 99, 100, 109, 114, 116, 124,
 128, 137–139, 141, 147, 151, 154,
 156, 157, 159

- Szymanowski Zygmunt „61”, „Bez”, „Cis”, „Jezierza”, „Lis”, „Piwowski Antoni”, „Sadowski Jan” 138, 141, 142
- Szymański Ludwik 44
- Szymczak Natalia 26, 50, 56
- Szyszko Bolesław „Klon” 153, 156
- Ściborówna Barbara 64
- Ślaski Jerzy 7
- Światło Józef 64
- Świder Ludwik „Puk Johann” 138, 144, 146, 147
- „Tarnowski Jerzy” zob. Czerwiakowski Julian
- Tasiemska Anna 110–113
- „Tessaro” zob. Walicki Michał
- Thannhäuser Agata 26–29, 31, 34, 49, 50, 55, 72, 100
- Tomaszewski Aleksander „Al”, „Aleksandrowski Tomasz”, „Bończa” 138, 143
- „Tomek” zob. Pilecki Witold
- Tomiałojć Antoni 16
- „Trzmiel” zob. Borowy-Borowski Henryk
- Tucholski Jędrzej 115
- Tudruj Edmund „Mundek” 74, 81, 124, 126, 127
- Turczyński Władysław 77
- Ujejski Stanisław 158
- „Uznański Jan” zob. Pilecki Witold
- „Vis” zob. Kozłowski Józef
- „Walek” zob. Łukaszewicz Józef
- Walicki Waclaw „111”, „Druh Michał”, „Lurdecki Waclaw”, „Pan Michał”, „Tessaro” 109, 122
- Wasilewski Arkadiusz „Biały” 74, 81, 124, 127
- „Wąsał” zob. Kasznica Stanisław
- „Wąsowski” zob. Kasznica Stanisław
- Wenelczyk Jerzy 20
- „Wiara” zob. Widelski Ryszard
- „Wichura” zob. Markosik Edward
- Widelski Ryszard „Irydion”, „Wiara”, „Wiesia”, „Władysław”, „Zbik” 109, 121
- Wieliczko Henryk „Lufa” 66, 118
- „Wielowiejski Emil” zob. Fieldorf August Emil
- „Wiesia” zob. Widelski Ryszard
- „Wiewiórka” zob. Bączek Stanisław
- „Wiktor” zob. Minkiewicz Lucjan
- „Wilanowski Adam” zob. Gajdek Adam
- „Witold” zob. Pilecki Witold
- „Władysław” zob. Widelski Ryszard
- Włodarkiewicz Jan 102
- Wnuk Rafał 8
- Wojcieszek Marian 58
- Wołoncej Stanisław „Konus” 150
- „Wrzos” zob. Kokotko Edward
- Wujtewicz Maria 92
- „Zadrożny” 156
- „Zagończyk” zob. Selmanowicz Feliks
- Zapatero José 15
- „Zapora” zob. Dekutowski Hieronim
- Zarakowski Stanisław 64
- „Zawada” zob. Miatkowski Jerzy
- Zawadzki Włodzimierz „Bartkiewicz” 146
- „Zbyszek” zob. Sosnowski Dionizy
- Zielińska Grażyna 41
- „Zbik” zob. Borowiec Władysław
- „Zbik” zob. Groński Roman
- „Zbik” zob. Widelski Ryszard
- „Żelazny” zob. Badocha Zdzisław
- „Żmudzin” zob. Kontrym Bolesław
- Życieński Piotr 17, 24, 25, 27, 30, 45, 75–78, 96, 99, 110, 124, 125, 135, 136, 138, 148, 149, 152
- Żymierski Michał 19





W tej opowieści mroczna historia lat stalinizmu przeplata się z wiedzą o najbardziej zaawansowanych technologiach identyfikacji genetycznej. Profesjonalizm naukowców zderza się z emocjami rodzin poszukiwanych – nadzieją, napięciem, bolesnymi wspomnieniami. Podróżujemy między rozkopanym fragmentem warszawskiego cmentarza na Powązkach a najnowocześniejszymi laboratoriami genetycznymi w Szczecinie i w Krakowie. Sięgamy do pamięci o komunistycznych kazamatkach, brutalnych śledztwach i dzieciństwie bez ojców, by zaraz wybiec w przyszłość, w której metody badawcze wypracowane przez polskich naukowców stają się wzorem do naśladowania na świecie. Wszystko to służy jednemu: spłacie długu wobec ludzi, którym zależało na wolnej, suwerennej Polsce.

ISBN 978-83-7629-984-6



9 788376 429984 6

PATRONAT MEDIALNY

pamięć.pl

Zapraszamy:

www.ipn.gov.pl

www.ipn.pocztaj.pl